

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/60

1952



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Wojciech ZALESKI:

NOWE OBLCZE PARTII

Czesław STRASZEWICZ:

KATEDRA SANDWICZÓW

ARCHIWUM POLITYCZNE • NAJNOWSZA HISTORIA
POLSKI • KRONIKA KULTURALNA • KSIĄŻKI
LISTY DO REDAKCJI

SPIS RZECZY :

Wojciech Zaleski : *Nowe oblicze Partii* 3



Czesław Straszewicz : *Katedra Sandwiczów* 17

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski : *List z Wyspy* 99

Jerzy Prądyński : *List z Niemiec* 105

Londyńczyk : *Kronika angielska* 109

Berlińczyk : *Nauka idzie w las* 112

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Leon Orłowski : *Wspomnienia z Budapesztu* 115

KRONIKA KULTURALNA

T. S. : *Z notatnika* 137

Czesław Miłosz : *Dwa wiersze z komentarzem* .. 141

Jan Ulatowski : *Raj utracony Fernanda Leger* 145

» » *Rouault zbuntowany i odkupiony* 147

KSIAŻKI

Melchior Wańkowicz : *Poszerzenie polskości* 150

Książki nadesłane 155



K. A. Jeleński, Czytelnik,
M. Krogh, J. Mastalski : *Listy do Redakcji* 157

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1952

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Wojciech Zaleski, ekonomista i dziennikarz, ur. w 1906 r. na Ukrainie, dr praw, absolwent Polskiej Szkoły Nauk Politycznych w Krakowie, przed wojną współpracownik dzienników warszawskich, redaktor dziennika „ABC” w latach 1936-1937.

W latach 1935-1939 na zlecenie Polskiej Akademii Umiejętności opracował „Dzieje Górnictwa i Hutnictwa Śląskiego” prowadząc badania w archiwach i bibliotekach Wrocławia, Berlina, Katowic etc. (praca ta ukaże się w przyszłym roku na emigracji).

W czasie wojny działacz jednej z organizacji podziemnych, współpracownik pism „Pobudka”, „Nowa Polska” i in., autor kilku nielegalnie drukowanych broszur pod pseudonimem Mieczysław z Głogowa.

Po wojnie wydawca miesięcznika „Universum” w Monachium, współpracownik Ośrodka Badań Europy Środkowej w Paryżu.

Czy odpowiedziałeś już na Ankietę « KULTURY »

pt. :

“Nasze życie na emigracji”?

Egzemplarze kwestionariusza Ankiety można otrzymywać w Redakcji „Kultury” oraz u jej korespondentów i przedstawicieli.

Imprimé en France

IMPRIMERIE RICHARD, 24, rue Stéphenon, Paris-18° — Tél. MON. 88-26 et 27

Nowe oblicze Partii

Zacznijmy od samokrytyki. Wykazaliśmy wszyscy — my, którzy zajmujemy się trochę obserwowaniem tego, co dzieje się w Moskwie — karygodny brak czujności antykomunistycznej, przegapiając wyraźną zapowiedź zmiany statutu WKP(b), jaka ukazała się nie w jakichś poufnych okólnikach partyjnych, ale po prostu w Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej. Sama zapowiedź pozwalała też zorientować się w kierunku przygotowanych już do roku zmian.

W poprzednim wydaniu Wielkiej Encyklopedii historia Partii, informacje o jej statucie itd. ukazały się pod hasłem skrótu WKP(b), zaś pod hasłem „Wsiesojuznaja Komunističeskaja Partia (bolszewikow)” znaleźć mógł czytelnik tylko wzmiankę „smotri (patrz) WKP(b)”.

Na wiosnę nadeszły do bibliotek zachodnio - europejskich tomy 8 i 9 nowego wydania encyklopedii, obejmujące literę „W”, która w alfabetce rosyjskiej jest czwartą i wyprzedza literę „K”. Pragnąc sobie wyjaśnić znaczenie niektórych zmian statutu zajrzałem do 8 tomu Wielkiej Encyklopedii pod hasło WKP(b) i stwierdziłem ze zdumieniem, że zamiast kilkudziesięciu stron tekstu znajduje się, podobnie jak pod hasłem „Wsiesojuznaja” w tomie 9 tylko wzmianka smotri (patrz) Komunističeskaja Partia Sowieckowo Sojuza, a więc nazwa wprowadzona w nowym brzmieniu statutu partii, który będzie uchwalony w chwili gdy te słowa dotrą do czytelnika. Tom ósmy podpisany został do druku 21 listopada ub. roku. Wskazano zatem już wówczas nieodwołalnie jaką nazwę będzie nosiła partia w chwili gdy ukaże się tom z literą „K” oraz wskazano nieodwołalnie, że przedtem odbędzie się XIX Kongres Partii, bez którego nie można zmienić statutu.

Wolno przypuszczać, że wiedziano też znacznie więcej, gdyż jak zobaczymy zmiana nazwy Partii jest ważnym posunięciem politycznym i wyrazem innych przemian w statucie Partii. Widocznie Kreml może planować na rok czy dwa lata z góry posunięcia polityczne i nie bierze pod uwagę możliwości zmia-

BIBLIOTEKA NADZORSTWA
P. 9786 Chr. Arch.

ny swych zamierzeń pod wpływem tego co robi się na Zachodzie. Mimowoli nasuwa się pytanie, czy w którymkolwiek z państw zachodnich, którykolwiek z mężów stanu mógłby się zdobyć na takie przewidywanie z góry najdonioślejszych posunięć politycznych, jakiego wyrazem była instrukcja Politbiura dla redaktorów Wielkiej Encyklopedii, by już z góry umieścić w niej jeszcze nie uchwaloną nazwę Partii?

Wracając do samej nazwy trzeba podkreślić, że uległa ona większej zmianie w brzmieniu rosyjskim niż w oficjalnych przekładach na języki zachodnie. Tak n.p. prasa sowiecka w języku angielskim używała nazwy Communist Party of Soviet Union (Bolsheviks) podczas gdy poprawne tłumaczenie winno być brzmieć All-Union Communist Party itd. Już to tłumaczenie wskazywało na pewną tendencję do umiędzynarodowienia nazwy, do przystosowania jej do form używanych przez partie komunistyczne na Zachodzie. Trzeba było jednak jeszcze opuścić neologizm, niezbyt zgodny z duchem języka rosyjskiego i literalnie przepisywany w obcych językach: Bolsheviks w nawiasach. Ten dodatek, czyniący ze skrótu nazwy Partii prawdziwy dziwoląg, podkreślał równocześnie rosyjskość Partii Komunistycznej na zewnątrz, na wewnątrz zaś przypominał frakcyjne walki w dawnej socjalnej demokracji Rosji.

Zagranicą słowo „bolszewik” nabrało też cech obelgi w ustach wszystkich przeciwników komunizmu. Obecnie komuniści nie są już bolszewikami, znika więc przedmiot obelgi, jakim było to małe (b) w nawiasie. Nazwa Partii staje się międzynarodowa. Jest to konieczne w chwili gdy z jej statutu znika też określenie „sekcja komunistycznej międzynarodówki”. Jak wiadomo w czasie wojny zniknęła sama międzynarodówka, a jedyną międzynarodową organizacją komunistyczną jest Kominform, w założeniu swym obejmujący tylko część Partii Komunistycznych i powołany dla jednej funkcji, mianowicie dla kierowania propagandą.

Rozwiązanie Międzynarodówki miało, jak wiadomo, być dowodem, że Kreml rezygnuje z rozniecania światowej rewolucji, w okresie kiedy sznury statków wyładowanych bronią, amunicją i żywnością zdążały do portów sowieckich. Dziś nie ma Trzeciej Międzynarodówki, ale nikt też nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że Moskwa z o wiele większą energią dąży do zdobycia panowania nad światem niż wówczas, gdy Międzynarodówka ta istniała. Sama forma jej rozwiązania była zastanawiająca. Oto sekcja rozwiązała centralę. Jeden z członków organizacji naczelnej rozwiązał organizację naczelną. Moskwa rozumowała bardzo poprawnie: ten członek, który może rozwiązać organizację nadrzędną jest sam czynnikiem nadrzędnym nad innymi członkami i podkreśla tę nadrzędność.

Żadna międzynarodowa organizacja nie jest potrzebna, bo przecież, jak to stwierdza deklaracja ideowa PZPR i innych partii komunistycznych „WKP(b) (a obecnie KPZS) jest czołowym oddziałem światowego ruchu robotniczego”, a „walka

międzynarodowego obozu demokracji i socjalizmu przeciw imperializmowi i faszyzmowi prowadzona jest pod przewodnictwem Związku Radzieckiego”. Podczas gdy do chwili rozwiązania Trzeciej Międzynarodówki teoretycznie przynajmniej wszystkie partie komunistyczne były równouprawnione, a w świecie czynnikiem kierującym komunizmem były władze tej Międzynarodówki obecnie już oficjalnie komunizmem światowym kieruje KPZS.

W statucie wszystkich partii komunistycznych krajów satelickich w podobny sposób jak w statucie PZPR określa się istotę „braterskiej więzi” z komunistyczną Partią Związku Radzieckiego. Gdy się o tym pamięta, rozumie się ustęp trzeci pierwszego paragrafu nowego statutu Partii, który mówi, że zadaniem jej jest ustanowienie braterskiej więzi z pracującymi w wszystkich krajach. Takiej braterskiej więzi, jaka już istnieje między KPZS a partiami komunistycznymi w krajach ujarzmonych.

Porównanie statutów Partii komunistycznych tych krajów ze statutem KPZS pozwala stwierdzić, że łącznie powiedziano już zupełnie wyraźnie o co chodzi i bez najmniejszych wątpliwości wyjaśniono, dlaczego Międzynarodówka nie jest więcej potrzebna. KPZS jest sama instytucją międzynarodową, jest czołowym oddziałem światowego komunizmu i sama przewodzi walce o światowy jego triumf. Doktryna czy też dogmatyka jest ustalona.

Wiele zmian terminologii tłumaczy się właśnie faktem przekształcenia KPZS w instytucję międzynarodową, światową. Wszystko co było specyficznie rosyjskie, co było żargonem partyjnym, wyniesionym z okresu walk frakcyjnych i walk rewolucyjnych zastąpione zostało przez poprawne, klasyczne określenia uniwersalne. Chodzi tu nie tylko o „bolszewików”. Wyrzuca się ze statutu także n.p. „udarenichestwo” (par. 57 lit. d) wyrzuca się też Politbiuro i Orgbiuro, zastępując je pięknym i demokratycznym wyrazem „Prezydium”.

Trzeba bowiem zauważyć, że „likwidacja” Politbiura i Orgbiura poza tym nie ma praktycznie prawie żadnego znaczenia. Orgbiuro miało w początkach istnienia Partii wielkie zadania do spełnienia. Gdy jednak Stalin połączył w swym ręku funkcje sekretarza generalnego Partii, Politbiura i Orgbiura oraz gdy doprowadził do faktycznej unii personalnej obu tych biur, odrębność ich stała się czysto formalna. Ostatnio z ośmiu członków Orgbiura do Politbiura należało 6. Można się domyslać, że w zakresie funkcji organizacyjnych następowała raczej kolizja między biurem organizacyjnym a sekretariatem, zwłaszcza, że przepis statutu w dawnym brzmieniu rozgraniczał zadania w sposób mocno niejasny: „Centralny Komitet... powołuje biuro organizacyjne dla ogólnego kierownictwa pracą organizacyjną, a sekretariat dla bieżącej działalności o charakterze organizacyjnym lub wykonawczym”.

Biuro polityczne było według dawnego brzmienia statutu

powołane do „pracy politycznej”. Obecne prezydium po prostu „kieruje pracą Partii” w przerwach między posiedzeniami Centralnego Komitetu, które muszą być zwoływane co najmniej co 6 miesięcy — poprzednio co cztery miesiące. Centralny Komitet jest najwyższym organem Partii w okresie między Kongresami, zaś Kongresy zwołuje się najmniej co 4 lata. Znowu przedłużono poprzednio przewidziany w statucie (ale niezbyt obowiązujący) termin trzech lat. Konferencje partyjne zniesiono. Wobec coraz rzadszego odbywania Kongresów lub posiedzeń Centralnego Komitetu oraz wskutek możliwie najbardziej ogólnikowego sformułowania kompetencji Prezydium, władza jego już w przepisach statutu staje się, jeżeli to było w ogóle możliwe, jeszcze większa od władzy dawnego Politbiura.

Prawdopodobnie zniesione będzie stanowisko sekretarza generalnego CK, gdyż w komitetach rejonowych i okręgowych sekretarzy generalnych wedle nowego statutu nie będzie — trudno dać na to pytanie odpowiedź ostateczną, gdyż w starym statucie o sekretarzu generalnym CK nie było mowy podobnie jak w nowym. Jest to zresztą sprawa tytułu raczej niż funkcji, gdyż o ile CK nie będzie miał sekretarza generalnego, a tylko kilku sekretarzy, funkcje kierownicze spoczną de facto w rękach przewodniczącego, jak to ma miejsce w Polsce, gdzie stanowisko sekretarza generalnego Partii już nie istnieje.

Likwidacja stanowiska sekretarza generalnego oznaczać będzie zmniejszenie władzy sekretariatu na rzecz Prezydium — w tym wypadku oczywiście Stalin zajmie miejsce przewodniczącego CK.

By uniknąć wszelkich nieporozumień stwierdzono wyraźnie, że Centralny Komitet Kontroli Partyjnej (zwany poprzednio Komisją), jest organem Centralnego Komitetu Kompartii, a ponieważ Prezydium kieruje pracami Centralnego Komitetu, także i Komitet Kontroli nie podlega bezpośrednio CK lecz Prezydium. Prezydium nie będzie wreszcie krępowane żadnym szcematem organizacji aparatu Komitetu Centralnego i innych Komitetów.

Ciekawe będzie teraz porównanie istoty dokonanej reorganizacji centralnych władz z komentarzami prasy codziennej na Zachodzie, jakie ukazały się po pierwszych doniesieniach o „likwidacji” Politbiura. To właśnie ciało było dla Zachodu tajemniczym ośrodkiem dyktatorskiej władzy i kuźnią światobórczych planów. Politbiuro to był symbol — obecnie symbolu tego nie ma, jest Prezydium, zupełnie jak w Towarzystwie hodowców królików lub w związku filatelistów. Jakżeż się dziwić poczciwym (mniej lub więcej) i leniwym (raczej więcej niż mniej) sprawozdawcom prasy zachodniej, wzięwszy jeszcze pod uwagę okres wakacyjny, że obwieścili oni światu demokratyzację Partii Komunistycznej, czyli coś wprost przeciwnego sensowi dokonanych zmian. Były oczywiście wyjątki, przyszły oczywiście później nieco bardziej wnikliwe analizy, ale w umysłach przeciętnego czytelnika pozostał zamęt i przypuszczenie, tak bardzo

odpowiadające wishfull thinking, że może jednak to demokratyzacja.

Tymczasem nie jest to demokratyzacja, ale przystosowanie się do terminologii krajów zachodnich w przewidywaniu, że będą one miały więcej do czynienia z partiami komunistycznymi. Takie zmiany języka i terminologii przypominają mi nieoczekiwane posunięcie Hitlera w czasie drugiej wojny światowej, kiedy to ni stąd ni zowąd zniesiono w Niemczech alfabet goetycki, po to, by Bekanntmachungen były łatwiejsze do przeczytania w oryginale.

Zniesienie Polit- i Orgbiura ma jeszcze inne znaczenie. Organy te istniały nie tylko w Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, ale również w partiach komunistycznych republik związkowych. Powiedzmy dokładnie w 15 partiach komunistycznych republik związkowych, gdyż pierwsza republika rosyjska własnej partii komunistycznej nie ma, wchodząc bezpośrednio do partii wszechzwiązkowej.

Politbiura są tradycyjnie organami, w których wolno prowadzić dyskusję i w których wolno przeprowadzać niejednomyślne głosowanie. W statucie partii wszechzwiązkowej o tych Politbiurach partii republikańskich nie ma ani słowa, są one powoływane na podstawie ich własnych statutów, ale już obecnie republikańskie partie komunistyczne przeprowadzają zjazdy, mające na celu przystosować statuty do nowych zasad organizacji KPZS, a zatem znieść biura polityczne, powtarzając przepisy rozdziału 5 nowego statutu, który partiom republikańskim wyznacza dokładnie takie same miejsce, jak komitetom rejonowym (oblastnym) na terenie rosyjskiej republiki związkowej. (N. B. w Polsce oblast tłumaczy się: województwo).

Mimoходом załatwiono się więc także z problemem dalszego ograniczenia władzy partii republikańskich. By zrozumieć istotę tej reformy należy sobie uprzytomnić zasadniczą różnicę układu stosunków między Partią a państwem na Wschodzie i na Zachodzie. Podczas gdy na zachodzie państwo jest instytucją ponadpartyjną, na wschodzie Partia jest organizacją ponadpaństwową. Po prostu państwo jest narzędziem Partii, narzędziem bardzo ważnym, głównym, ale jednak narzędziem.

Stąd na przykład podległość państw Europy środkowej wobec Rosji jest pochodną zależności tych partii od KPZS i taki układ stosunków planowany jest dla całego świata. Bierut, Gottwald, Ulbricht czy Rakossy nie otrzymują instrukcji od rządu Związku Sowieckiego lecz od Politbiura wzgl. w przyszłości od prezydium KPZS.

W przemówieniu samokrytycznym Gomułki na Plenum sierpniowym PPR w 1948 r. sprawa postawiona została zupełnie jasno:

„Rdzeniem kompleksu prawicowo - nacjonalistycznego... musiał być mój stosunek do Związku Radzieckiego, do WKP(b)... W praktyce stosunek mój sprowadzał się nie tyle do partyjnego stosunku między WKP(b) a PPR, lecz raczej do

państwowego stosunku między Polską a ZSRR... Nigdy nie zrodziła się we mnie myśl, że Polska może kroczyć naprzód po drodze do socjalizmu... bez oparcia się o Związek Radziecki. Te rzeczy rozumiałem, lecz trudno mi było przedstawić w praktyce — bo rozumowo to nieraz doceniałem — mój stosunek do Związku Radzieckiego *pr z e d e w s z y s t k i m* na płaszczyźnie ideologicznej, partyjnej". (Podkreślenie moje).

Ta samokrytyka jest niezwykle pouczająca. Wykazuje ona, że w pewnym sensie komuniści są logiczni występując w charakterze obrońców niepodległości państw, zagrożonej przez taki czy inny „imperializm”. Bowiem państwa, wchodzące w skład bloku komunistycznego są wedle języka komunistycznego niepodległe. Tylko że ludzie, którzy tymi państwami kierują poddani są władzy Partii, a Partia uznaje przodującą rolę KPZS.

Nie jest to bynajmniej rozróżnienie pozbawione wszelkiego znaczenia. Po pierwsze odpowiada ono zamiłowaniu ludzi wychowanych w szkole leninowskiej do chwytów dialektycznych, po drugie pozwala na operowanie pewnymi hasłami w sposób, zapewniający zupełnie odmienne ich rozumienie przez członków partii i przez masy nieuświadomionych, do której to grupy zaliczyć możemy spokojnie znakomitą większość tzw. kół intelektualnych na Zachodzie, łącznie z komentatorami wydarzeń w Partii.

Odmienne ustawienie innych partii komunistycznych wobec KPZS, podkreślenie światowej roli KPZS, to jeden ważny aspekt nowego statutu Partii. Nie mniejsze znaczenie przypisać możemy zmianom ideologii partyjnej, wynikającym zarówno z ewolucji wewnętrznego rozwoju Rosji, jak i z ewolucji doktryny stalinowskiej.

Wstęp do statutu Partii, określający postawę ideową, uległ zupełnej przeróbce i jest dziś paragrafem pierwszym statutu. Zestawimy ze sobą dwa teksty pierwszego ustępu, bo to nam najwyraźniej uwydatni różnice.

DAWNE BRZMIENIE

WKP(b), jako sekcja międzynarodówki komunistycznej jest zorganizowanym, czołowym oddziałem klasy robotniczej ZSRR, najwyższą formą jego organizacji klasowej. W swej działalności Partia kieruje się teorią Marksizmu - Leninizmu.

NOWE BRZMIENIE

KPZS jest ochotniczym związkiem walki jednakowo myślących komunistów, zorganizowanym spośród ludzi, należących do klasy robotniczej, pracujących włościan i pracujących inteligencji.

Podkreśliłem, co z pierwszego ustępu deklaracji zniknęło. A zniknęły trzy ważne sformułowania. Prócz powołania się na przynależność do Międzynarodówki, o czym już pisałem, znika określenie Partii jako organizacji klasy robotniczej i znika powołanie się na marksizm - leninizm.

Jeżeli chodzi o porzucenie określenia „przodujący oddział klasy robotniczej”, to jest to logicznym następstwem układu stosunków w WKP(b). Nie chodzi tyle o włościan, co o inteligencję, która w Partii odgrywa tak dominującą rolę, że absurdem było nazywanie jej czołowym oddziałem „klasy robotniczej”. Równocześnie otwarcie drogi do równego stanowiska w Partii chłopom (tj. kołchoźnikom) odbiera Partii charakter klasowy, nadaje jej charakter uniwersalny społecznie, jak ma on być uniwersalny w płaszczyźnie międzynarodowej.

Trudniejsze jest do wytłumaczenia opuszczenie określenia „czołowy oddział” (czy też awangarda), które przecież mogło być zastosowane do elity wszystkich trzech grup społecznych: robotników, chłopów, inteligencji. Zjawia się za to określenie „ochotniczy związek walki”. I to właśnie określenie ma znaczyć to samo, skoro nie tak łatwo dostać się do tego związku bez rekomendacji i poręczeń (mówią o tym paragrafy 5-7), za które gwaranci ponoszą odpowiedzialność. Ochotnicze oddziały w walce bywają awangardą, a brzmi to zgrabniej i demokratyczniej i nie nasuwa myśli o przywilejach, czyli o nowego typu różnicach klasowych między partyjnymi i bezpartyjnymi.

Może najbardziej wymowne jest opuszczenie marksizmu-leninizmu. W statutach partii komunistycznych krajów ujarzmionych wspomina się już tytułem próby o leninizmie - stalinizmie.

Ale w statucie czołowej partii komunistycznej świata trudno sobie na to pozwolić, gdyż jest on zagranicą zbyt pilnie studiowany. Twierdzenie, że w Rosji zastąpiono marksizm stalinizmem jest na Zachodzie głównym orężem walki socjal-demokratów przeciw komunistom.

Składnają jednak Marks jest bardzo niewygodny. Można go dawać do czytania intelektualnej elicie Partii, ale proklamowanie Marksa jako najwyższego autorytetu, stwarza dla Partii dylemat sprzeczności, który przeraża nawet ludzi, przyzwyczajonych przez całe życie do osiąganie sukcesów i zwycięstw metodą ujawniania sprzeczności i ich przezwycięzania.

Nie chodzi bynajmniej o klątwę rzuconą przez Marksa na imperializm rosyjski, jakkolwiek i to jest kłopotliwe — wszak opuszczono w moskiewskim zbiorowym wydaniu dzieł Marksa 8 artykułów mistrza. Ale ten kłopot, to drobiazg w porównaniu z kluczowym zagadnieniem marksistowskiej metody dialektycznej.

Przeciwstawne siły w rozwoju świata materialnego, a co zatem idzie także i w rozwoju społeczeństwa wciąż się ścierają, ale starcie ich jest właśnie źródłem i warunkiem wszelkiego rozwoju życia ku formom coraz doskonalszym. Starcie świata pracy i kapitalistów doprowadza do utworzenia ustroju socjalistycznego. W tym miejscu kończy się ewolucja ustroju społecznego, powstaje ustrój idealny, najlepszy, jedyny, w którym nie ma już ucisku społecznego, nie ma też państwa, jako narzędzia tego ucisku, triumfują ideały wolności. Cóż jednak dzieje się z pra-

wami ewolucji? Co dzieje się z dialektyką rozwoju społecznego, skoro znikają przeciwieństwa i znika ich wieczne ścieranie się, źródło wiecznego rozwoju i postępu?

Jest tu w Marksizmie pewne niedopowiedzenie. Kres ewolucji społecznej był dla Marksa swego rodzaju absolutem, ustrojem bezwzględnie najlepszym, ocenionym jako najlepszy na podstawie kryteriów, które nie były ani dialektyczne, ani materialistyczne, ani relatywne. Ta wewnętrzna sprzeczność dialektyki materialistycznej przezwyciężona nie została i moim skromnym zdaniem nigdy przezwyciężona nie będzie.

To co dotychczas robią staliści, by sobie dać radę z wewnętrzną sprzecznością systemu jest raczej nędznym wybiegiem, niż poważną próbą opanowania zagadnienia. Najpierw podzielono błogosławioną erę realizacji doktryny na dwa etapy: socjalistyczny i komunistyczny, co było prolongatą weksla na wszelką szczęśliwość, wystawionego w okresie płacenia odsetka krwi milionów ofiar rewolucji. Po tym Stalin wykonał swoją swoistą teorię obumierania państwa, tego narzędzia ucisku klasowego. „Obumieranie państwa — powiada mistrz — nastąpi nie poprzez osłabienie władzy państwowej, lecz poprzez jej maksymalne wzmocnienie”. To stalinowskie ujęcie procesu wymierania jest nędznym wykrętem. Pozwala na utrzymanie mitu społeczeństwa bez ucisku państwowego przy równoczesnym wzmacnianiu tego ucisku do granic, przechodzących dotychczasowe wyobrażenia o możliwościach, jakie daje maszyna policyjna.

Drugi wybieg, to, jak wiadomo, okrażenie kapitalistyczne. Walka musi trwać, bo bez rozżarzonego boju nie sposób uzasadnić potrzeby dyktatury, nie sposób uzasadnić konieczności żelaznej dyscypliny. Partia musi „wszechstronnie wzmacniać aktywną obronę ojczyzny sowieckiej przed agresywnym działaniem jej wrogów” (z 1-go paragrafu nowego statutu). Można sobie wyobrazić, że w razie triumfu światowego rewolucji stalinowskiej, trzeba będzie jeszcze przez dziesiątki lat przezwycięzać w walce resztki nawyków kapitalistycznych.

Doświadczenia rosyjskie uczą jednak, że na miejsce tych nawyków rodzą się nowe, w nowym środowisku powstają „wielkopięśne narowy” u dygnitarzy partyjnych, powstaje ucisk należącego do Partii przez partyjnika, ucisk i wyzysk szarego członka Partii przez partyjnego dygnitarza, chciwość korzyści materialnych i chciwość najwyższej rozkoszy ziemskiej, jaką daje władza.

Taki układ stosunków produkcyjnych, które w Związku Sowieckim są równocześnie stosunkiem aparatu rządzącego do rządzonych, stanowi bazę. Baza ta musi mieć swą nadbudowę ideologiczną.

Cóż za straszna pokusa dla marksisty: zanalizować Związek Sowiecki metodą marksistowską, zastosować pojęcie bazy i nadbudowy do tych sprzeczności, jakie rodzą się w łonie komunistycznej partii Związku Sowieckiego, czy też w całym Związku Sowieckim!

Kierownicy nie są bezbronni w walce z tymi sprzecznościami. Narzędziem ich przewyciężenia jest Komitet Kontroli Partyjnej, przekazujący w razie potrzeby sprawy o naruszenie dyscypliny partyjnej, o nadużycia, nawet o rozwiązły tryb życia osobistego, aparatowi wykonawczemu Partii, jakim jest ministerstwo bezpieczeństwa publicznego. Cały ten aparat stać ma na straży etyki partyjnej. Jeżeli komunizm ma być religią, to jego kościołem i duchowieństwem są władze bezpieczeństwa a konfesonami izby przesłuchań. One właśnie okiełznać mają te siły, których mit ostatecznego raju ustroju komunistycznego przezwyciężać nie mógł, skoro doktryna głosi, że nie ma nic absolutnego, nic ostatecznego, a więc i sam mit nie jest ostateczny, jego osiągnięcie musi rozpętywać nowe siły, doprowadzić do nowych rewolucji i obalać nowy porządek, choćby ten nowy porządek ustanowiony był w całym naszym świecie.

Mit raju komunistycznego staje się niebezpiecznym dla jego twórców, gdy nadchodzi czas jego realizacji. Cała wartość mitów ostatecznych może być zachowana tylko przez odsunięcie ich w samym założeniu do innego świata. Trudno sobie wyobrazić coś mniej logicznego niż zapowiedź realizacji ustroju bezwzględnie doskonałego przez szkołę, głoszącą właśnie naukę o niekończącej się ewolucji, wiecznym ścieraniu się przeciwieństw i uniwersalnej względności. Przecież w gruncie rzeczy z chwilą osiągnięcia ustroju komunistycznego prawi dialektycy materialistyczni powinniż zaraz doszukać się w nim nowych sprzeczności, przejść do walki o jego obalenie w drodze rewolucyjnej, by dojść do realizacji nowej syntezy w społeczeństwie ludzkim. Marks jeszcze tego nie rozumiał, ale obecni przywódcy Rosji muszą to już widzieć.

Jeżeli nie w swym systemie, to w świecie swych uczuć i swego działania podstawili w miejsce ustroju komunistycznego (pamiętajmy, że ma to być ustrój bezpaństwowy) — program zupełnie inny, bardziej realny, do osiągnięcia zupełnie możliwy, leżący w granicach instynktownych pragnień, zrodzonych przez dzieje każdego narodu, świadomego historii swego rozwoju od skromnych początków do roli światowej. Obecny celem ich nie jest świat bez rządu, lecz przekształcenie „prezydium” w rząd światowy oraz uznanie Partii, oficjalne uznanie, za czołową partię świata, tudzież wprowadzenie sankcji na tych, którzy by jej czołowej roli uznać nie chcieli.

Jest więc wewnętrzna logika rozwoju w równoczesnym wydatnieniu nowych zasad organizacyjnej hierarchii partii komunistycznych oraz w pierwszym kroku ku przekształceniu doktryny.

Powiedzmy sobie, że ten krok jest ostrożny. W dalszych punktach statutu czytamy, że członkowie Partii muszą znać zasady marksizmu - leninizmu. Będą one nadal odgrywać wielką rolę, jako oręż prowadzący do celu, ale wolno powątpiewać czy ten cel ma ściśle odpowiadać naukom Marksa.

Gdyby się kiedyś chciało zastąpić marksizm - leninizm n.p. leninizmem - stalinizmem powszechnie i oficjalnie, trzeba by było

coś więcej powiedzieć o znaczeniu tej przemiany, a mądra teza Stalina o „zamieraniu państwa przez jego wzmacnianie” nie bardzo zadowolić by mogła dialektyków.

Na razie redaktorzy nowego statutu dobrze sobie musieli łać głowę, by określić w jakim etapie właściwie znajduje się Związek Sowiecki. Poprzednio Partia przewodziła całemu narodowi sowieckiemu w walce o konsolidację dyktatury klasy robotniczej. Obecnie stwierdza się w formie wyliczenia historycznych osiągnięć WKP(b), że dyktatura proletariatu została przez Partię zorganizowana. Tym niemniej w paragrafie 28 wyrzucono określenie Partii jako „partii dyktatury proletariatu”. W systemie marksistowskim dyktatura proletariatu jest konieczna dla przezwycięzania kapitalizmu i tylko tak długo potrzebna, jak długo kapitalizm nie jest przezwyciężony. „Obecnie główne zadanie KPZS — stwierdza ustęp 3 art. 1 w nowym brzmieniu — polega na tym, żeby budować społeczeństwo komunistyczne drogą stopniowego przechodzenia od socjalizmu do komunizmu”. Formuła, jak widzimy, dość nieokreślona i przezornie podkreślająca, że przechodzenie od socjalizmu do komunizmu ma się odbywać stopniowo. I tu znowuż powstaje dialektyczna trudność.

Nie gdzie indziej, jak w redagowanym przez Stalina wykładzie doktryny dla mas, w krótkim kursie historii WKP(b) czytamy, że „dialektyka traktuje proces rozwoju... jako taki, który przechodzi od nieznacznych i ukrytych zmian ilościowych do zmian jawnych, do zmian zasadniczych, do zmian jakościowych, w którym zmiany jakościowe następują nie stopniowo lecz szybko, nagle w postaci przeskoków od jednego stanu do innego... Jeżeli przejście powolnych zmian ilościowych w szybkie i nagle zmiany jakościowe jest prawem rozwoju, to jasne jest, że przewroty rewolucyjne dokonywane przez klasy uciskane są zjawiskiem zupełnie naturalnym i nieuniknionym, a zatem przejście od kapitalizmu do socjalizmu i wyzwolenie klasy robotniczej spod jarzma kapitalistycznego może być urzeczywistnione nie drogą powolnych zmian, nie drogą reform, lecz jedynie drogą jakościowej zmiany ustroju kapitalistycznego, drogą rewolucji”.

Spróbujmy teraz sformułować poprawnie, dialektycznie pogląd na przechodzenie od socjalizmu do komunizmu.

A zatem: „przejście od socjalizmu do komunizmu i wyzwolenie klasy robotniczej spod jarzma dyktatury WKP(b) może być urzeczywistnione nie drogą powolnych zmian, nie drogą reform lecz jedynie drogą jakościowej zmiany ustroju, drogą rewolucji”.

Jak widzimy dialektyka nie jest pozbawiona niebezpieczeństw, gdy obrócić ją w inną stronę. Jeżeli już ustrój komunistyczny jest jakościowo różny od socjalistycznego, to dlaczego przejście od jednego do drugiego ma być stopniowe, a nie po stalinowsku dialektyczne, to jest rewolucyjne?

I tu znowuż poprawną dialektykę zastąpić ma długie, staranne, szczegółowe wyliczenie obowiązków członków Partii, w którym najwięcej miejsca zajmują przepisy o dyscyplinie i denuncjacji. Dla czuwania nad tą dyscypliną, powołuje się też Komitet

tet Partyjnej Kontroli z aparatem pełnomocników, działających aż do najniższych stopni hierarchii partyjnej niezależnie od miejscowych organów partyjnych. Wszystko razem wzmacnia dyktaturę, choć KPZS nie jest już partią dyktatury proletariatu.

Komitet Kontroli Partyjnej ma też zapewnić nieomyślnie decyzji personalnych. Pod tym względem dawny statut zawierał przepis sformułowany dość oryginalnie. Ustęp 2 paragrafu 10, traktujący o wykluczaniu członków Partii przewidywał, że „komitety rejonowe, terytorialne i centralne komitety partii republikańskich winny ogłaszać w miejscowej prasie decyzje o wykluczeniu członków z Partii i wskazywać powody wykluczenia, a także ogłaszać o ponownym przyjęciu do Partii osób omyłkowo wydalonych”.

Przepis zrozumiały na tle wahań kursu w okresie masowych czystek. Obecnie już na skutek rozpatrywania przez Komitet Partyjnej Kontroli apelacji od decyzji wykluczających nie przewiduje się widać ponownego przyjmowania do Partii osób omyłkowo wydalonych, co ma być objawem stabilizacji stosunków wewnętrznych i wyjścia z okresu walk frakcyjnych.

Rzecz znamienna, że Chruszczew w tezach swego referatu o zmianach statutu Partii, które były ogłoszone przez prasę, nad większością zmian przechodzi do porządku jakimś frazesem lub stwierdzeniem, że taką właśnie zmianę „uznano za właściwą”, natomiast bardzo szeroko rozwodzi się o dyscyplinie partyjnej. Bezpośrednio po stwierdzeniu, że społeczność sowiecka składa się z klas zaprzyjaźnionych, a jedność moralna sowieckiego narodu krzepnie, przechodzi on do narzekania na formalny stosunek do Partii, na zanik ducha awangardy (tu zjawia się ta awangarda, usunięta z pierwszego paragrafu statutu) oraz podkreśla konieczność walki przeciwko (dosłownie) „tendencjom do wierzenia, że wszystko idzie ku lepszemu”. Na zewnątrz, wobec partyjnej masy, pigułka zaostrzonej dyscypliny i konieczności większego wysiłku bojowego osłodzona jest ostrą krytyką góry partyjnej i jeszcze większym naciskiem, położonym na konieczność denuncjowania przełożonych w razie ich jakichkolwiek niedociągnięć.

Tezy Chruszczewa, jeszcze bardziej niż samo wyliczenie obowiązków członka Partii wskazują na to, że biurokracja sowiecka rozwija się pomyślnie jako klasa wyzyskująca i jako narzędzie ucisku, mimo wszelkich, nie od dziś datujących się wysiłków, mających zapobiec przekształceniu elity zmuszającej naród do największego wysiłku dla osiągnięcia jego politycznych celów w elitę szukającą zaszczyców i wygodnego życia na koszt innych, a bez nadmiernych wysiłków.

Komitet Kontroli Partyjnej walczyć ma z tym zjawiskiem, tępiąc nie tylko typowe przestępstwa naruszenia dyscypliny i moralności partyjnej, takie jak frakcyjność i tzw. dwulicowość, ale także rozwiązłość obyczajów.

Partia wymaga od swoich członków więcej niż wymaga się od zwykłego obywatela Związku Sowieckiego. Chodzi o zapew-

nienie właściwej równowagi między większymi prawami a większymi obowiązkami i wyższym poziomem etyki partyjnej.

Jeśli chodzi o prawa Chruszczew przyznał, że w dotychczasowym statucie były one „nieco ograniczone” wobec czego trzeba je na nowo sformułować — ale nowe sformułowanie art. 4 różni się tylko stylistycznym ujęciem od dawnego art. 3 i jest dosłownie takie same, jak ujęcie praw członka w statucie PZPR, uchwalonym jak wiadomo w grudniu 1948 r. Ponieważ trudno przypuszczać, by statut KPZS brał sobie za wzór statuty PZPR trzeba przyjąć, że nowe ujęcie praw członka leżało już dawno gotowe w Moskwie, czekając na Kongres Partii, a w międzyczasie było zalecone partiom w krajach ujarzmionych.

Wśród wielu komentarzy na temat zwołania XIX Kongresu stale powtarzało się twierdzenie, że jest to objaw konsolidacji stosunków wewnątrz Partii.

XIII Zjazd Partii odbywał się w maju 1924 r. w okresie najostrzejszej walki między Stalinem i Trockim.

XIV Zjazd Partii odbywał się w grudniu 1925, w okresie ostrej walki z grupą Zinowiewa i z tzw. grupą leningradzką.

XV Zjazd Partii z grudnia 1927 r. był przygotowaniem do kolektywizacji i równocześnie terenem ostatecznej rozgrywki z tzw. blokiem trockistowsko-zinowiewowskim.

XVI Zjazd Partii z czerwca 1930 r. odbywał się w czasie maksymalnego nasilenia walki „o likwidację kułactwa” czyli w okresie najsilniejszego kryzysu, jaki Rosja przechodziła. Kryzys ten przeciągał się aż po rok 1934, kiedy odbył się Zjazd XVII, będący prologiem do likwidacji Bucharina, Rykowa i Tomskiego. A potem przyszła stabilizacja i przerwa do marca roku 1939, czyli do przede dnia wojny.

Teorię, że w latach 1945-1951 sytuacja Partii była mniej ustabilizowana niż w 1925 czy 1930 r. uznać chyba można za nieco zbyt uproszczoną i jednostronną.

Zwoływanie Kongresu Partyjnego wcale nie jest uwarunkowane ustabilizowaniem sytuacji. Kongres i wybory na Kongres to narzędzie do przezwycięzania trudności. Partia właśnie obecnie przechodzi kryzys, właśnie obecnie ma do przezwycięzania wielkie trudności. Rosja umie dziś może lepiej te trudności ukrywać, ale uważny czytelnik prasy sowieckiej wie dobrze o tym, że wykończenie procesu socjalizacji rolnictwa pociągnęło za sobą wielki opór mas chłopskich i ujawniło demoralizację w szeregach samej Partii.

Opór jest bardziej ukryty. Jego formy są zupełnie inne, bardziej nieuchwytnie. Chłopi nie bronią siekierami swych krów, ale wnoszą mleko z obór, zapewniwszy odpowiedni udział kierownikom Partii w kolchozie. W wielu kolchozach organizacje partyjne zamieniają się w spółki handlowe, prowadzące na wielką skalę „czarny” handel.

Te same metody stosowane są i w socjalistycznym przemyśle. Kierownictwa przedsiębiorstw zgrały się z ośrodkami par-

tyjnymi w dobrze zorganizowane szajki, operujące w myśl zasady „ręka rękę myje”.

Partia rozleniwiała się, nie łamie nieuchwytnego, cichego oporu.

Prymitywne metody pierwotnego stachanowizmu okazują się zawodne, gdyż doprowadzają do niszczenia urządzeń produkcyjnych i obniżenia jakości produkcji.

Równocześnie zadania planu pięcioletniego nie są umiarkowane i doprawdy nie wiadomo w jaki sposób osiągnąć cel zawsze zaplanowany, a nigdy nie osiągnięty, jakim jest wielkie podniesienie wytwórczości rolnej.

Zbrojenia amerykańskie narzucają bezwzględłą konieczność wzmocnienia tempa produkcji broni.

Partia rusza więc do walki z wielkimi trudnościami. Ale nie ludźmy się i nie pocieszajmy się tymi trudnościami. Jest to ulubiona zabawa pewnego typu komentatorów wydarzeń w krajach komunistycznych. Na zawodach piłki nożnej w Pikutkowie zabrakło w kiosku wody sodowej, w sklepach warszawskich nie ma agrafek, a w Katowicach znowu trudno o sznurowadła. Malenkow pokłócił się z Mołotowem, a Bierut z Mincem.

Wszystko to może i prawda, ale nie zapominajmy, że Partia wzmacnia się oczyszczając swe szeregi i że Partia zawsze miała, zawsze ma, zawsze mieć będzie ogromne trudności.

Będzie je mieć zawsze dlatego, że sama je sobie stwarza i stwarza je sobie celowo, stawiając sobie zawsze możliwie najtrudniejsze do spełnienia zadania.

Gdy tylko Partia widzi, że wysiłek zaczyna słabnąć, że ludzie zaczynają porastać tłuszczem, gdy wytknięte im zadania spełnić mogą bez wysiłku, który my na Zachodzie nazwalibyśmy nadludzkim, pada rozkaz walki z „Zaniżonym planowaniem”. Nie wolno popełniać grzechu, który polega na tym, że się od ludzi wymaga za mało, że się im pozwala na życie zbyt łatwe.

Planowanie na miarę wytkniętych zadań stwarza wielkie trudności, które są uważane za konieczność, których ciągle przezwycięzanie jest warunkiem rozwoju. Na tym przecież polega istota każdego reżimu totalnego, który jednostkę uważa za nic, jeśli ta jednostka ma być ceną osiągnięcia celów zbiorowości.

Zadaniem konkretnie ożywiającym szeregi Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego jest to, co może być osiągnięte, to co może zaspokoić proste, naturalne instynkty zespołu, nazywanego narodem sowieckim.

Wspominając, dla zachowania pozorów obowiązujących obrońców pokoju o agresywnych zamierzeniach wrogów Sowietkiej Ojczyzny statut Partii wzywa wszystkich, którym ta Ojczyzna jest drogą do umacniania „wszelkimi siłami jej aktywnej obrony”. Czyż można się było posunąć dalej, czyż można było znaleźć słowa, formułujące tę myśl ostrzej w przede dniu światowego Kongresu Pokoju, którego celem jest dalsze uspakajanie świata, który tak bardzo jest przywiązany do życia łatwego, w czasie gdy

Prezydium stwarza nowe trudności, jakie wskaże narodowi sowieckiemu do przewyciężenia?

W innym dokumencie, ogłoszonym równocześnie z projektem nowego statutu Partii, w dyrektywach do planu pięcioletniego jest ustęp zredagowany spokojnie i rzeczowo, jak memoriał rzeczoznawców gospodarczych Narodów Zjednoczonych. Zacytujmy te dyrektywy:

„Urzeczywistnić na wielką skalę przeniesienie baz wyrębu drzewa... zwłaszcza w okolicy północy, Uralu, zachodniej Syberii i Karelo-Fińskiej Republiki Związkowej, zmniejszyć wyręb w rejonach słabego zalesienia, zmniejszyć sezonowość wyrębu i w tym celu przeprowadzić w nowych rejonach budowę zakładów zmechanizowanych, zapewnić im stałe kadry robotników”.

Być może, że te rzeczowe wskazania w oczach czytelnika jakiegokolwiek zachodnio - europejskiej gazety będą dowodem racjonalnego rozwoju mądrzej, planowej gospodarki.

My jednak wiemy, że każde słowo oznacza tu hekatombę ofiar. Musimy myśleć o tych ofiarach, by uwolnić się od oszałamiającej sugestii, jaką wywiera żelazna konsekwencja rozwoju potęgi czołowej partii komunistycznej świata. Czyż można uwierzyć, by ludzie tak mocno przywiązani do swej sowieckiej ojczyzny z lekkim sercem pchali sowiecki naród do takich ofiar dla doktryny wciąż przez siebie gwałconej i naginanej do celów polityki?

Świat wchodzący w okres jedności potrzebuje dziś kierownictwa, rozgląda się za tymi, którzy ukazują mu obraz jakiejś koncepcji światowego ładu, ulega sugestii tych, którzy zdają się wykazywać konsekwencję w realizowaniu swych światowych zamierzeń.

Ale każda próba rozszyfrowania ich istoty doprowadza do wniosku, że zamierzenia te odeszły daleko od mitu ustroju komunistycznego. Dziś chodzi o to, by uwolnić naród sowiecki od nadmiernych ofiar i nadludzkich wysiłków, więcej, by wynagrodzić mu minione cierpienia nagrodą nie w postaci życia społecznego bez rządu i władzy rządowej, ale w postaci rządu światowego i do brze zdyscyplinowanego świata, kierowanego mocną dłońią sowieckich ludzi.

Nie przewyciężenie wewnętrznej sprzeczności diamentu, ale przewyciężenie sprzeczności między wolą elity narodu sowieckiego a wolą narodów, mających swoją koncepcję ładu wolności, stanowi istotną troskę prezydium KPZS. Dziwna niekonsekwencja doktryny przy konsekwencji działania może w ten sposób znaleźć swe wytłumaczenie.

Wojciech ZALESKI

Katedra Sandwiczów

Amerykańskim zwyczajem autor oświadcza, że wszystkie występujące w „Katedrze” osoby są imaginowane, jakiegokolwiek podobieństwa zdarzyć się mogące, są koincydencjonalne tak co do osób, co do miejsc i co do zdarzeń — i za jakiegokolwiek koincydencje autor odpowiedzialności nie bierze. Pełną odpowiedzialność autor bierze jedynie za PRZEPISY, figurujące w tekście.

I.

Z luki statku na pokład, a stamtąd na ląd (z Książką pod pachą) zgrabnie się wyslizgnąwszy — poszedł Kostek z obowiązku szukać szwedzkiego konsula. Nie z wiary w powodzenie, ale z obowiązku, żeby nie sobie nie mieć do wyrzucenia. Chodził po obcym mieście dość niedługo, bo smykałką swoją obiężyświacką prędko co trzeba znalazł. Więc wszedł. Szwedzką, norweską, angielską mieszaniną naprzód paniencę wyjaśnił o co chodzi, potem panu, potem ktoś trzeci przyszedł i słuchał. Więc Kostek z gestami opowiadał, jak to w Bije, udawszy się po kuchenne zakupy, zgubił M.S. Gotland, jak ten Gotland bez niego odszedł złośliwie, co przez to wycierpiał moralnie i fizycznie, ile się najadł złego — i że teraz właśnie do tego portu przyjechał na blinda — i prosi pana konsula o należny mu z Gotlandu over-time, 320 koron i paszport.

Kłamstwo to było ma się rozumieć wredne, bo wcale nie zgubił Gotlandu, ale go puścił kantem, jak puszczał tyle już przedtem okrętów, gdy kapitan mu zbrzydł, konserwowe ku-

*) „La Catedral de los Sandwiches”, ul. Termópilas, 502, Punta Chata.

charowanie nadojadło, a na łądzie zapachniało żarcie, picie i dziewczynki.

— Ale — szwedzka jego mać! — obowiązkiem konsula jest uwierzyć, zapisać i zapłacić! — Kostek Napierski, mały wzrostem, z szeroko rozstawionymi uszkami — z Książką pod pachą — balansował z nogi na nogę sympatycznie, poręcz konsularnego krzesła niby z nieśmiałości głąkał i tym swoim szwedzkim, norweskim, angielskim wokabulerem gadał a gadał...

Uwierzyć, może i uwierzyli, zapisać zapisali, ale forsy, jak przewidywał, nie dali. Natomiast sumienie miał Kostek czyste, że się nie polecił, sprawy nie zlekceważył i wszystko co w ludzkiej mocy uczynił dla swego szczęścia.

Lekki na duchu, opuścił konsulat i nad sytuacją zastanowił się poważnie.

Sytuacja jest taka: Forsy w kieszeni zero. Dwa banany, zabrane z łajby, będą na obiad. O tej porze wszystkie morskie Polusy, jacy mogą się znaleźć w porcie, odsypiają swoje z dziewczynkami. O własnej żonie też dopiero wieczorem będzie można pomyśleć. Na ryby w międzyczasie warto było pójść! No to pójść! W malowaną pogodę ryby łowić idea prima, gastronomiczna. Wędkę nie ma! Poszukać nie szkodzi. Zatem — punkt pierwszy programu: Mysz, hajda po wędkę!

Mysz, czyli Kostek, tak od siebie prywatnie a przez innych publicznie był nazywany dla puszystości skóry i dla uszu jak u myszy co lata. Z 50 walk i bójek i rżniętek za tę „Mysz” odbył po barach i pięści sobie przy tem nabijał i krwi sporo stracił — albowiem mysz nie był, ojciec Napierski, a matka Marianna Kurek.

Kostka życiowy kunszt ujawnił się w całej pełni, gdy prowadził starania o wędkę. Języka nie znał, nikogo nie znał, zatokę portową widział za mgłą — od razu znalazł molo wpuszczone w morze, kamieniami podmurowane, a na tych kamieniach po obu stronach wielkie zgromadzenie rybaków i rybaczek w kucki siedzących i zadowolonych. Kostek szedł sobie po molo, z Książką pod pachą, zagzakiem, od krawędzi do krawędzi, zrobił ro kroków, zrobił 20, nigdzie się nie zatrzymał, krótkim spojrzaniem każdego rybaka taksował — i szedł dalej. Szedł i szedł, bo molo miało kilometr długości, na końcu była mała latarnia morska. Aż stanął. Kucnięty rybak — murzyn palcami w przynęcie przebierał.

Skąd Kostek wiedział, że to jego murzyn? Musiał wiedzieć, bo stanął, i stał nad nim, nie nad innymi, może minutę, może dwie, nachylił się z mola ku kamieniom i pisał kunsztownie: pii!

Właśnie mewa przelatywała i skrzydłem skroiwszy wodę, pisała podobnie.

Murzyn, w prądkowanym łaszku na grzbiecie, podniósł kościsty łeb, tytnął na mewę, ale nie złapał, bo już była po drugiej stronie — więc w Kostka wlepił oczy i na nim trzymał.

Jednocześnie przynętę rwał w palcach na dzwonka dość powoli. Minutę to znowu trwało, albo dwie. Nagle zaśmiał się szczęśliwie: pii!

Kostek oczywiście natychmiast z mola zeskoczył na kamień. I do murzyna: Okej? Ty pi i ja pi! Okej? — Głową kiwał. Murzyn głową kiwnął. Na co Kostek: — Błat?!

I zaraz najbezzwłoczniej w świetle chwycił za wędkę. Na dwie wędkę murzyn łowił ryby swoje, trzecia leżała na kamieniu w zapasie, i tę trzecią Kostek miał na oku, mówiąc: błat!

— Błat! — powtórzył murzyn, dzwonko krewetki nadziejąc na kostkową wędkę. — Ty błat, a ja — wskazał na siebie — Julio César...

Kostka na razie przestała obchodzić dalsza amicycja. Przeskoczył trzy kamienie, znalazł płaski kamień i z tego kamienia świsnął linką w morze. I kucnął. Książkę położył przy sobie. Między nim a murzynem nastała święta, rybacka cisza.

W tej ciszy słońce smażyło w oczy, mewy to skrzydłem to dziobem krajały wodę, Julio César łowił, inni łowili, Kostek też ryby swoje na wędkę pogodnie łowił.

I — bracie Polaku — z morskiego przyzwyczajenia samemu sobie podgadywał — a rusz-że mózgiem, bracie Polaku i zgadnij: jakie łowić się będą rybki tutejsze, południowo amerykańskie? Czy pierzaste będą, jak japońskie, czy w kolorze bzu jak na Madagaskarze, czy jeszcze będą inakse? Czy do smażenia lepsze, czy do gotowania w jarzynie, a może która z rodzenkami ujdzie w smaku za karpia? Ryby w każdym kraju są inne, i żony w każdym kraju są inne... E...

...e, bracie Polaku, a rusz-że wędką — a pociągnij!... pociąg! — cyk! jest ryba! Cyk, cyk, malutka! Srebrniusińka, jak paperek od czekoladki, smukłutka — co się tak trzepoczesz, jak nasza plotka? No pokaż się maleńka, nie wstydź się, nie fyrgaj — tuś mi mała, z prątkiem czarnym na grzbiecie, ślicznym bardzo. Dla urody twojej zrobić cię najlepiej — na patelence z masłem rumianym, a na grzbiecik dać trochę siekanej pietruszki!

W trakcie tego doskoczył Julio César, palcem na rybę wskazał i nauczył: — Pejerrey!

Kostek zrozumiał, że jego cudo nazywa się peherej, powtórzył kilka razy dla pamięci: peherej, i wędkę obładziwszy, dalej łowił.

— I — bracie Polaku, słoneczko cię tu grzeje, banany masz w kieszeni, dobrze ci — lepiej niż w Krywej Dierewni, gdzie nie wiedziałeś co to jest słońce i banan. Skąd mogłeś wiedzieć? jeśli słońce tam w uszy cię tylko szczypało i w nos!

I — po śmierci matki, w tej Dierewni, Józefka, siostrzyczka lat pięć, na jego piersi szukała ciepła. Nakradł dla tej Józefki maki i kaszy nie mało, a raz ukradł dla niej buty z cholewami i raz chustkę szaro-buro-malinową, ciepłą bardzo. Nigdy mu się tak sprawnie nie kradło, ani później, ani teraz, jak wtedy, gdy miał lat 14, w drodze wielomiesięcznej, kolejo-

wej i pieszej z Dierewni, z Józefką w butach wypchanych szmatami, w kierunku Polszy... E...

— Cyk! I cyk! Jest rybka! Jak pędzelkiem malowana! I większa, niż pierwsza, piersista, z noskiem szerokim. Kogut, nie rybka, bażant cały!...

Juliusza Césara ciekawość wzięła i doskoczył. — Bagrey! — Łypnął okiem: — Błat?

— Bagrej — powtórzył Kostek dla pamięci — w sosie cytrynowym pycha będzie, — i dalej łowił... Czemu właściwie Józefka przy końcu wędrówki umarła, trudno wiedzieć, miała zawsze czaj ciepły i jabłka jesienne i brukiew z pola wygrzebaną, uskrobaną i ugotowaną, z cebulą — mleko dla niej nie raz wyżebrał i kukurydzę słodką ukradł — a ona, z siwymi oczkami, nic nie mówiąc, nocy jednej pod gołym niebem wzięła Józefkę i umarła. Niósł ją długo na rękach, myśląc, że śpi. Zaś tam! Budził ją w rowie i budził, trawką ją muskał po policzkach, nie chciała się obudzić za nic na świecie. Potem nożyk, który na stacji kiedyś ukradł, ostrzył na kamieniu drogowym i ojca i matkę Mariannę w śniegach zagrzebanych wspomniął, na Józefki twarzyczkę zamyśloną i serio — patrząc. Potem wziął ją na ręce i szedł w pole dzikie, gdzie rosły wilgotne krzewy i gdzie drzewa były do wierzb podobne. Tam w dolince, w jamce, na kretowiskach — dołek wygrzebał rękami i nożykiem. W chustkę szaro-buro-malinową, siostrzyczkę lat 5, której do Polszy nie doniósł, owinął i tak ją otuloną, w butach z cholewami, włożył w wilgoć. Dzień jeszcze przetrwał, nim przy zachodzącym słońcu ośmielił się zsunąć na nią trochę mokrej ziemi...

— E! Cyk! Raz, dwa, trzy, jest rybka! Aj, jaka tłusciutka, z brzuszkiem wydętym, z centkami na skrzelałach... prelest' nie rybka...

Ma się rozumieć Julio César 3 kamienie przeskoczył i nauczył: Palomiya!

— Palomiża — z centkami — na zupę rybną — albo na majonez! Palomiża! — powtarzał Kostek dla pamięci i dalej łowił... — Na Józefkę w ten czas rzucił ziemię mokrą, a potem się przeraził i odgrzebał. Albowiem matka przed śmiercią prosiła, żeby jej ręce złożyć na krzyż. Zatem Józefce rączki, co pod chustką tak i siak sobie leżały, też wypadło złożyć na krzyż... — A czemu, do jasnej cholery, łowią amerykańskie ryby, na mowy rybajady z ukosa patrząc — na Józefkę dawno umarłą wysila pamięć?! Cholera jasna! Czemu? Bo taka dobra była dziecina i do piersi jego się tuląc, tak mówiła: Tu ciepło, Kostku, tu dobrze, i chciałabym, żeby tak było zawsze. Więc kiedy ją zostawiał w krecich norach, to mu było żal. Z tego żalu wykrobał nożem z kory wierzbowej deszczułkę a na niej napis: Józefa Napierska, polka, ur. w r. 1940 w Krywoj Dierewni. Zmarła tu w drodze Polski. Brat. Deszczułkę wbił w ziemię i nocą odszedł.

Cyk! I znowu cyk; Julio César coraz częściej skakał przez kamienie i nauczał: pejerrey, bagrey, boriceta i — oho! — anchoa!

Tak dzień spływał. Przyszła pora obiadowa, zrobiło się goręcej i puściej. Z portu odchodził Grek, dymiąc silnie. Murzyn dał znak, że musi odejść, ale że wróci i zostawił Kostkowi wszystkie wędkę. Kostek zjadł banany i dalej łowił. W porcie był jeszcze jeden Grek, dwa Angliki, Czilijezyk „Arica”, no i ten jego blindowy Mac-Cormack. Jakim okrętem i w jaką podróż do jakiej części świata wypadnie znowu Kostkowi wyrwać z Punta Chata? Wrócił murzyn. Dalej łowili. Różowo, różowością morskich muszli, zaczęło się robić w Punta Chata.

Rybacy wędką na dobre zwijali korbką. Mewy przed snem wydawały leniwsze piski. Kostek policzył złowione ryby: jedenaście ich było na kamieniu, jak byki. — Ej, bracie Polaku, blat!

— Błat!

Julio César uczynił rzecz zdumiewającą: rozejrzał się i sprawdził, czy nikt nie widzi — i spod prążkowanego poncza wyciągnął 3 pary najlonowych, damskich pończoch.

— Błat?

— Okej! blat! Dlaczego nie?! Duponty 56!*)

II.

Umówiwszy się z Juliuszem Césarem językiem portowym i na migi co do czasu, miejsca spotkania, oraz ceny — z rybami w gazecie, z pończochami w kieszeni i z Książką pod pachą — Kostek o zmroku trafił direct do baru Tango w poszukiwaniu Polusów i żony. Jako że centa nie miał przy duszy, zamówił piwo. Żony dokoła chodziły, chodziły...

— Ty! Taka twoja i siaka Mysz!

Kogo Bozia dała? Dała Grubego, czyli Lizusa. Chłopak był rosty, pyzaty, Romcio Jarząbek, ongiś Zalewski, jeszcze przedtem bodajże nazwiskiem Kuśnierz, z którym w Palestynie razem we dwóch kapitała „Waterloo” za nędzę swoją skapali w zatoce haifeńskiej, za burtę go wyrzucili, a potem, otrzeźwiający, sami do wody buchnęli i wpływ się ratowali na ląd. Z tym Lizusem, w gajach pomarańczowych — pamiętasz Lizus? — tośmy dwa tygodnie się kryli i przez dwa tygodnie żarliśmy pomarańcze, aż śmierdziało od nas pomarańczami. — A — pamiętasz Mysz?

*) Trzeba wyjaśnić rzecz taką: Świat, w którym się Kostki kręcą i żyją, jest światem ludzi z najlonowej, alkoholowej, albo zegarkowej konspiracji, zorganizowanej, jak ruch podziemny w czasie wojny. Wielki to świat i skomplikowany, złożony z Kostków, Juliuszów Cezarów, z celników, szoferów, kapitanów, inspektorów i ministrów, podskórnym nurtem płynący i rączy bardzo. W którym — jak dwa psy — obwąchują się wzajemnie biały Kostek i czarny Cezar — aby w rezultacie, z konspiracyjnego zaufania — szybko z kieszeni do kieszeni przerzucić 3 pary Dupontów 56.

— sądziła nas sędzia-kobieta, która ukończyła Uniwersytet Warszawski i do nas bardzo ślicznie mówiła po polsku? — Siedzieli razem w więzieniu pod Tel Avivem, które było najlepsze ze wszystkich znanych im (a wiele ich znali) więzień na świecie; na obiad dawali ryby w oliwie i na spacer ich prowadzali między pomarańczami.

— Więc serwus, Gruby Lizusiński, więc serwus! Jaką tratwę zajechałeś do Czaty? Piwo, zaznaczam, idzie na twój rachunek, te i drugie, Lizus, zanotuj w pamięci!

Grubemu jasne włoski lepiły się na czole, policzki błyszczały, jak po manikurze. W pierwszym rzędzie udzielił Kostkowi najpilniejszych wyjaśnień:

— Większej zołzy w życiu nie znajdziesz, niż ten port. Pół roku będziesz laził po biczu i nie zamustrujesz. Panamskie pełne. Greckie swołoczne na naszą swołocz patrzeć nie chcą. W Sailor House Armia Zbawienia żąda za noc peza. Dziewczynki lepsze, niż w Bije. Można doić.

— Można?

— Można. Z naszych tylko ja, i może znasz takiego, co go nazywali Strup, smarował jeszcze przed wojną na Sobieskim, jest tutaj. Są jeszcze pętaki pętające się w porcie, co to — powiadają — pod Arnhem pływali, więc teraz też mają prawo pływać; które nas tylko podkopują, raka na nich! Jutro ma przyjść do Czaty „Dzierżyński” z cementem i kryształami. Żaden dla nas interes, zgodzisz się ze mną, Mysz? Ty, popatrz na Amerykanów przy koka-koli — jak to im nogi pokazują wszystkie dziewczynki! Ja ma się rozumieć jestem ożeniony od dwóch miesięcy, Ybelyce ma na imię: jak ja w Tango, ona w Arizonie, jak ja w Arizonie, ona w Tango...

Kostek krzyknął do kelnera: — Bir!

— Nie *bear*, tylko *cerveza*, i nie *weiter*, ale *mosso*! Pęta się żłób po świecie, a jeszcze nie wie, kiedy *bear*, a kiedy *cerveza*!

Bar Tango miał z jednej strony czerwone, z drugiej zielone światła; kolorowe z papieru łańcuszki wisały od neonu do neonu tuż nad głowami, a na kremowych ścianach malowane były panny młode całe w bieli, tańczące w objęciach wąsatych gauczów. Napisy na ścianach mówiły: *Good time for you* i *Diviertese bien* — baw się dobrze! Jak we wszystkich barach Tango we wszystkich portach świata, pachniało piwem, pudrem i wychodkiem. W rogu, pod wąskim oknem, był Kiosk. Z papierosami i czekoladą.

— Lizus, zreć mi się chce. Zrób!

Zrobili mu dwa franfruty na wiedeńskim chlebie. Jedząc, dowiedział się bez zdziwienia, że Lizus też ma tyle przy sobie centów, że nie starczy. Zamówili dwie grapy.

Wypili dwie grapy. Też i zwierzenia poszły łatwiej, tym bardziej, że na akordeonie zaczął grać patron, a mulatka Norma śpiewała o amorze.

— Kiedyśmy ostatni raz wódki razem zażywali, Mysz? W Ottawie. Gdzie się ożeniłeś na fest, co było niedobre, bo że nie masz obowiązku w każdym przydługim porcie, ale rozumiesz — nie tak! Nie tak! — Więc dwie grapy jeszcze wypili i przyszła między nimi szybsza wymiana zdań: — Że — Kostek mówił — właśnie od Ruth kanadyjskiej miał jak należy dać nogę, gdy jej brata łapserdaka z całą ichniejszą ferajną diabli przyniesli, a łajba się spóźniła z odjazdem, więc go obsiedli i pijanego w dechę do dżadza, razem z Ruth, jak w kinie, w Chevrolecie powieźli. A że — tłumaczył się Kostek — jak to zwykle w takich wypadkach papierki już przedtem były olrajt i pieczątki na swoim miejscu, więc w try miga... — Ale — przerwał mu Lizus, na szklaneczki pokazując i „otra vuelta” do kelnera wołając — żłób jesteś!... — Ale — przerwał Kostek w poczuciu winy — jak Boga szanuje, powiadam tobie, że choć Rus, żona ta, na pięterku nad składzikiem sypialnię nie wąską wyfroterowała i muśliny rozwiesiła i chętna dla mnie w tych muślinach była nadzwyczajnie — i choć jej, jak Boga szanuję, pierożki polskie w cieście ze słoninką smażoną lepiej, niż mit-paj smakowały — i choć... co tu gadać, tobie Lizus się bożę, że jak tylko okręt przyuważyłem, takem dmuchnął i dotąd dmucham. Więc czego do mnie z pyskiem, Lizus ściervo?! Polakiem może nie jestem, co?

Na akordeonie zagrali jeszcze raz, a z kolei stary Włoch ślicznie zaśpiewał „O sole mio!”

Kostek zmienił temat:

— Żony będę szukał! — rzekł, krzywiąc się, bo grapa dla smaku polskiego jest jak woda kolońska.

Zaczęła się realizacja trzeciego i ostatniego punktu kostkowego programu na dziś. Co tu dużo mówić: jeśli na molo, pośród rybaków trzystu, bez omyłki wpadł na swego typa — nie mógł się chyba omylić wśród dziewcząt kilkunastu, które wychodziły, wychodziły i starały się, żeby je było widać. W swetrach angora, w spódnicach czarnych, w sukienkach balowych, z kokardami we włosach, z kolczykami weneckimi i z perłami trzęsącymi się w uszach — ćwierkające jak kanarki, lub nadęte jak sowy, były te panny w barze Tango, młode i dojrzałe, słabe i silne, białe i czarne, z zębami zakrwawionymi szminką. W lot je wszystkie obejrzał, przejrzał i psychologiczny każdej postawił horoskop. Ta!

Która szklanekę z płynem miedzianym trzymała w obu rękach, która głowę odchyliła na poręcz krzesła, której w kąciku skośnego oka błyszczało coś jakby iza...

Podszedł do niej, potknąwszy się — i wziął ją delikatnie za ramie: — Kom, *darling*!

— *Querida*, nie *darling*! — wrzasnął napity Lizus. — Chichita się nazywa! Łzami i kanią zalewa się po Rumunie, który ją puścił w trąbę! — Chichita, *querida*, *como te va*?

Kostek posadził ją elegancko przy sobie i naczynie z miedzianym płynem z powrotem jej włożył w ręce: — Cziczita, keryda, komo te wa?

Zaczęła się miłosna magia wszystkich na świecie barów Tango; gdzie zarłoczne chłopaki, wygłodzone pływaniem i życia szorstkością — miłość za wszystko co mają chcą kupić, całe kino krótkiej miłości. Gdzie z kinowych iluzji odarte dziewczyny bronią się instynktem skrzętnej gospodyni, aby się nie dać wyssać wędrującym kochankom za słowo, za gest, za przemijające, jak wiatr — tylko z każdego z nich zrobić: przeszło pomostu dla solidniejszej przyszłości. Magię języka, wokabulera swego i sympatycznego dotknięcia rąk, i cudów innych — próbował Kostek na Chichicie pijanej, której ze skośnych oczu, z żalu po nikczemnym Rumunie, lzy ciekły...

Aż Gruby Lizus Jarząbek znudził się i przestał patrzeć na to zawracanie głowy, a znudziwszy się, palec włożył pod kłapę marynarki w nitką obrębiony rozporek — i z palcem w tej pozycji zrobił na cały bar obrót.

Co w swym zakochaniu dostrzegł jednak Kostek Napierski i wrzasnął:

— Jak Boga kocham, mordę ci zbiję na ciasto! — Co później wykonał.

Gdy tak wrzeszczał — Chichita w płaczu swoim, nie wiadomo dlaczego, pocałowała go w rękę.

Norma, z piersią szeroką, śpiewała drugą pieśń o amorze. Z dwóch zer wychodzili i wchodzili klienci, trzaskając drzwiami, patron zaś potrząsał srebrnym pucharem, przygotowując cocktail. — Jak jest narzeczona po hiszpańsku? — zadreptał się Kostek.

— *Novia*.

— *Novia miał* — najczulej do Chichity wyszeptał zakochany. A do Lizusa: — Weź najlony, 3 pary, i tej ultenionej brunetce, co z Brazylianami siedzi — weź i sprzedaj! 5 pezów każda para! Pruj!

Dobrze się Kostek zorientował, komu należy sprzedać, ponieważ zostały sprzedane i honor w barze uratowany. Gdy — światła obojga kolorów, na znak późnej godziny — zbladły, a pary, jakie się miały poczynić już się poczyniły — Kostek do młodej żony rzekł: Idziemy!

— Idźcie — pożegnał ich Lizus. — Ja przed odejściem muszę — Pani w Kiosku zasunąć w oknie żelazną kurtynę...

III.

Dnia następnego, jak zapowiedziano, przybił do Punta Chata „SS. Feliks Dzierżyński” z cementem i kryształami. Stanął przy hangarze Nr 6, gdzie zazwyczaj gościć jeżdżą na bacykach policjanci. Załogę wypuszczono na ląd dopiero w 24 godziny później i spodziewano się, że będą nieprzyjemności.

W barze Tango, jak w każdym innym barze w dzień biały — wszystko ciągnie się, jak mleko skondensowane. Lepkie i mdłe. Rzeczy, trunki i ludzie. Za to przy pannach na ścianach, śpiących wąsatych gauczach, można spokojnie gadać. Toteż w ciągu dnia odbywały się tam narady.

Brali w nich udział: w charakterze przewodniczącego, Korybut Duszny, czyli Strup, przedwojenny marynarz z Sobieskiego; asesorowie: Ambrosio Lipiński, syn ogniomistrza z 2-go PAL'u, właściciela jatk w Punta Chata, i podstrzeleniec, Wiesio Bączek, też z Punta Chata; w charakterze zainteresowanych, na zmianę, po dwóch, po trzech, po czterech — marynarze z SS. Feliks Dzierżyński. Lizus Jarząbek w tych naradach nie brał udziału, bo nie miał interesu; Kostek Napierski też nie uczestniczył, jako że był w tygodniu poślubnym.

Na tych naradach rzecz kręciła się dokoła czterech kwestii: Czy nie zamkną? Z czego żyć? Jaka pomoc? Skąd dokumenty? — I znowu od początku: z czego żyć, gdzie zamustrować i skąd dokumenty?

Wiesio Bączek podstrzelony, parskał z emocji i do czynu podniecał; Ambrosio, syn ogniomistrza, czarną stroną życia reprezentował; wszystkie kwestie starał się zebrać do kupy Strup Duszny milczeniem wymownym. Wielokroć szli wszyscy do okienka Kiosku wewnątrz baru, gdzie następowała krótka prezentacja, częstowanie papierosami, i Pani, w uśmiechach cała, wypowiadała w zawilej materii zdanie.

Pod wieczór zaczęła się sytuacja klarować. W Punta Chata musieli koniecznie zostać: szef Bolesławski senior, marynarz Trościa junior, i Bobuś Sandalski z chorobą Św. Wita, znaczy ci, którzy byli autorami figla z portretem na SS. Feliks Dzierżyński. Reszta zainteresowanych — ze względu na ubogość polskiego życia w Punta Chata — miała próbować szczęścia gdzie indziej, w Hamburgu lub w Amsterdamie. Na tym stanęło.

Chryja wybuchała w piątek, w noc przed odjazdem Dzierżyńskiego, przy hangarze szóstym, gdzie policjanci troskliwie patrolowali na bacykach. Było tak:

Narwany Wiesio Bączek chwycił tłumoczki, spuszczone na lince po czarnej burcie obok szpigatu, z którego tryskała woda.

Tłumoczki spuszczał z dolnego pokładu wśród nocnej ciszy, najciszej jak mógł, Bobuś Sandalski, gdy tymczasem koledzy jego, senior i junior, w niepokoju czekali na mienie i na kolegę w barze.

Spuścił już Bobuś dwa tłumoczki i spuszczał trzeci, i ten trzeci był właśnie w połowie drogi — gdy zrobił się ruch na pokładzie górnym, potem na dolnym, i rejdach.

Ktoś (Radio - oficer Pieniążek) wrzasnął na górze: szczeniakul!

Zrobiło się na okręcie dudnienie (trzeci tłumok wpadł w międzyczasie w ręce Wiesia), rozległy się krzyki po grecku,

potem po polsku: padlec i twoja matka zapłaci! — po czym tupot nóg i gwałtowne zbieganie po trapie.

Po trapie zbiegł Bobuś Sandalski (a nie Radio - Pieniążek) i dyszący Bobuś wpadł w ramiona Wiesia, który się rozstał, jak posąg wolności. Wszystkie trzy tłumoczki porwał Ambrosio, czatujący w rezerwie. Z pokładu oświecono ich elektryczną latarką. Przy szóstym hangarze na przeciw policjanci na brykietach patrolowali najgorliwiej...

Ocalone bogactwo zaniesiono do baru Tango, i tam Bobuś brzdąc padł jak nieżywy. Zwalił się z nóg, jakby kto pięścią grzmotnął w zastraszone oczy bobusiowe. Wił się w chorobie dziwnej minut kilka ku zdumieniu obecnych, po czym go przeniesiono do Kiosku, gdzie Pani wodą trysnęła, że wkrótce wydobrzeła.

Zebrał się wówczas w Kiosku i przy okienkach kioskowych cały sztab główny: znaczny Pani, sprzedająca papierosy, strupowaty Korybut Duszny, Ambrosio pesymista, Wiesio szaleniec, i ma się rozumieć szef Bolesławski i marynarz Trościa i tenże mikrus Bobuś Sandalski już przytomny, ale zielony i ciężko dyszący. Oprócz nich, w rachubę dotąd nie brani: marynarz Fornalski i marynarz Adam Gwóźdź, którzy, bez rady niczyjej ani kłopotu, wzięli z Dzierżyńskiego i zesłi.

Scisk był w środku i przy obu okienkach taki, że nawet na blaszankach od cukierków nie było sposobu przysiąc. Bolesławski, wzrostu z metry, szef do wdzięczności w imieniu wszystkich się poczuwający, nieśmiało, jakoż pierwszy raz, myśł swoją sztabowi poddał: — Jeśli mnie kto 5 dolarów zmieni, zaproponuję butelkę!

Za Kioskiem w barze, zaciekawione bobusiowym wypadkiem, panienki chodziły, chodziły...

Norma z piersią szeroką, śpiewała codzienną pieśń o amorze.

W porcie raz po raz syreną grubą grzmiał przed odjazdem do Polski „Feliks Dzierżyński”, a jak Trościa powiedział, grzmiał ze złości.

W ten to sposób powiększyła się kolonia polska w Punta Chata. Co wkrótce stało się przyczyną kataklizmów i burz — takich właśnie, jakie się zdarzają w osłoniętych od wiatrów lagunach portowych.

IV.

Kostek Napierski sterczał przy prymusie w pensjonie familijnym i gotował potrawę, która — zajrzał do Książki — nazywała się „Bitki à la Radziwiłł”.

Wedle Książki: *Mięso dobrze usiekać, lub skrócić, dodać jedną bułkę namoczoną i wycisniętą z wody, z całej jajka, tartą cebulę, sól, pieprz i szczyptę gałki muszkatołowej. Formo-*

wać małe, okrągłe bitki, jak pączki, które obsypać mąką i obrumienić na maśle. Potem bitki ułożyć w rondelku, wysypać trochę kaparów i skórki cytrynowej, podać śmietaną i dusić aż do miękkości”.

Co czytał, tak robił. Największa trudność polegała na objaśnieniu Chichicie co to są kapary, śmietana i gałka muszkatołowa. Każdy produkt opisywał jej mimiką bardzo wyraźnie i wokabulerem, do którego w ostatnich dniach dołączył garść słów po hiszpańsku. Chichita robiła wszystko, żeby zrozumieć, skośne oczy indiani latały jej w prawo i w lewo z wysilenia i z uczynności. Co tylko rozumiała, zaraz biegła z ochoczym: *enseguida, enseguida!* — z pensjonu familijnego na merkado i do almacenu. Ale — głupia! — *enseguida, enseguida!* — zamiast gałki muszkatołowej przyniosła mu wino moskatel, zamiast kaparów karczochów kilo, zamiast śmietany — Boże jej odpuść! — krem do rąk Ponds. Kostek się na nią pogniewał, więc zamieniać latała, „*enseguida, enseguida*”, zmieszana bardzo. Tak 3 razy latała piersiami robiąc w pośpiechu, aż się jej zielony sweter marszczył — zanim to i owo, co Książka życzyła, przyniosła, a i tak — choć wścieknij się! — kaparów nie mogła dostać! Więc bez kaparów dusił Kostek na prymusie „*Bitki à la Radziwiłł*”...

... w pensjonie familijnym, gdzie w pokoju bez okna, z drzwiami na patio, na trzcinowych fotelach dwóch, na tapczanie tureckim, przy lustrze i przy prymusie — Chichita spędzała wolne chwile i gdzie teraz na zabój kochała się w Kostku...

w zapachu hasminów, kwiatów egzotycznych, których tuzin przyniosła z wypraw po kapary, a każdy hasmin pachniał, jak 10 flakonów perfum!

Zaś Kostek zmienił się nie do poznania, gdy skończył z bitkami, gdy purée z kartofli uwiercił na parze i przyrządził salateę po polsku. Usłużył Chichicie, jak księżnej Radziwiłłowej; bitki 3 jej, sosem polawszy, na talerzu położył, obok kartofle rozbite na pulchno, salateę dał oddzielnie z jajkiem przekrojonym na pół, ugotowanym na twardo. Elegancko to uczynił i widać było, że jest w stanie emocji i życzliwość całą, oraz miłość, razem z nożem i widelcem składa przy talerzu Chichity.

Sam nie jadł. Za to patrzył. Z takim zdenerwowaniem i niepokojem, że ta — z trudem podniosła do ust pierwszy kęs bitków à la Radziwiłł.

Kostek zaraz do niej:

— Smakuje, *te gusta?* — *te gusta* uczciwie, keryda mia?

Querida, zjadłszy bitek, błysnęła obfitymi zębami i zalotnie wypowiedziała słowa, jedyne, jakich do tej pory nauczyła się po polsku:

— Głu-pia — jes-teś!

Kostek przyjął to jako hołd bitkom należny i zerwał się, żeby jej natychmiast zadośćuczynić — ale usiadł z powrotem, zwa-

żywszy, że jej w pozostałych bitkach może przeszkodzić. W słowach się za to nie krępował, nie dbając, czy ona rozumie:

— Oto widzimy na talerzu (na talerz teraz spokojnie bitków sobie radziłowskich, purée i sałaty nie skąpo nałożył) mięso! Ale nie mięso — bo to mięso zmienione jest, w śmietanie, chociaż bez kaparów! Dlaczego? Ponieważ mięso to zostało zaprawione kulturą, tylko z kultury wiekowej mogą się narodzić takie bitki! Smakują nam one, ma się rozumieć, lepiej, niż wasze czuraski, niż wasze kichy pieczone na węglach, lepiej nawet niż puczero, które złe nie jest, ale prymitywne i kulturą nie zaprawione. Tu, na talerzu (zajadał się Kostek bitkami) mamy, keryda, przed sobą wiekową kulturę polską, o której wy, w tej części świata, żrąc czuraski, nie macie zielonego pojęcia! Zrozumiałś teraz, keryda, na czym polega sztuka kulturalnego jedzenia?

Ona, ciężko pracowała jedząc i pracując ciężko, jadła — a dla świętej miłości zjadłszy — rzekła:

— Glu-pia — jes-teś — tak!

Co tym razem w pensjonie familijnym było hejnałem do szczęśliwej w hasminach miłości. Potem — jako że życie takie w Punta Chata i w ogóle na świecie jest — ona, nie zatrzymywana, poszła do portu w trosce o zlekceważone *puchero* dla obojga na jutro — on, po jej odejściu, zajrawszy do Książki — potrawę polską ustalił na dzień czwartkowy o nazwie „Pyzy”; i ustaliwszy — z lekkim sercem udał się na molo rybne, taki sobie powtarzając przez Józefkę w dawnych czasach mówiony wierszyk: — Maamo, pyza ma oocy — ja pyzę na tyżę — a pyza mnie ugryyzie i skooocy!...

V.

Zgoła inne polskie menu smażyło się w tym czasie w Punta Chata.

Marynarz szef Bolesławski, w żyłach i kościach wzrostu 2 metry, zaczął pracować u Hiszpana na budowie za 5 pezów dziennie, odrzuciwszy ofertę pana Misiaka na 3.50.

Bolesławskiego, Troście, Bobusia Sandalskiego, oraz pozostałych dwóch — wzięli do siebie na przeżycie serdeczni państwo Lipińscy, którzy mieli jatkę, dobrze prosperującą od lat bodaj dwudziestu i pięciu.

Z tych i innych względów wynikły małe wśród Polaków nieporozumienia. Wmieszani w nie byli: z jednej strony: zbiegów piątka, Wiesio wściekły, Ambrosio, syn tych właśnie państwa Lipińskich, i Pani z Kiosku — z drugiej strony, nie od dziś w Punta Chata żyjąca, co nie jedno widziała, polska kolonia w przedstawicielach swoich prezesach byłych i teraźniejszych, i takich, którzy prezesami, jeśli zechcą, zostaną w roku przyszłym. Stronę neutralną reprezentował Strup Duszny (o nim po-

tem), oraz Kostek Napierski i Gruby Lizus Jarząbek, ci dwaj dlatego, że pojęcia nie mieli o sporze.

Najwięcej ma się rozumieć ciskał się Wiesio Bączek podstrzelony, chłopak jak szóstka, ten który tłumaczki z Dzierżyńskiego na lince pomagał ściągać. Do oczu skakał: — Ci — mówił, zbiegów mając na myśli — rodaków tutaj poszukali, bo kogo mieli poszukać i aproweczować, jeśli nie nas? A taki mierzdowaty Misiak panu Bolesławskiemu temu, który był leśnym chłopcem i trzech gestapowców zabił i któremu zęby wybili i który portret utopił — taki Misiak, posiadający dwie kamienice, 3.50 za hornal ofiarował, a byle gażega dał 5!!! *Verguena* to jest dla Polaków w Punta Chata i wstyd — i — *que vayan*, cholera, a la mierda!

Wymieniona deklaracja odbiła się nieprzyjemnym echem w kolonii. Pan prezes Juan Gacki wyraził się w Towarzystwie: — Młody Bączek mądrze się i ujadą panu Misiakowi, *pero* każdy wie, że za to molestowanie nawet centa nie skobruje, niech lepiej ten młodszy Bączek tatusia swego patrzy, który, *seguro*, wszyscy wiedzą, kto jest! *Pero* zaznaczyć muszę, że ta kolonia, co się oparła, i przy ojczyźnie i kościele w wierności wytrwała, za co Pan Prezydent z Londynu przysłał na Nowy Rok powinszowanie — i — *pero* — z tej kolonii garstka nas tutaj została, a dlaczego tylko garstka, to pan Rożek i pan Bolączka także wie, cośmy tutaj w roku 23-im razem przyjechali, kiedy Polska wzwyż rosła, cośmy jak głupie do Czata przyjechali, a byli takie co myśleli, że do Afryki przyjechali, bo nie wiedzieli gdzie jechali — *si!* To gdyśmy przyjechali, to nikt nam ręki nie podał, a jak podał, to okradł, i, *claro* — że nas garstka tylko została, bo reszta przepadła bez tej ręki, jak wiatr. Bączek młodszy ujadą panu Misiakowi, *pero* my wiemy, że pan Misiak basurę czyli śmiecie i nieczystości z Veralindy do samej Zi wozził, zanim panem Misiakiem został. *Seguro*, Bączka młodszego to nie obchodzi, bo jego tatuś wiadomo co w dziurach wacha, *pero* — dlaczego pan Misiak w pocie krwawym dorobiwszy się na pedregużu bez pomocy polskiej władzy i światowego związku — temu właśnie panu Bolesławskiemu, co dopiero tydzień tutaj jest, a może i szpieg jest — ma dać pezów 5, a nie 3.50?

Hę, dlaczego? W przychylnych komentarzach do exposé Prezesa Gackiego — takie jeszcze odezwały się głosy kolonijne:

— Pan Misiak, trzeba wiedzieć, na witrażu w Kościele Polskim dał, na godzinę polską trzy razy dał, na nowy Dom Polski pezów uczciwych 500 dał, złego słowa, nie mówiąc o pani Misiakowej z piekła rodem, nie można powiedzieć o panu Misiaku — a tu szczeniak taki, jęzor na pana Misiaka strzępi, z drugim takim nie wiadomo jakim i nie wiadomo skąd wypłoszem!

Sam pan Misiak znalazł się taktownie i wśród przyjaciół na zabawie tak zdeklarował, co szeroko poszło po kolonii: — Gażega rąk potrzebuje, to daje 5. Ja rąk nie potrzebuje, ale swojemu dam 3.50. Kiedy gażega rąk nie będzie potrzebował — nie da nic. Ja swemu dam zawsze 3.50. *Si!*

Ambrosio, syn dobrodziejstwa Lipińskich, o których jednych śpiewała hymny pochwalne cała z Dzierżyńskiego piątka — Wiesio! narwanemu, zreferowawszy echa kolonijne, wyraził taką opinię:

— Oni — jak się popłaczą — dadzą. Jak się nie popłaczą — nie dadzą. Jak wypiją — wszystko dadzą. Jak nie wypiją — nie dadzą nawet 3.50. No!

Czego ani rusz nie mogła zrozumieć obrażona strona: Bolesławski, Trościa, Bobuś i reszta piątki; ani Strup, ani Wiesio Wariat, ani Pani z Kiosku...

Mimo to, byłyby się może jakoś złe wapory w upale rozeszły, tym bardziej, że na budowę do Hiszpana wstąpił także Bobuś z marynarzem Adamem Gwoździem, i cała piątka żyła jakoś — gdyby nie rzecz polityczna.

Wieczorem — właśnie tego dnia, kiedy Kostek dusił swoje bitki — znaleźli się w barze Tango wśród spacerujących pańien wszyscy pokrzywdzeni, i — Bolesławski szef, przy butelce, z racji starszeństwa i wzrostu — od razu rzecz na właściwej platformie postawił:

— Nam się, uważacie, nie rozchodzi o tych tutaj Polaków, co Polakami może są, a może nie powiem nie są — ale ogólnie mówiąc — kudy im do tych, co za okupacji w ogień jeden za drugiego solidarnie skakali! Inaczej powiem: za to cośmy zrobili, żony nasze i rodziny w Gdyni na poniewierkę, albo nie daj Boże na katorgę z domów wyrzuca, i może ja nigdy już więcej żony mojej nie zobaczę, ani dzieci, chłopczyka i dziewczynki, co załosne jest dla mnie, że wyrazić nie mogę — a przecież, jak nas tutaj pięciu, kopnęliśmy tego Dzierżyńskiego, bo trudno nam było na to co się dzieje patrzeć z założonymi rękami i cierpiącej Ojczyźnie z pomocą nie spieszyć! Nam się nie rozchodzi, powiedziałam, proszę kolegów, o tych tutaj Polaków, ale pytam ja was: co my mamy robić? Siedzieć? U Hiszpana za 5 pezów cegły nosić? Nie ma tak dobrze! Nam się, proszę panów, to nie podoba. Ci tutejsi Polacy, jak ich widzę, to są faraony, a w tej Punta Czata dla naszych oczu jest fatalnie, na co oni znowuż nie! Fatalnie jest, wiem co mówię, afisze o pokojowych kongresach wiszą niczym w Warszawie, na tym ich Torro sam widziałem sierp i młot, jakby w Warszawie, czerwona robota odchodzi na cały regulator, to ja się was pytam, co jest? A oni siedzą i nic. Gdzie my jesteśmy, ja się was pytam? I jeszcze wam powiem: wątroba mnie zgnęła, gdy zobaczyłem: ruska jego mać konsul ludowy, ten co w Antwerpii na Dzierżyńskiego z ciastkami jak ten Judasz do nas przychodził — mieszka w tym mieście, w willi, która na ironię losu nazywa się Belvedere. Sam widziałem: konsul w ogródku przed Belwederem w białej koszuli w hamaku się huśta i mrozone w szklance w upał sobie popija! Spytałem o niego pana Gackiego; powiedział: to spokojny człowiek, do polityki się nie miesza. Ha! A komu raporty składał Radio-Pieniążek, jeśli nie temu antwerpskiemu konsułowi na Kowalskiego, na Zajlicha i na tego tutaj obecnego Trościa, co dla niektórych kolosalne miało

następstwa?! Spokojny człowiek! To ja się was pytam: gdzie my jesteśmy? To ja się was pytam: co my mamy robić? Cegły nosić?

Bobuś Sandalski, cały w płomieniach, bo blond panna, Marija Anhelica, suchotnica, zrobiła do niego oko — rzekł zmieszany: — Nie może tak być!

— Ba — rzekł któryś z Dzierżyńskiego, Fornalski czy Gwoźdź — powiesić drania!

Natychmiast Wiesio się rozplomienił, Bobuś już był rozplomieniony, pozostałych rozplomieniało piwo i kania.

Sklonili głowy (z wyjątkiem Strupa) ku sobie i ku szklankom, obrabiając to, co Szef powiedział. Wiesio, ma się rozumieć, najszersze snuł projekty i nawet o fabrykowaniu bomb, czyli filipinek, jak w czasie Powstania, przypomniawszy obecnym. Najbardziej się odzywał Ambrosio, bo mu po polsku nie szło. Biedny Bobuś, z powodu choroby, głowę miał słabą, zalał się więc szybko drugim kieliszkiem i tym, że Maria Angelika jasnowłosa i blada aż dreszcz brał, spojrzawszy na niego ukosem, z czarnym bosmanem nagle wyszła — wpadł w straszną rozpacz:

Zapłakał rzewnymi łzami: — To ja... to my... a Boże mój miły!... mnie nie dobrze... na świecie... mnie jest źle... i na statku i na budowie i teraz... i nie wiem już co... ojej! Ja chcę do domu, do domu, mamusiu!

Jak usłyszeli to „mamusiu”, zaraz go wzięli i odprowadzili do Kiosku, gdzie Pani bardzo łagodnie się z nim obeszła, rozmawiając o życiu ludzkim i o mamusi.

Szef Bolesławski czuł się w obowiązku młodszego kolegę przed resztą zebranych wytłumaczyć:

— Dzieciński on jest i głowę ma do niczego z powodu tej padaczki, której pędrakiem się nabawił, w piwnicy, gdzie żeńską jego rodzinę po oswobodzeniu paskudnie przy nim potraktowali oswobodziciele. Mniejsza z tym.

Mniejsza z tym, naturalnie, ważniejsze rzeczy aktualne działają się w barze Tango. Ledwie nad szklankami zdążyli ponownie pochylić głowy konspiratorzy, gdy naprzeciw nich stanął w rozkroku typ wstawiony, pyzaty i blondyn.

— Czołem, koledzy! Z tego co dosłyszałem, ze świeżymi kolegami mam przyjemność. Jarząbek jestem, jeszcze Polska nie zginęła! Że Jarząbek jestem, mogę na ceduli zademonstrować. Interesu żadnego, od razu powiadam, nie mam, ale lubię Polusów pijących, bo mnie na ten widok z otuchy serce rośnie. Rośnie! — Uczepił się Ambrosia, palcem go wytypował i palec na nim trzymał, powtarzając: — na ten widok rośnie!

Ambrosio się przestraszył, nie zwyczajny marynarskich awantur, chciał odejść, ale zahamował go Szef tymi spokojnymi słowami:

— Panie Grubszy, zabierz pan z przyjaciela mojego palec. I nie koleguj nam, panie Grubszy, bośmy razem świń nie paśli. — Wstał, pokazał żyty swoje i wzrost 2 metry. — Popatrz na mnie, obywatelu, odszczekaj coś szczeknął i zdejm ten palec!

Lizus palec z Ambrosia jak z gorącego żelazka zdjął i poszczekując w różnych językach o nieprzyzwoitej zemście nad całą z Dzierżyńskiego w wolności zamiłowaną piątką, odszedł, wobec czego Ambrosio został.

W czasie tego zdarzenia kręcił się po barze Tango między czerwonym światłem a zielonym Kostek Napierski z dziesięciu parami najlonowych pończoch, które dostał w komis od Julio Césara, spotkawszy się z nim przedtem na molo; spotkawszy się, za pierwszą partię zapłacił uczciwie pezami pożyczonymi od kerydy z pensjonu, w nim, jak przedtem w Rumunie, w stanie małżeńskim i w hasminach na zabój rozkochanej.

Po sprzedaniu czterech par, rzekł do Lizusa:

— Te! Mordę ci posiekam na kotlet! — Co później wykonał.

Usiadł bez pytania przy stoliku, gdzie odchodziła konspiracja.

— Przepraszam — rzekł. — Tamten jest kantowaty, pedał i cham! Całe życie, gdzie tylko tego chama spotkam, mam go w pogardzie. Jeśli przy tym trochę słabości mam do niego, z tej jest przyczyna, żeśmy we dwóch jednemu czerwonemu w rejsie do Neapolu kołek, młotkiem stukając, wbili, i właśnie ten cham, stukając wbił, za co on i ja cierpieliśmy potem wielką biedę. Odkładając sprawę tego chama na boku, jeśli zaszczytne rodaków zgromadzenie pozwoli — na przeprosiny za tego chama — postawię jedną kolejkę!

Bolesławski szef nie był tak straszny, jak wyglądał i zaraz się udobruchał: — Postawić każdemu wolno!

Wiesio Bączek, mimo ważności narad, młodzieńczo się zainteresował: — Co to: wbił kołek?

Marynarz Trościa, nagłym żalem zdjęty, dorwał się do głosu na siłę:

— Gdy my Sobieskiego odprowadzali na wieki, z Genui znaczy się do Odessy, bandera była na kołku, czyli na flagsztoku, a kapitan w samej Odessie, także nie wesół, na mnie właśnie trafił. Pójdź, bracie, tak mnie powiedział, i jeśli możesz, zdejm co nasze, bo jutro tamuj wisieć będzie co innego. Poszedłem i zdjąłem z kołkiem razem, siekierką od spodu poderżnąwszy. Kolory nasze włożyłem pod koszulę, a na rufie kij od miotły ze szmatą z prywatnej inicjatywy zatknąłem. Kapitan nie nie powiedział. Ściągnęli nas zaraz z Sobieskiego po bankiecie, na którym dania gorące nosiłem, tłukąc ma się rozumieć każdy jeden albo co drugi z żarciem półmisek...

— Co natłukł to natłukł — potwierdził Adam Gwóźdź, świadek.

Wiesio się zainteresował: — Gdzie ta bandera?

Kostek przy swojej kolejce czuł się mocno w siodle, więc nie dał się łatwo wybić z głosu. — Czy wiesz, bracie, co to po polsku jest frajer? Frajer z rajerem i rajer z frajerem? Nie wiesz? Angliki na takie gadanie mówią go tu heł! Słuchajcie, co ja wam powiem: Najlonów albo też zegarków mogę dać każdemu na sprzedaż par albo sztuk kilka. Zarobek będzie fifty-fifty.

Pochodzi sobie każdy jeden, tu sprzeda, tam sprzeda i nie umrze. I jeszcze wam powiem: Znam takiego, co wszystko wie, a jak będzie wiedział, zaraz powie, gdzie można zamustrować. Na panamczyka, na holendra, a jeśli szczęśliwy traf zrządzi — na Del Mar! Mnie jeszcze nie pilno, ale może któremu z was zdarzy się potrzeba? Ja wam poddam życie kroki z tą myślą, że ze wspominków, bander, z serc w galarecie nie wyżyjesz bracie ani na tej półkuli, ani na tamtej. Ale musicie wiedzieć, że dlatego do kompanii się zbliżyłem, iż uczciwy chrzest polski otrzymałem na Syberii. Mam więc prawo? Mam? Jeśli mam prawo — zatem was wszystkich w sobotę do siebie do pensjonu familijnego na Rinkonie uprzejmie zapraszam na flaki. Radzę nie pogardzić, bo na rosole będą i z majrankiem. Z pulpetami!

Haustem jednym wypiwszy kawę, wstał Strup Duszny i poszedł do Kiosku. Ale i bez niego — od najlonów i zegarków, poprzez Del Mar, na flakach skończywszy — Kostek osiągnął rzetelny sukces. Choć nowy akordeon, przez patrona sprowadzony z Italii, trele głośniejsze, niż dawny ciągnął, a Norma, mulatka, o piersiach szerokich, wyjątkowo była przy głosie, zaś drzwi od dwóch zer męskich i damskich trzaskały dzisiaj żywiołowo — wszyscy w tym zgietku pojęli o co chodzi: ten że o pończochy, ten że o zegarki, ten że o zamustrowanie, a wszyscy, że chodzi o flaki.

Z wyjątkiem Ambrosia Lipińskiego, który się zdobył na pytanie: co to są flaki? — i z wyjątkiem Wiesia szalonego, niezadowolonego, że z szubienicy, bomb, kołka i bandery, rozmowa utknęła na flakach.

W sam czas zadyrygował szef Bolesławski, dbały o szefostwo, w sposób ten:

— Proszę młodszych kolegów tutaj przytomnych. Lipińskiemu, w Czacie urodzonemu, najpierw odpowiem, że flaki są bardzo cenioną potrawą polską; Wiesiowi odpowiem, że w tej materii co on wie i ja wiem i co niektórzy także wiedzą, musimy mieć osobne porozumienie, najlepiej jutro w tym samym barze o 9-tej. Na zaproszenie flakowe nie ma powodu się obrażać. Ostatni raz jadłem flaki w roku 1945 w majątku Mątowie, gdzieśmy wdepnęli z lasu po tomigany i amunicję. Zdaje się, że pan Gwóźdź zainteresował się pończochami. Proszę się nie krępować i umówić. Na amerykański Del Mar, jakby było można, proszę kolegi dać znać. — Ja — nie licząc tego co było — zaoferuję jeszcze jedną kolejkę. Siup!

— Sto lat, sto lat! — zaintonował w polskich towarzystwach edukowany Ambrosio Lipiński.

Z Kiosku wyszedł Strup Duszny z pocieszonym Bobusiem brzdącem. W przejściu natknęli się na Grubego Lizusa Jarząbka, który z oczami wlepionymi w drzwi, czekał na Ybelyce z Ariżony. Widoczną troską Grubego wzruszony, Bobuś zahaczył: — Jeśli ma pan życzenie, niech pan napije się z nami czarnej kawy...

— Nie mogę! — zrozpaczonym głosem rzekł Lizus. — Mam was gdzieś! Przed odejściem muszę jeszcze zasunąć w Kiosku żelazną kurtynę!...

VI.

Po długich i burzliwych naradach, na wniosek Prezesa Gaciego, zgodzono się, aby marynarz z Dzierżyńskiego Adam Gwóźdź, wodzirej z Gzowa, z własnej chęci nauczył w Towarzystwie tańczyć krakowiaka cztery polskie pary za Panie Bobę zapłacić.

Szkut Bobuś Sandalski nieśmiało sondował o wojnie. Sondował, czy wojna wybuchnie w tym miesiącu, czy dopiero w przyszłym i kiedy będzie można wrócić do Pucka. Okazywał serdeczną niechęć do ludzi, którzy z odpowiedzią zwlekali i w terminach nie byli akuradni; oczy miał Bobuś mgłą, czy też katarrem, czy też czym innym powleczone.

Bolesławski, 2 metry — skrupulant jeśli chodzi o papierki — troszczył się w tych dniach o legalność pobytu i o dokumenty. Przyjacieli Wiesio Bączek skierował go do kapitana Wupe, o którym mówiono, że zapuścił głęboko korzenie w grunt. Z wizyty tej nic nie wyszło, bo: — „Pan wie, dlaczego? Jeśli by tak od razu wprost — pan rozumie? Innych dróg szukać — źle! Pan wie? Wszak tak? Zatem pan rozumie? Pan wie dlaczego?” — Bolesławski nie wiedział, więc się poskarżył tu i ówdzie, co w przeciwieństwie do 3.50 znalazło przyjaźniejsze zrozumienie w kolonii. Dokumenty i książeczki żeglarskie piątka wyrobiła sobie później w inny sposób, na co wpłynęła bodaj drobnutka Pani z Kiosku.

Idea czynu dojrzewała na wzór zamachu na Kuczerę, o czym na zebraniach sztabu czytał z Orła Wiesio wiatr, rozpłomieniony epizodem i wściekły, że analogia w Punta Chata nie szła galopem.

Ambrosio robił znaczne postępy w języku polskim. Lizus Jarząbek, w myśl zapowiedzi, z neutralnego stał się otwartym wrogiem. Kostek Napierski, szturmem dostawszysię do sztabu — kontent był, że zwyciężyła jego linia rozumowania co do flaków. Pani częstowała wszystkich papierosami i uśmiechem, do wysłuchiwania wszelkich trosk okazując godną podziwu skłonność. Stosunki piątki z państwem Lipińskimi były wciąż dobre; stosunki w samej piątce też były dobre, z wyjątkiem, że odstawał coraz bardziej marynarz Fornalski.

Jeden jedyny Korybut Duszny martwił w tym czasie licznymi swoimi przyjaciółmi. Twarz miał zawsze dziobami nabita ze śladami liszajów dawnych, ale teraz coś nowego, czerwonego, zaczęło się dziać na tej twarzy: bryzgi, wybryzgi czerwone wyprysły z łebkami białymi, swędzące, drażniące na twarzy

i pewno na całym ciele, bo drapał się Duszny po bokach łapą całą. Również sposepniał bardzo. Dla zrozumienia, trzeba kilka słów o nim powiedzieć w nawiasie:

(Strup Duszny pętał się w Punta Chata chyba z rok. Do zamustrowania się nie palił, pracy żadnej nie szukał, raz był kelnerem przez tydzień i zaraz się zwolnił — nie żebrał a żył — żył w porcie jak mewy z tego co woda z okrętów albo z głębin na powierzchnię dla stworzeń swoich wyniesie. Był w starszym wieku, miał lat 32, ale nie siwy, tylko mu świeże strupy zakrwawiały blond włosy. Wiadomo było, że wojnę przeżył na północy, na statku, który zaopatrywał bazy alianckie. Wiadomo też było — niektórym — że na północy miał grube nieprzyjemności, które na głowę mu padły i w życiu przeszkaadzały. W wolnych, a więc w Punta Chata częstych, chwilach — rysował na kartonikach okręty dziwne sinym ołówkiem, w pianie i w kłębach pod górę płynące — dnem do góry — i sieci do połowu potworów morskich służące i same potwory morskie, też bardzo dziwne, z ludzkimi oczami, prątkowane skośnie sinym ołówkiem. Te kartoniki swoje Pani tylko, gdy nikogo nie było, kładł w okienku kioskowym na ladzie na jeden moment, i, pochwał nie znosząc, brał je szybko z powrotem. Pani, artystę rozumiejąc, mało patrząc — dawała mu 24 centy na obiad w komedorze, Strup brał i po obiedzie przynosił wzamian niezjedzone jabłko deserowe i kładł w prezencie na ladzie. Tak żył. W przeciwieństwie do innych, mało mówił o sobie, więcej o dobrych rzeczach niż o nienawistnych, zdawało się, że chce czegoś, czegoś szuka i że nie ma nic przeciwko śmierci. Zapalił się na moment przygodą Dzierżyńskiego, potem zgasił. Gdy marynarz Trościa opowiadał o banderze na Sobieskim — Duszny Strup, czego nikt nie zauważył, był w niebie. Ściągnął go stamtąd, też nie wiedząc, Kostek Napierski logiką swoją, skutkiem czego Strup odszedł. Taki był ten Korybut Duszny bez pretekstu, podrapany do krwi polski obiekt portowy — któremu bez chęci i woli — przyszło grać rolę w czateńskiej historii).

Ale (nawias zamknąwszy) we wszystkich częściach świata prawdziwe zdarzenia formuje pogoda; nie bez racji, wiek po wieku, od pogody się zaczynają i na pogodzie się kończą z Anglikami rozmowy. Z okienka Kiosku widać było, że wkrótce nadejdzie Boże Narodzenie i Nowy Rok, albowiem rozgrzały się asfalty i migwały blaskiem bardziej żywym — i — co z Kiosku było widać: asfaltowy upał zaczął ludzi dusić! O godzinie 12 na głos syren wychodziła z hangarów masa portowa w portkach niebieskich i w szelkach skrzyżowanych na plecach, upałem rozsierdzona i zła! Naprzeciw Kiosku portowy staruszek ustawiał lokomotywkę drewnianą, na wózku, dymiącą, na której opiekał orzeszki mani i sprzedawał łaknącym do wina. W samym Kiosku, w tajemnicy przed gospodarzem, furczał maleńki wentylator. Gromadki oswojonych dzieci przybiegały do okienka i prosiły o roztopione cukierki. Pani dawała świeże, mało zarabiając, choć słodczyce łąły się z ośmiu butli, zawieszonych nad oknem.

Wyrzuty jej za to czynił Ambrosio Lipiński. Owszem, zbliżało się Boże Narodzenie w Punta Chata. Upalny okres zawsze robi złą krew — szczególnie wśród Polaków na tym odcinku świata i w tym wyrażeniu historii.

Skutkiem tego — Strup Duszny, sinym ołówkiem na kartoniku obrazek dziwniejszy niż wszystkie dotąd wyrysował i na mgnienie oka pokazał go w Kiosku. Przez mgnienie oka można było zobaczyć: szpony, dwa słońca, lodowiec, powikłane jakieś części nieprzyzwoite, i cały szereg sinych liter PPPP... Pani spojrzała — zaczerwieniła się — i najszybciej jak mogła położyła na ladzie 24 centy na obiad.

— Panie Duszny, zmiłuj się pan, jabłka nie przynosi, nie może tak być!

VII.

A jednak nikt się nie zmiłował i było. Miała być uczta flakowa, do której Kostek Napierski przygotowywał się w skupieniu ducha.

W piątek przed sobotą przeczytał w Książce: Flaki po polsku.

Flaki po polsku. Flaki oczyścić, nalać zimną wodą i zagotować raz, szumując jak rosół. Potem je wyczyścić i jeszcze raz przeczyścić i gotować w całości 5 godzin. Ugotowane jeszcze raz wyczyścić i posiekać w paseczki. Osobno ugotować rosół wołowy, dodawszy obfitość jarzyn, marchew i selery posiekać w paseczki, zalać flaki i gotować aż do miękkości. Pół funta masła świeżego zasmażyć z ćwiercią funta mąki nie rumieniąc, rozprowadzić rosół z flaków i wlać do flaków. Dodać pieprzu, soli, imbiru, majeranku i co kto lubi i gotować, aż się wysadzi.

Tym razem Kostek wziął na siebie ciężar niełatwych i skomplikowanych zakupów, od Chichity zażądał tylko drugiego prymusa, większego garnka, stolnicy i tarki, które przyrzekła pozyczyc *enseguida*, *ensegunda*...

Są w Punta Chata dwa pryncypalne merkada: jedno w porcie dla ryb, drugie przy Placu Leonidasa dla drobiu i mięsa; na jednym kotów jest ucieszna obfitość, na drugim muchy ruchliwe martwym stworzeniom dają pozory życia.

Na obydwóch merkadach najlepiej jest kupować po polsku. Kostek wybrał naprzód flaki, żeby były młode, białe i nie tłuste, zapłacił za nie bez targów, za to przy kościach na rosół ponarzekał, że bez szpiku i drogie i nie zapomniał się spytać: a pan dawno tutaj i z jakiego miasta rodem? Jarzyny kupił w poleconym przez kupca mięsnego punkcie, po zaprawki do flaków, za radą jarzynowego kupca, udał się na merkado rybne.

Tam przeważały ryby. Trudno się pohamować i nie patrzeć: Były niektóre wielkie, jak cielaki, rozplatane na pół, w kolorach

ognistych, wiszące na pętlach z trawy morskiej nawleczonych na przekłute nożem pyski; były ryby średnie jedna obok drugiej w rzędach leżące w kolorach i kształtach różnych, z płaskimi oczami, z okrągłym wyrazem rybiej śmierci; były rybki małe na kupy zwalone, łebki szare, brzuszki srebrne, ogonki szare, płetwy i skrzela srebrne ze sobą pomieszan. I były też stwory morskie, mątwy rogate, pulpy fioletowe, jakieś galarety do skrzepłej wody podobne, żeby je nawet kupić, co z nimi zrobić, odgadnąć niepodobna. Małże skałą obrosłe, tanio na kila sprzedawane... Również krewetki czerwone, jak rarytas, tłuczonym lodem posypane... (...które poddały myśl, żeby nie na flaki zaprosić gości, ale na polski z krewetkami zamiast raków chłodnik!)

Kostek westchnął: Ryby z Wołgi, ryby z Wisły, ryby z Malty, ryby z mórz chińskich — i te oto teraz ryby z Punta Chata...

Wyrwawszy się z rybich fluidów, kupił majeranek, pieprz tłuczony i tarty parmezan. Kupił też u przyjaznej kupcowej kosię „Maggi”, która podpadała pod paragraf z Książki: „dodać do flaków, co kto lubi”.

Wrócił do pensjonu obladowany, paki, paczki, paczuszki rozłożył przed zdumioną kerydą i zaczęło się piekło. Odwijanie. Pokazywanie. Nazywanie. Podziwianie. Skrobanie. Mycie. Cholerna Chichita noże miała tępe i nic nie pomagało, że latała: *enseguida*, *enseguida*... Prymus nie chciał zapalić i kopcić. Garnek był za mały. A gdzie drugi garnek? Drugi prymus też kopcił. Szła godzina za godziną, na patio zrobiło się ciemno — gdy — zaczęły się zagotowywać flaki po raz pierwszy.

Przepadły ma się rozumieć cziczinine zarobki, a i spania żadnego nie było tej nocy, ponieważ: Rosół wyszumować! A posolić! A marchewkę i selery pokrajać w paseczki! A flaki już miękkie? A nie miękkie, bo twarde! A jeden prymus zgąś! A nafty nie starczy! A na czym flaki pokrajać w paseczki? Mąkę chyba masz? Mąki nie masz?! I po co ty żyjesz na świecie, *enseguida*, *enseguida*?... Więc płacz. Więc przeprosiny. Flaki w jednym garnku, rosół w drugim garnku, on przy jednym garnku, ona przy drugim garnku — i tak Kostek i indiańska żona jego, nie śpiąc i nie jedząc, w dwóch garnkach flaki bardzo wyborne gotowali po polsku...

Nad ranem Chichita osunęła się na tapczan i zasnęła. On, wytrzymałszy, Książkę na stronicy 135-ej otworzył i flaki miesząc, żeby się nie przypaliły, czytał:

Pulpety do flaków. Pół funta łoju nerkowego usiekać na masło... Na masło! Taką samą ilość bułki utartej włożyć do łoju... Do łoju! Dwie łyżki mąki. Trzy całe jajka. Pieprzu trochę. Cebulkę drobniutko usiekaną zasmażyć na masle... Na masło!... Wszystko wymieszać dobrze... dobrze... formować okrągłe kulczki, jak orzechy... jak orzechy... włoskie i wrzucać na wrzącą, wrzącą, wrzącą... wodę. Na wrzącą wodę! Pulpety jak orzechy! Dobrze!

Różowy świt wchodził przez szklany dach na patio, a z patia do pokoju — gdy Kostek zgasił obydwie prymusy i położył się na swoim miejscu. — Na pulpety — jutro, jutro, jutro będzie czas! Z tym zasypiał. I z tym zasypiał, że wiekowa kultura to cholernie wymagająca rzecz... Ryby, flaki, ryby, flaki, krewetki... Z tym zasnął.

VIII.

Alé za to, kiedy nazajutrz na prośzone danie przyszli do pensjonu Bolesławski szef (natchnienie konspiratorów), Trościa junior (banderę Sobieskiego kiedyś na piersiach noszący), Bobuś mikrus (mamusin-płaczek), Adam Gwóźdź (cztery polskie pary w krakowiaku ćwiczący), oraz ma się rozumieć Wiesio narwaniec a z Wiesiem Ambrosio Lipiński (polskich rzeczy ciekawy) — pycha była!

(Nie przyszedł: Korybut Duszny, bo mu wrzody nie pozwoliły, nie przyszedł także Lizus Jarząbek, bo nie był zaproszony — i nie przyszedł marynarz Fornalski, bo ostatnio zaczął stroić od piątkowej z Dzierżyńskiego kompanii).

Pychę czuć było w samej woni: flaki z zaprażką i pulpetami gotowały się ostatnią godzinę i rodzinny zapach szedł do gości, kojarząc się z zapachem hasminów, które z inwencji własnej na stole postawiła, piersiami z emocji robiąca, Chichita.

Zaproszona przez nią, w tajemnicy przed uwielbionym — słomiana Maria Angelica, suchotnica, wpadła niby po ogień, a jak wpadła tak usiadła i siedziała, nogę założywszy na nogę, w oczekiwaniu *fisty*.

Dalej szło swoim porządkiem: przy Bolesławskiego kontentnym chrząkaniu, stanęła obok hasminów butelka kanii o nazwie „Aristocrata”, z której nalano w szklanki (Bobusiowi tylko nie nalano), wypili raz i dwa, i zaczęły się szeroko otwierać troskami przybite serca.

Zaczął Kostek gospodarz. — Cholera! Imienia nie powiem, bo zrozumie. Włosy naoliwiła, liliowo się umalowała i oświadczyła mnie, że w przyszłym miesiącu żenić się ze mną będzie! W welonie!

— Żenić? — podskoczył Wiesio mało świadomy i Ambrosio, ciekawy bardzo.

— Wypijcie, zaraz się flaki wysadzą. Żenić! Taki mój los, że każda jedna w każdym porcie, jak ja tylko z nią dobrze, kroi ze mną na ożenek. Oświadczyła mnie ona, której imienia nie powiem bo zrozumie, za którą na pozór trzech centów nikt nie da, kiedy ja flaki gotowałem — że ma w banku forszę na strój weselny i na mieszkanie z meblami w stylu francuskim i jeszcze trochę forsy zostanie na czarną godzinę, a także ma schowany na wesele stary koniak hiszpański. Nikogo w życiu tak jeszcze nie kochała, powiada, jak mnie. Cyk, panowie!

Wypili, Bobusiowi nie dali, żeby nie zatęsknił do mamusi — a flaki się już wysadzały. Z niepokojem w uwielbionego, co mówi, wpijała Chichita oczy indiańskie — a Maria Angelica, sukienkę podwinawszy, pokazywała i pokazywała Bobusiowi szcuple nieco, ale przystojne nogi.

Hasminy pachniały. Flaki dojrzewały. Sąsiedzi pensjonatowi podsłuchiwali. Wiesio zapytał na ucho Szefa: — Jakie są notisje z Belwederu o tym zdrajcy?

Wjechał na stół gar potężny. — Obserwujcie — rzekł Kostek — kolor, gęstość i zapach! Od dam zacznym!

Koleżankom obok siebie na tapczanie ulokowanym — na talerze flaków najuprzejmiej na spróbowanie położył; potem rodakom po kolei kupy wielkie z pulpetami walił i walił. Nawaliwszy — odsapnął — i na reakcję gości czekał z sercem w gardle.

Co tu gadać! Młaskać nie gadać! Rozanielił się, młaskając, Trościa, i młaskając Adam Gwóźdź, i dziwnym trafem Ambrosio Lipiński; rozanielił się także szef Bolesławski, zażądawszy przedtem szklanki kanii i więcej soli. Zawód robił tylko Wiesio zamysłony o czym innym, i Bobuś, któremu w jedzeniu przeszkadzały Marii Angeliki po kolana widoczne nogi. Panienci tutejsze widelcami w talerze z ciekawością dziobały...

— No! Flaki polskie są, czy nie są? — zasadnicze pytanie postawił mistrz Kostek Napierski.

Więc nadzwyczajnie chwalić zaczęli i chwalili więcej niż ro minut, jedząc, dobierając, znowu jedząc i aluzje czyniąc do drugiej butelki Aristokraty. Że miękkie — chwalili — zawiesiste, majrankowe, pieprzne i z pulpetami — chwalili — drugie takie znaleźć można chyba tylko w Warszawie!

Wyciągnął się gospodarz w trzcinowym fotelu, nareszcie syt zasług i chwały, i teraz sam proponował odmianę rozmowy:

— Papierośnica, co tu leży (mówiąc to, bez apetytu zaczął pojadać swoje flaki), co tu leży na stoliku, jest z prawdziwej skóry marokańskiej, kto nie wierzy, niech sprawdzi. Mam ją dopiero od czwartku w ofiarunku od tej, której imienia nie powiem, bo zrozumie. Te złote litery nie są moje, tylko drugiego mechanika z Verdunu, który to Verdun we czwartek stał na redzie. Ale powiedziała, że litery mnie zmieni. Są Morrisy w tej papierośnicy, bierzcie panowie, kto ma życzenie.

Na to wybuchnął Wiesio szalony, prawdy nie ukrywający:

— Pan Napierski jest wulgarny — e! — pan Napierski jest świnia!

— Flaki są dobre! — łagodnie nawrócił do dawnego tematu Ambrosio Lipiński.

— Wiesio jest dobry — zaświadczył, zapatrzone w to, co nie trzeba, Bobuś Sandalski.

— Cicho, dzieci! — pstryknął palcami Szef, aż kobiety na tapczanie rzęsami zawachlowały.

Arystokraty popiwszy, Kostek zastanowił się, jak mu wypada postąpić; zastanowiwszy się, posmutniał. Wargę wysunął, nos spuścił, flaki niedojedzone odstawił na stolik, gdzie coraz śliczniej pachniały cziczinińskie hasminy. — Zatem — rzekł — mnie pozwólcie, panowie!

Pozwolili.

— W serce mnie tutaj ten gość Bączek wyrzucił sztos, Bo-giem się świadczę, niesprawiedliwego! Świnstwo, goście drogie, jedną szosą, a logika drugą szosą. Logika w moim życiu mnie nauczyła dwóch rzeczy, albo i trzech. Nie skłamię teraz co powiem, bo przy trunku jestem niezdolny. Jak tylko ludzie są dobre, zaraz każdy jeden przy nich robi się zły i niewdzięczny. U Ruska najłatwiej mnie było kraść dla małoletniej siostrzyczki, co później umarła, kaszę, chleb, buty i chustkę u dobrych ludzi, co się nad nami litowali. Bo niby gdzie miałem kraść, w enkawudowskich komendach? Jak się musi, to się kradnie nie tam gdzie trudno, ale tam gdzie łatwo. Kradzenie też ma swoją logikę oddzielną... (Ale?! Flaków komu? Wódki komu? Panu Bolesławskiemu? Cziczita, panu Bolesławskiemu!) Leżałem w Anglii w szpitalu na łóżu śmierci przez 6 miesięcy i jedna w szpitalu nersa dobrze była dla mnie usposobiona. Co chciałem pod względem jedzenia i kaprysów natychmiast zadośćuczyniała. I co wy na to powiecie, panowie? Jak ze szpitala wyszedłem, zdałem sobie sprawę, że żadnej nersie tak sadła za skórę nie nalałem, jak tej właśnie! Urazę do niej śmiertelną żywiłem, gdy we wtorki miała wychodne i na salę nie przychodziła. Tej dobrej siostrze za karę, że o innych chorych też dbała — nocnik umyślnie pod łóżkiem rozlewałem, żeby miała więcej nieprzyjemnej roboty. Termometry jej tłukłem i hece różne wyprawiałem, za nic innego, tylko za to, że była dla mnie dobra. Na złość jej robiąc, znienawidziłem w dodatku całą wyspę angielską, i tę nienawiść do tej pory chowam. Każdego Anglika zaraz bym w mordę bił! Co ja wam powiem? Biłbym! Wy-pijcie!

Sam wypił. — Powiedźcie, panowie, czemu taka świnia w człowieku siedzi? Na logikę weźcie: czemu, jeśli który pieniądze od kogo pożyczycy, a nie odda, albo komu co dobrego zawdzięcza — zaraz tamtego drugiego obświni? Może nie tak? Tak! Logika też powiada, co powiem: jeśli potrzeba ostateczna nie zmusza, brykaj bracie od ludzi dobrych! Żeby, jak zaznaczyłem, świnia z ciebie nie potrzebowała wychodzić. A już od Polaków, co mają wielkie zasługi i od Polek godnych uwielbienia — aj, Jezu miły, ja uciekam, uciekam! Nie, żebym nie chciał, ale do polskości się poczuwając, unikam, żeby przy nich świnia ludzka, co mówiłem, pyskiem nie ryla. Mało to miejsca do rycia? Jarząbek dla mnie w sam raz, bo jak ja jemu, albo on mnie mordę zbije, to sprawiedliwości się nie stanie żadna krzywda. Tu obecna Cziczita dla mnie w sam raz bo jak ja ją wystawię do wiatru, albo też ona przedtem, jak to gdzie indziej bywało, nóż mnie wsadzi pod żebro, nie będzie niczyja krzywda. Papierośnice,

proszę gościów, o którą się rozeszło, jeden dał, drugi wziął, jedna wzięła i jedna dała. Gdzie tu nieprzyzwoitość i gdzie tu krzywda i gdzie, proszę wymienić, jest świnia?

Chichita, posłyszawszy swoje imię, popisała się przed gośćmi:

— Glupia — jes-teś. Tak — tak — tak!

Śmiesznie się zrobiło w familijnym pensjonie. Bączek nie zrozumiał całej kostkowej przemowy, ale poczuł respekt dla logiki z Rosji, z Anglii i Bóg wie skąd do Punta Chata przywiezionej, i w ogólnym rozśmieszeniu, dał spokój mentorstwu.

— Czt, czt, Belvedere! Czt, czt, Bolesławski!

— Tak, tak, tak! — nauczyła się Maria Angelica i uszczęśliwionemu Bobusiowi takowała zalotnie w oczy; ten, ostatkiem siły woli zapytał gospodarza: — Pan wszystko wie, niech pan powie, kiedy będzie wojna?

Chichita myśląc, że już jest powszechna wolność — wskoczyła Kostkowi na kolana z ustami do pocałunku. Zrzucił ją zaraz, karcąc: Glupia jesteś!

Koleżanki wróciły na tapczan, a młodzi rodacy z powodu gorąca zdjęli marynarki i zaczęły z nich parować „ja” różne. — Ja — mówił Trościa — ja nigdy bym na Dzierżyńskiego się nie dostał, gdyby nie Pani Doktor z Gdyni, która mi dała świadectwo, a ja... — Widząc, że go nikt nie słucha, do Ambrosia się pochylił i jemu już tylko ciągnął historię o Pani Doktor z Gdyni. W tym samym czasie Adam Gwóźdź mówił: — Ja tego łapacza Radio-Pieniążka dostanę jeszcze kiedyś w swoje ręce i ja takiego syna jak psa zabiję, bo ja mam taką naturę, że jak kto mnie, to ja jemu... — Widząc, że go ogół nie słucha, do Wiesia się pochylił i o naturze swojej szczegółowo wyjaśniał. — Ja — zapanował nad gwarem szef Bolesławski, partykularnych słuchaczów nie szukając — ja napisałem do Polskiego Kongresu w Ameryce i do prawowitego Rządu w Londynie, że ponieważ teraz ręka czerwonego terroru nas dosięgnąć nie może, przez to cała zemsta skupi się na naszych rodzinach, po pierwsze wysiedlę ich z wybrzeża do jakiego zapadłego kąta kraju, gdzie nie ma żadnego zarobku, przez co praktycznie są skazani na zagładę, o ile nie dostaną od nas materialnej pomocy. Ja napisałem, że pomoc niezbędną czyli wsparcie dostać mogą tylko od nas, bo inni będą się bali być posądzeni o sprzyjanie rodzinie antykomunistycznej, wobec tego ja prosiłem w liście, żeby nam umożliwiono pływanie na statkach amerykańskich...

Wiesio otrzepnął się z Gwóździa i ostro przypomniał panu Bolesławskiemu:

— Belvedere! Później statki amerykańskie!

Rozłoszczony przerywaniem jajowego opowiadania, Adam Gwóźdź warknął na Szefa:

— Do Londynu i do Kongresu napisałeś, a do chłopskiej organizacji nie napisałeś? Nie? (Ojciec Gwóździa był przed wojną działaczem ludowym w okręgu gzowskim).

Można było przypuszczać, że kłótnia wyniknie, ale nie wynikła, ponieważ Szef trzymał przy ustach napój, który zamie-

rzeź wypić, więc odpowiedział krótko: — Do chłopskiej nie. Nam się rozchodzi o skuteczność i o konstytucję, o nic więcej!

Obok marokańskiej papierośnicy i hasminów, leżała Książka Napierskiego, właściciel wziął ją w ręce, podniósł do góry i krzyknął, żeby przekrzyczeć:

— Ja wam zaraz przeczytam odwieczną konstytucję!

— Odwieczna nasza konstytucja. Paragrafy: Wstęp. Sosy zimne, sosy ciepłe, zupy i zupy postne, dodatki do zup! Ryby, wołowina, cielęcina, wieprzowina i drób! Potem są paragrafy: Jarzyny, różne potrawy mączne, jaja i omelety. I są...

Ambrosio Lipiński, polskich rzeczy ciekawy, zaczął się śmiać. Pierwszy raz go zobaczyli w takim stanie. Śmiał się i krztusił i pluł w głupim śmiechu na prawo i lewo, aż się zaczęło od niego odsuwać. Wiesio wyróżnął przyjaciela w kark: *Dejate de joder, chancho sucio!*

— Ja widzę — rzekł z powagą szef Bolesławski — że z politycznych rzeczy zaczyna się robić komiczna draka. Panie Napierski! Panie Lipiński! — I chciał naprawdę bić.

Sytuację uratował instynkt kobiet matę pijących, które po polsku nie rozumiały, ale z pijanymi wiele mając do czynienia, zaraz zgadły, co trzeba.

Wtrącili się po swojemu: — Chichita mówi, że wyjdzie 13-ka, a ja mówię, że wyjdzie 48!

Nierozumiejącym szybko przetłumaczył Wiesio Bączek — że jedna mówi, że 13, a druga że 48. Zaraz myśli obróciły się w inną stronę, bo chodziło o kiniele, ważną w Punta Chata. O hazard taki, że jeśli kto jeden numer, albo lepiej dwa, trafi przy loterii, za jednego peza robi się bogaty.

Bolesławski od pierwszego dnia wolności grał w Kiosku na 513, więc go 13-ka prorokini niezmiennie zafrapowała. Wiesio też się opowiadał za 13-ką. Trościa wierzył w 67. Adam Gwóźdz w 28. Ambrosio Lipiński od wielu lat stawiał na 99. Mały Bobuś, który na nic dotąd nie stawiał, naliczył w kolczykach Marii Angeliki 8 pereł i energicznie obstawał przy zero, zero 8!

W tym stanie rzeczy miejscowi chłopcy dalej opowiadali, ile kto kiedy i w jakich okolicznościach wygrał na kinieli i zrobił się bogaty!

— Ja muszę pójść za własną potrzebą — stęknął nagle Szef, w trakcie kalkulacji.

Wyprowadziła go na patio Chichita i prowadziła w mroku po niebieskiej, mozaikowej posadzce między kaktusy, rosnące w wazonach, gdzie był otwór do ubikacji. Ciekawi sąsiedzi drzwi uchylili i podpatrywali, kto wchodzi...

Zanim z potrzeby wrócił, Adam Gwóźdz, nie tylko tancerz, ale i śpiewak, buchnął pełnym głosem: Hej strzelcy wraz!

Po pierwszej zwrotce przerwał mu Wiesio zapalony i pościągął: Czerwone Maki na Monte Cassino!

Wszyscy zaczęli śpiewać kochaną melodię; wrócił Szef wzrostu 2 metry i już we drzwiach dołączył swój bas do chóru: Wróg się tam kryje jak szczur... musicie, musicie, musicie!...

Gdy przyszło do śpiewów, tutejsze panny nie uważały się za gorsze, więc Maria Angelica poderwała się z tapczanu, obciągnęła sweter, żeby Bobuś mógł widzieć lepiej i nabrzmiałym urodą głosem tak zaśpiewała:

— *Me gustan todas — me gustan todas — que voy hacer?*

Que voy hacer!? Si soy así!

Un pica-pica — picaflor?!

— Co ona wyje? — spytał Bolesławski.

— Picaflor — objaśnił Wiesio — jest ptaszek sos z kwiatków pijący. Po polsku picaflor jest koliber.

— Ona śpiewa — szczegółowiej objaśnił Ambrosio — że ona gustuje w każdym, w każdym, w każdym...

Bobuś dokończył z nadzieją w głosie: — ...w każdym kwiatku się kocha?...

— Ludzie! — wrzasnął żyrutowany Kostek — wy zdaje się wszystkie frajery rajerowskie z Rajerowa jesteście! W jakim kwiatku?

Ale nie z przyczyny kolibra i kwiatków stała się nieprzyjemność, tylko z tego powodu, że w czasie występu Marii Angeliki — Chichita przyprawiała matę dla siebie i koleżanki w bliskości Bolesławskiego, a ten, Arystokratę mając w głowie, zapomniawszy kim i gdzie jest — i zrobił gest, który musiał do żywego obrazić gospodynię, za mąż się welonie wybierającą.

— Cze! — rozpoczęła Chichita. — Cze, vos!

Rozpoczęła nie bardzo głośno, nawet cicho, ale takim głosem, że umilkła cała Polonia, z Kostkiem włącznie.

Odeszła pod ścianę, ręce spłótła z tyłu na pasku, kiwnęła się z boku na bok — i znowu zaczęła!

I przerywała; ale w taki sposób, że nikt ciszy nie śmiał zakłócić, z Kostkiem włącznie.

Dobitnie podkreślała i powtarzała niektóre wyrazy: Nunka hamas i hamas nunka i słowo bandera. Sprawca katastrofy siedział jak trusia, a za nim inni w zaskoczeniu siedzieli, jak trusie, z Kostkiem włącznie.

— *Nunca jamas! Jamas nunca!* — Z rękami splecionymi na plecach, kiwając się z biodra na biodro — odważnie szukała oczu każdego z obecnych. — *Nunca jamas! Jamas nunca!*

Zdawało się, że kończy, ale nie: *Nunca jamas, jamas nunca!* Nikt jej nie przerywał, ani przerw nie zakłócał, z wyjątkiem myszkujących sąsiadów. Zdawało się, że skończyła, ale nie: Nunka hamas, hamas nunka!

Późno obecni w pensjonie spostrzegli, że w tym czasie słomiana Maria Angelica wyciągnęła się na tureckim tapczanie pupinką do góry i drgała w ciszy, co okazało się śmiechem historycznym. Zakończonym śmiechem i kaszlem suchym, jak pieprz.

Po tym śmiechu, szef Bolesławski pochylił się do Wiesia i spytał nieśmiało:

— Co ona chciała, ta wścieklica?

Nim Wiesio zdążył odpowiedzieć, Bobuś podbiegł do kaszającej i odwróciwszy ją brzuszkiem do góry, zaczął uspakajać i po słomianych włosach głaskać, aż uspokoił.

Kostek, cicho stąpając, zbliżył się do Chichity i objął jej po raz pierwszy sztywną i oporną kibić. Niezręcznie i z poczuciem nieokreślonej winy rzekł jej miękko: -- Keryda, głupia jesteś!

Ona, jakby ze snu się budząc, rzekła po raz ostatni *Nunca Jamas! Jamas Nunca!* i dała się odprowadzić do tapczanu.

Wiesio, z wielkimi oczami, dość tajemniczo przetłumaczył Polakom słowa tej indiańskiej wścieklicy. — *Se trata*, znaczy, się, mówiła ona, że pan Bolesławski ją molestował, a ona — mówiła — jest w swoim własnym kraju, pod swoją celestyńską banderą, i może o niej każdy mówić co chce, ale ona jest pod celestyńską banderą i nigdy, przenigdy — *nunca jamas!* — nie pozwoli, aby pan Bolesławski, czy ktokolwiek inny, traktował ją w jej domu, jak ostatnią pe! Na to się ona nigdy — *jamas nunca!* — nie zgodzi, bo jest pod swoją własną banderą, we własnym kraju i w swoim własnym pokoju, i tylko od niej a nie od pana Bolesławskiego zależy, kiedy się jej podoba być seniorą, kiedy senioritą, a kiedy pe!

Tak Wiesio po cichutku, z przejęciem, logikę gospodyni Chichity rodakom wyjaśnił — po czym niesmacznie im było dłużej zostać, tym bardziej, że gospodarz Kostek, zaniepokojony w stanie posiadania, tylko się koło swej posiadłości przy tapczanie kręcił. Więc — po skończonych do czysta flakach i flachach arystokratowych — zdecydowali się wszyscy razem wyjść. Szef Bolesławski dał początek, giętkim krokiem podszedł do tapczanu — i rękę Chichity z nabożeństwem do ust podniósł na pożegnanie.

Za jego przykładem Trościa, Adam Gwóździ i Bobuś brzdąc, tak samo jej rękę z szacunkiem, nisko się chyląc, na pożegnanie i podziękowanie całowali.

Oczy Chichity ze skośnych zrobiły się okrągłe, zaś Maria Angelica zaczęła po raz wtóry niepokojąco drzeć. Na szczęście miejscowi: Wiesio wściekły i Ambrosio ciekawy, machnęli przy drzwiach dwoma palcami, zachowując się jak należy: — *Chau, vieja!* Bądź zdrowa, stara! Czau!

Wyszli w kupie na patio, na które przez szklany dach księżyc rzucał światło srebrne i srebrzył kaktusy i uszy podsłuchujących sąsiadów. Ze 20 maleńkich kociaków z nagła i nie wiadomo skąd wyległych, zaczęło się pętać pod nogami i pisać jak niemowlęta, ogonki postawiwszy na sztorc. Obijając się o kocięta, wyszli w kupie na ulicę Rincón, całą w srebrze i nie wiedzieli, co mają ze sobą robić? Co mają robić ze sobą ociężały po flakach Polacy, w noc późną, w noc księżycową, sami jedni, na ulicy Rincón? Poszli sobie i szli, szli po Rinkonie i pomrukiwali kochaną piosenkę: *Przejdą lata i wieki prze-miną...*

Dopiero w kilka minut po nich — wyszedł wstydliwie z pensjonu — dotąd w mroku na patio, w księżycu i w kaktusach

gdzieś przyczajony — brzdąc Bobuś Sandalski, ze słomianą Marią Angeliką, uwieszoną na jego ramieniu. Prowadził ją, oglądając się, czy nikt nie widzi, tam dokąd chciała, do baru Tango. Wiotka Maria Angelica tuliła się do niego, jak małe dziecko, a Bobuś tulił się do niej nie mniej serdecznie. W marszu, przy księżycu, czuł na piersi jej rączkę, melodię Czerwonych Maków paluszkami wystukującą. Księżyc srebrny, Rincón srebrny, Marija w księżycu słodycz z kwiatów, jak koliber, pijąca! Pica — pica — pica, Marija anielska! Tak doszli do baru Tango. Gdzie właśnie przed chwilą zapuścił w Kiosku żelazną kurtynę Lizus Jarząbek, a Pani już sobie poszła!

Ojej! Cemu poszła? Słomiana panna, uwieszona u bobusiowego ramienia, stanąwszy przed barem, nagle się oderwała i rzekła: *Chau!*

— *Chau viejo!* Bądź zdrow, stary!

— *Chau!* — rzekła — i srebrno się mignąwszy, znikła w drzwiach baru Tango.

Bobuś został sam. Sam jeden do tego baru nie umiał wejść. Więc zrobiło mu się przykro i zateśknął do Pucka. O wojnie, kiedy będzie, pomyślał i o państwie Lipińskich, że nie lubią takich, co do domu wracają późno. Która też może być godzina, żeby nie zrobić przykrości państwu Lipińskim? Zegarka w kieszonce, gdzie powinien być nie ma. Tu się pomacał, tam się pomacał, nie znalazł. W poszukiwaniu zegarka zauważył, że ceratowego portfeliu z pięciu pezami od gązgi i z ostatnim listem od mamusi też nie ma. Nie ma! Szuka na piersi i nie ma! Ojej!

Jak nie ma, to nie ma. Bobuś marynarz z Dzierżyńskiego brzdąc odważnie zaczął maszerować na róg Rambli, gdzie był przystanek autobusu do państwa Lipińskich. Ale nie doszedł. Padł nagle w chorobie dziwnej w noc srebrną o sto kroków od baru Tango, skąd na nieszczęście Pani już sobie poszła. Rąbnął głową o krawędź chodnika i leżał we krwi, w drgawkach i w pianie, która ze zjedzonych flaków z kątów ust mu ciekła. Napatoczył się jeden pijak, tutejszy, drugi pijak zagraniczny, trzeci pijak Grek, w końcu zagwizdał nad Bobusiem miejscowy policjant. Po godzinie zabrano go do szpitala „Mendes”, gdzie następnego dnia po południu dano mu zastrzyk — i jako że żadnych dokumentów przy sobie nie miał i po tutejszemu nie mówił — przeznaczono go na pierwszy raz w tym kraju eksperymentowaną operację.

Tak więc, po uczcie flakowej, Bobuś brzdąc w szpitalu „Mendes”, nie wiedząc o tym, czekał na cudowną operację, mającą go uwolnić od cierpień jego małego żywota.

IX.

Tego samego flakowego wieczoru, bocznymi ulicami Punta Chata pomykał człowiek, którego trudno było poznać, bo miał chustkę na twarzy. Chustka zakrywała twarz od nosa

po szyję, a z tyłu spięta była agrafką. Pomykał szybko, widać się wstydził.

Tak doszedł do bario, gdzie nie było widać żywego ducha, oprócz zwierząt nocne dziwy świata i siebie obwąchujących. Znalazł domek pod zapisanym numerem, przy domku ogródek z palmą, a w domku garaż. Nad garażem wisiała deska z napisem:

*Estanislao Maslo
Zapatero
Reparaciones y areglos.*

Gość w chustce, miejscowym zwyczajem, zaklaskał i wszedł do garażu.

Pośrodku paliła się nisko żarówka, zawieszona na długim drucie. Wnętrze było w ciemności, tylko pod żarówką było jasno, znaczy był stół na krótkich nogach, na stole szydła i nici w dużym wyborze, obstawione koślawymi butami różnej płci i wymiarów — i była głowa ludzka, tysa całkiem, owalna, z parą błyszczących okularów, która to głowa — pod żarówką — zdawało się — niby strusie jajo na stole sobie spoczywa.

Gość chustkę ściagnął z twarzy i rzekł tragicznie: — Panie Maslo, ja jestem!

Szewc podniósł rękę z igłą, do okularów, zsunął je, popatrzył, że on, na powrót okulary naciągnął — i miejsce igłą na skórze punktował. I szył.

Poza kręgiem żarówki widać już teraz: dużo butelek, puste garnki, puszki od konserw, zgniecione opakowania od papierosów Extra, nać od rzodkiewki, kaczi-baczi, czyli rupiecie różne — między którymi tyłały się pokraczne nie od pary buty i buty...

Widać już teraz: szewc Maslo był mały, ulepiony na okrągło i miał twarz liliputa, znaczy starego dziecka.

Iglę wbił, nitkę wyciągnął, okulary przesunął — i poczekawszy trochę spytał nie głośno:

— Gacie son?

— Są. Panie Maslo, ja zaraz panu wszystko opowiem. Tylko, że mnie nie łatwo jest mówić, bo nie umiem. Zaraz opowiem. Panie Maslo! Ja przepraszam, że jak mnie wtenczas do pana zaprowadzili, więcej nie przyszedłem. Bo... dlatego, że jeszcze jednego sławnego doktora Vasqueza chciałem spróbować, którego poradzili. Maście, zastrzyki, penicilina — i widzi pan, nie pomogło, bo taki jestem! Z twarzy mi się leje, niech pan patrzy, w uszach strupy wiszą, a na całym ciele mam takie swędzenie, że już nie wiem gdzie ręce wetknąć! Niech pan patrzy?! Panie Maslo! Wszyscy gadają, że pan ludzi ratuje! Ja nie umiem ładnie mówić, ale ja pana proszę... Panie Maslo! Co pan wtedy kazał — przyniosłem...

— Noszone?

— Tak.

— Siadaj, człowieku.

Powiedzieć łatwo, usiąść trudniej. Estanislao Maslo zmiotł naprzód z taburetu kaczi - baczi czyli rupiecie różne, taburetem stuknął, żeby paprochy zmieść — i dopiero zaproszony pacjent mógł usiąść.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego! Przeżegnaj się!

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego...

— Daj!

Nieszczęśliwy człowiek wyciągnął z kieszeni paczkę owiniętą w gazetę i dał.

Mądry człowiek rzucił ją obojętnie na stos butów.

— Jak było?

— Co?

— On nie wie! Ta choroba, jak było?

— Ja nie wiem...

— Z kobiety li z dietiaczka, z powietrze li z wody? Ze słonca li, czy z nocy? Z mleka li, czy z arrozu? Jak było? — Zsunął okulary, popatrzył uważniej na śliską twarz pacjenta i sam odpowiedział: — Oj z wody, oj z wody i z nocy jak dziegieć! Jak było?

Pacjent zakręcił się na stolku.

— Mnie ciężko jest mówić, panie Maslo... To chyba było... było... zaraz powiem... Na małej wysepce, co się nazywa Papiej — koło Islandii... Gdzie wieloryby przychodzą, żeby zdychać... Tam mnie pierwsze pryszcze wyskoczyły, maluśkie jak łebki od szpilek, naprzód na brodzie, potem na jagodach. Przyłożyłem maść ichtiolową, co była na Bugu...

— Na Bugu?

— Tak się nazywał okręt, który zaopatrzenie woził lotnikom. Ta maść ichtiolowa naprzód pomogła, ale później mnie znówu...

— A ten Bug co był?

— Amunicję i konserwy woził pod kapitanem Abramowskim. Jeden artylerzysta na Bugu mnie przestraszył, że to może być trąd, bo na Islandii dużo się znajdowało trędowatych z powodu flądry surowej, którą żarli. Których później, jak słyszałem, benzyną obleli i spalili... Więc udałem się do szpitala Św. Józefa, gdzie były dwie polskie siostry, i one zaraz powiedziały, że to nie trąd. Dały mnie maść żółtą, z sulfamidą...

— A te wieloryby, jakie to ryby?

Pacjent męczył się na stolku; raziło go światło wprost w oczy, dokuczał przymus mówienia i złośliwa choroba. Czochrał się po głowie pełną dłonią, drugą drapał się zajadle pod kolanami.

— Tam są lody takie, panie Maslo, lodowce, skąd — nie wiem jak — ale woda gorąca bucha, czyli gejzery. Wieloryby z całego świata upodobali sobie to miejsce do zdychania. Na skałach kości wielorybich tyle, co na rozkopanym cmentarzu. Więc, jak mnie siostry dały tę żółtą maść, podziękowałem, i...

— To, to, to! Woda gorąca z lodu! Jak było?

— O Jezu, panie Masło! Okropnie mnie swędzi, nie mogę wytrzymać! Zaraz... Lodowce to są takie góry z lodu, sine, a jak jest słońce, to się mienia we wszystkich kolorach i nie jedno słońce świeci, ale dwa i trudno zgadnąć, które prawdziwe. Natomiast przy zorzy polarnej widziałem nasz Bug na niebie, tylko przewrócony do góry nogami, masztami w dół. Bardzo sobie zapamiętałem ten widok panie Masło. Wiatry tam na przedmuchach strasznie wyły. Po dziś dzień muszę to czasami na papierze wyrysować, tak mnie ściga...

— To, to, to! Jak było?

— Jeden Niemiec bombardował nas we fiordzie z samolotu, a skończywszy, zamroził się widać w tych słońcach i w okolicy do góry nogami, potracił o lodowiec i przepadł. Znaleźliśmy go dzień później w stanie żywym z połamanymi członkami, a tamtejsze ptactwo wyszczyphało mu oczy. Bez oczu umarł u sióstr, i też mnie ściga. W ogóle, panie Masło, nie wiem po co mnie pan za język ciągnie, nie wiem dlaczego? Choroba mnie ściga — widzimisia mnie ścigają — daję panu uczciwe słowo, że skonaniu nie jestem przeciwny! Nie męcz mnie pan!

Wykręcił się plecami do światła, tyłem do pana Masły.

Psy z baria zebrały się pod garażem i powarkowały.

Rozległ się miarowy stuk młotka, pan Masło obcas nabijał.

— Już chyba pójde... O Jezu!...

Psy warczały, młotek stukał.

— Harbaty zaraz pogotuję, albo masz człowieku życzenie chleba z miodem? Chleba z miodem?

— Już sobie pójde...

— Kiedy białe noszone przyniósł, to nie pójdzie! Niech siedzi! Ja miodu dam i opowiem tobie, co będzie.

Nie wstając od warsztatu, Estanislao Masło sięgnął po chleb, po nóż i po butelkę z miodem. Ukroił chleb na brzuchu, odkorkował butelkę i chleb miodem polał. — Na!

— Teraz ja tobie powiem co bydzie... Uważaj człowieku!

Litewskim głosem opowiedział:

— Od Turków se zacznie; ale Turki nie będą winowate, tylko ten będzie winowaty, kto ciebie przygnał w te progi. U mnie jest wszystko zapisane, jak te ameny w pacierzach, a co jest zapisane, musi se sprawdzić od Ojce nasz aż po żywot wieczny, amen! Tak jest zapisane:

Pan Masło z pamięci sylabizował:

— Od Turków — se — zacznie. Ale — Turki głupie — nie będą winowate — tylko sierpy i młoty — będą winowate — a od Turków — przeskoczy przez rzekę Złoty Róg — a od rzeki Róg do Judei — albo Palestyny — i w Palestynie zakręci se — ta wojna — u Żydów — która wojna — okolice nam zbawi — od sierpa i młota — i od złego ściutkiego amen! A zakręci se ta wojna — kiedy — miesiąc se odmieni — i kiedy będzie napisane — na ceglach miasta Jeryho — osiemdziesiąt

i osiem! A kiedy miesiąc — se odmieni — i kiedy będzie postanowione — 80 i 8 — jest zapisane — na — poczesnym miejscu! A wszystko — co jest zapisane na poczesnym miejscu — musi se sprawdzić — jak se sprawdziło co było napisane — o japońcu i o swastyku — co se już sprawdziło — i co dalej se będzie sprawdzać, jak amen w pacierzu — amen!

Obrócony plecami pacjent, z pajdą chleba z miodem w ręku, drugą ręką wściekle drapał się po zadach.

— Jak amen w pacierzu — amen! — Lekarz, nie czytając więcej, płynniej doradzał:

— Myśli kryjesz człowieku, że co na poczesnym miejscu napisane, dolołów twoich nie tokuje. Ale jesteś w omyłce, człowieku! Dolołom tokuje! Choroba twoja z wielorybów, skał, trądu i ze ślepi przez kruki zjedzonych — jest — z lodu i z nocy jest, człowieku! I z wody. W nocy, te białe noszone coś dał, na eukaliptowych drzazgach spał i dym albo na prawe albo na lewe rękę za zdrowie twoje wygoniem. Haj! Ja wiem, co tobie potrzeba, człowieku!

— Co?

— Wody... cielskiej, tobie potrzeba, człowieku!

— Ja już dłużej nie mogę! O Chryste Panie! Już idę!...

— ...potrzeba tobie, człowieku! Do brzucha, do twarzy, do nóg, potrzeba tobie wody... cielskiej, studziennej, zórawiem ciągnionej, żeby brzoza blisko rosla i kwiat, co się nazywa kacze ziele. A woda żeby była z rzęsą, co jest jak zwieczdoczki zielone! Takiej tobie wody potrzeba, człowieku! Turki i żydowskie miasto Jeryho dolołu twojego tokują, bo po nich poznasz, kiedy wody takiej dla brzucha, dla twarzy i dla nóg, z łaski Pana Boga Pocieszyciela, na polepszenie swoje, popijesz. Kiedy? Aa, kiedy? A w maju, a w maju, człowieku!

A w maju!

Gnębiony człowiek wykręcił się gwałtownie do światła i twarz jego z mokrym obrzękiem znalazła się tuż przy twarzy starego dziecka. Oczy łukiem napięte spotkały się z prostymi oczami w drucianej oprawie okularów.

— Niech pana jasna cholera ściśnie!

— W maju! Nie ładnie, jak cholerujesz, człowieku! Prawda od Boga początek bierze, jak rebionok od ojca. Nie choleruj, człowieku! Ja choroby nie wezmę, ani nikt jej teraz nie weźmie, bo ona jest okoliczna, i tylko woda z rzęsą, z liściem brzożowym jedno na nią lekarstwo. Ale nie choleruj w bólach, człowieku! Zanim mają doczekasz, choroba uśnie, przycupnie, będzie ona w tobie siedzieć jak kocurek mały i pazurkiem nie zacarapnie — i tak, na wodę okoliczną, studzienną, w miesiącu maju, będziesz sobie w cierpliwości czekał — a będziesz czekał, i będziesz czekał, człowieku!

Lekarz wstał i potoczył się w ciemne wnętrza garażu; zabieliły się prześcieradła, widać w barłogu czegoś szukał. Wrócił do światła:

— Na!

Trzymał w ręku blaszanego niedźwiadka, stojącego na dwóch łapach, wielkości szpilki od włosów.

— Na, tobie!

— Na, tobie i trzymaj! Z miasta Lidy on jest, wierny i niedokuczliwy, i będzie tobie służył w potrzebie. Na Pohulance, spod Nowych Świecian, gdzie pułk piechotny Sim-Sim każde lato na manióbry przychodził, tego miedźwiedzia soldatiszki Piłsudskiego nosili na epagonach, co był jeszcze z Murmańska. Weź sobie! I znowu posłuchaj, co masz robić, człowieku!

— Kupisz lód w bryle! Rozdziejesz se ze wszystkiego, co masz! Lód włożysz do miski! Poszukasz strony, gdzie leży okolica. Staniesz na łodzie w misce o wschodzie słońca — o wschodzie słońca! — i tak będziesz stał minut siedem, przestępując z nogi na nogę, co drugi dzień, przez dni siedem. Nie dłużej. Masz patrzeć w stronę okolicy. Miedźwiedzia będziesz trzymać tak, żeby patrzył za tobą w stronę okolicy. Jak z lodu zleziesz — wodę, co się roztopiła, zlej do garnka. Tę wodę pij. Jak masz pragnienie, jak masz życzenie, pij, myj se i chluj się sobie z tego garnka. Módl se i pracuj, człowieku!

— O Jezu!

— Ja zrobię... z białym, noszonym, na ogniu z eukaliptów... Zaleczysz se. Lód chorych wielorybów nogami roztopisz, miedźwiedź chorobę rozdmucha — a w maju — przy studni z rzęsą — prędko zdrow będziesz. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, amen!...

— W imię Ojca i Syna...

Pan Masło z twarzą starego dziecka — podniósł but, na znak, że nie ma nic więcej do poradzenia.

Psy się bawiły, kukaracze szumiały, palma przed garażem liściem o liść tarła.

— Co ze mną będzie, co ze mną będzie? O Jezu!

Już nie otrzymał odpowiedzi.

— Dobrze, więc idę. Ja, panie Masło, spróbuję, co pan mówił, bo ja nie mam nic do stracenia. Z gęby mi się leje; gdzie się podrapię, tam krew idzie. Spróbuję, panie Masło... Już idę. Ile ja jestem panu winien, panie Masło? Pieniędzy przy sobie nie mam, ale ja panu...

Twarz starego dziecka rozszerzył przyjazny uśmiech: — Aj, kłó to, człowieku, nie gadaj o tym, człowieku; jak pomoże to pomoże i niech będzie chwała gdzie trzeba! Weź ten mój w butelce i niech tobie będzie na zdrowie. Czekaj! Jeśli chcesz se przysłużyć, to gdzie nie bądź w porcie rozdaj z okazji te karteluski:

Pogrzebał w kupie butów płci różnej i znalazł wizytowe:

*Estanislao Maslo
Zapatero
Reparaciones y areglos
Precios moderados.*

Idź z Bogiem! Módl se i pracuj, człowieku!

Człowiek naciągnął chustkę na twarz i spał z tyłu agraftką. Z miodem i z niedźwiedziem wyszedł przed garaż, gdzie księżyc świecił i zwierzęta cudów na świecie szukały.

— Pracuj i módl się, człowieku!

X.

Zniknięcie Bobusia Sandalskiego z horyzontu i z budowy u Hiszpana, oraz od kilku dni trwająca nieobecność Korybuta Dusznego Strupa — wprowało w zdenerwowanie sztab główny w Kiosku.

Rzeczowy Ambrosio Lipiński widział tylko dwie alternatywy: albo Bobus zrobił „lio”, czyli grandę, i jest w Sekcji czyli policji — albo spotkał Bobusia „akcydent”, w takim razie powinno się go szukać po szpitalach; innych alternatyw Ambrosio nie znał w Punta Chata.

Wiesio imaginator podejrzewał trzecią alternatywę: że Bobusia dosięgła ręka czerwonego terroru, i jego trup leży w morzu; szef Bolesławski jednak, pamiętając o bobusiowej chorobie, skłaniał się ku szpitalowi, który to niepokój podzielała Pani z Kiosku.

Wobec tego Wiesio i Ambrosio, jak dwa gończe, oblatane w terenie — zaczęli po szpitalach ganiać i węszyć.

Ambrosio starał się wyjątkowo, żeby jego w znalezieniu Bobusia była zasługa, ponieważ spotkała go niebylejaka przykrość i wstyd. Tak się miało:

Po uczcie flakowej, o późnej godzinie i na mięciutkich nogach — dobrnęli do jatki ojców Lipińskich syn Ambrosio, szef Bolesławski, Trościa i Adam Gwóźdź (Bobusia, jak wiadomo, nie było), a cięty ojciec Lipiński, wyprostowany jak drut, czekał na nich.

Rzekł: (A gdy ogniomistrz mówił, trzeba słuchać, pijanym będąc, czy nie!).

Rzekł: — Pijaków mam pełno w boliczu! Pijaków nie trzeba mnie w domu! Ani maruderów, co mając uczciwą robotę, do roboty nie idą, tylko się do południa wylegują! Za serce: serce! za gie: gie! Jak rano do trzech doliczę, ani jednego marudera nie chcę widzieć w tym domu!

Pani Lipińska, dusza łomżyńska, podsłuchując, chlipnęła, ale wiedziała, że z ciętym nie ma rady ani sposobu...

Ku jej nazajutrz rozpaczy — syn Ambrosio wziął do serca życzenie ojca i także następnego dnia — razem z obieżyświatami gdzieś na Churro się wyniósł.

Pan Lipiński ogniomistrz, jatki prosperującej właściciel, udał się w niedzielę do Towarzystwa, żeby wyluszczyć słuszne powody swego postępowania. Wyluszczone, tak wyglądały:

— Przyjąłem tych maruderów, jak ojciec. Dałem im pokój frontowy, w domu największy, świeżo odmalowany, sam z żoną przeniosłem się do mniejszego. Powiedziałem im: nic nie potrzebujecie płacić, zjeść też u mnie jest co, bądźcie jak u ojca i u matki. Jak zaczniecie zarabiać, możecie mi płacić 40 pezów, kiedy wiadomo, że za taki pokój każdy jeden z zamkniętymi oczami da 60! Stara nie wiedziała gdzie ich posadzić: a to mleczka, a to kawusi, a to befsztyczka z lomo, a że naleśniki lubili, smażyła im co dzień, jak głupia! Mówię kiedyś temu dryblasowi, co jest u nich za szefa: masz pan chwilkę czasu, narąb pan drzewa. Powiedział: owszem! i sobie poszedł. Przyszedł następnego dnia rano. Sam drzewo porąbałem. Mówię kiedyś drugiemu, temu Adamowi: skocz pan po papierosy do almacenu, bo ja mięso rąbię i ręce mam pomazane. Skoczył — i wrócił w noce! Chwalili się robotą u gazęgi za 5 pezów, a ja patrzę: popracowali dwa dni, trzy dni, a już piątego dnia, patrzę, dwóch z nich o ósmej godzinie rano w betach leży i śpi! Młody Bączek mnie starego podchodził: Panie Lipiński, mnie mówił, oni wiele przecierpieli i krwawo walczyli, trzeba mieć dla nich wyrozumienie! Caracoles! Popatrzcie się na mnie: te szramy na głowie mnie kto zrobił — Pijana kochanka butelką? Nie! Kozak Budienego pod Rajgrodem szabłą chlasnął, do tego byłem jeszcze ranny cztery razy, dwa Krzyże Walecznych nie chwaliłem się nigdy, a mam! Wyrozumienie! Przecierpieli! Popatrzałem się, zastanowiłem się, zasmuciłem się i powiedziałem: won!

Lipiński ojciec uzyskał w kolonii amnestię, ale Lipiński syn wziął na ambit i wyprowadziwszy się na Churro — w odnalezieniu Bobusia szukał rodzinnej rehabilitacji, i ganiał po szpitalach a ganiał.

Tymczasem miało miejsce inne nieprzyjemne zdarzenie.

W porcie stał amerykański MS. Del Santos, a także samo odbywał się mecz bokserski — więc jednego wieczoru było tłoczniej niż zwykle w barze Tango. W Kiosku siedzieli wieczorni rezydenci, Szeff, Gwóźdź i Trościa, którym Pani naprzód przetłumaczyła z gazety wszystkie wiadomości o wojnie, następnie pomartwili się wspólnie o Bobusia, a potem goście siedli na puszki od cukierków i, na inne rozkosze pieniędzy nie mając, grali sobie w zechcyka. Wewnątrz baru, przy stoliku, siedzieli zamożniejsi: Kostek Napierski Mysz i Gruby Lizus Jarząbek, winem uradowani, przy załatwianiu handlowych transakcji. Do Kiosku dochodziły urywki ich kupieckich rozmów, dotyczących Parkerów, Omeg i brazylijskich perfum, w których powtarzały się wyrazy o złych matkach o niefortunnych synach — czego Pani udawał, że nie słyszy.

W momencie, kiedy Szeff Bolesławski spytał, czy wolno zatrzymać wentylator, bo karty fruują — zrobiło się w barze jeszcze głośniejsze.

Awantura odbyła się w takiej kolejności: Norma mulatka skończyła wieczorną pieśń o amorze, za co poklepał ją po tyłku marynarz amerykański, kierując się do polskiego stolika. Do-

pchawszy się — a chłop był pokaźny, nie wiele mniejszy od szefa — rozrzuconym głosem wybulgotał spicz po angielsku.

Tej treści: — *Polish?* Z daleka poznałem, że *polish!* Miałem Polów kamaradów na Michiganie *first class, first class boyów*. Przyszedłem wam tutaj dać *shake hand, shake hand!* Biedna ta *Poland* wasza! Czytałem w *Lifie*, że jest *tragic, tragic!* 200 lat pod *Turkish occupation*, 100 lat *Swedish occupation*, 10 lat *Napoleon's occupation* i później *German occupation*. *Tragic, tragic!* Teraz *bolshevik occupation!* Ale będzie *liberation!* *Shake!*

— Jezus Maria, Lizus, lej go w mordę!

Mówiąc „lej”, Kostek sam przywalił. W brzuch strzelił z obu pięści, raz, dwa! Podskoczywszy: pod brodę, raz dwa! I w nos! Strzelał z obu pięści, jak sprzężony karabin maszynowy z dwóch łuf.

Przyjaźnie usposobiony marynarz cofnął się rakiem pod barowy kontuar, tam rozkrzyżował się i utkwiał.

(Trzeba wiedzieć, że mały Napierski Mysz w meczach barowych był straszny; sława jego szybkich pięści sięgała ponoć do Hong-Kongu; lubił bić i umiał bić i w barze zawsze mierzył siły na zamiary, a nie zamiar według sił).

Nie wiedzieli o tym dwaj towarzysze sponiewieranego, którzy opuścili panięską kompanię i doskoczyli, żeby pomścić. Kostek uderzył na nich piorunem wręcz; tuż za nim Lizus Jarząbek, nabrzmiały winną czerwienią, przymierzał się uderzyć bykiem, którą to sztukę posiadał w służbie wartowniczej w Niemczech.

Walka może toczyłaby się tym razem dłużej, jako że trzech na dwóch, gdyby nie ruszyli do boju obecni, a tutaj rodzeni, „krijoże”, którzy o dziwo! nie poculi się do wspólnoty pan-amerykańskiej i opowiedzieli się przeciw Amerykanom. Zakłócało się, zaszamotało się — i popatrzywszy się — już nie było ani jednego „boya” w barze!

W międzyczasie Pani błagała w Kiosku:

— Nie idźcie tam! Wy nie macie prawa pobytu! Wam nie wolno się bić! Idźcie na Ramblę szybko, szybko!

Oni oczywiście rwali się swoich ratować, ale nim się wyrwali, już był w barze spokój: patron grał na akordeonie, a Norma śpiewała.

Pani poleciła zawołać do okienka obydwóch winowajców. Przyszli, oparli się o ladę i Kostek spytał: — Abo co?

Lizus triumfował: — Pani widziała? Nasza klasa sakramencka?!

Dostał od Pani strony szef Bolesławski, nie golony od czasu jak się przeniósł na Churro, i nagiął się do okienka:

— Z naszymi aliantami tak postępujecie? W których cała nadzieja i od których pod czerwonym terrorem czekają wybawienia? Tak z nimi wyrabiacie?!

Lizus, w nienawiści mając Bolesławskiego, odrzekł lekko: — Mam ich gdzieś! Odsunął go łokciem Kostek Napierski i wetknął myszłą twarz w okienko Kiosku:

— Ja, proszę Pani, z polityką nic nie mam, ale mnie się akurat przypominał ichniejszy ich prezydent, którego widziałem w kinie, jak siedział sobie zadowolony razem z dziewczyną. Akurat mnie się, to kino przypominało, a jak mnie się co przypomni, taką mam wredną naturę, że zaraz lu!

Pani rzekła nie zbyt surowo: — Wstyd robicie temu polskiemu kioskowi...

Ze to — interesy nie cierpiały zwłoki i wino w szklankach czekało — winowajcy pobłażliwie Panią potraktowali i wrócili, skąd przyszedli.

Z powodu, że nie wzięli udziału w walce, i z powodu, że nie obronili jak należy amerykańskiej w zbawienie nadziei — trzej rezydenci zgarnęli karty, pocałowali Panią w rękę, pożyczili pieniądze na drogę i poszli na przystanek autobusu, który woził na Churro.

Dobrze się stało, że poszli, za co im później Pani kazała dziękować Bogu. Bo wkrótce potem, zdarzyło się w barze Tango (bez związku z tym, co się tam działo przed chwilą) „*azana-miento*”, trafunek taki, kiedy policja wpada do pierwszego lepszego baru, blokuje drzwi i szuka noży. Nie chodzi o kontrabandę, ani o dokumenty, nie chodzi skąd i dlaczego ktoś w tym barze, w tym kraju i w tej części świata a nie w innej się znajduje — istotne jest, czy ma nóż, czy też noża przy sobie nie ma. Ręce do góry! Sam sub-komisario z czarnym wąsikiem przejechał się wprawnych rękami po Kostku i nóż mu wyciągnął z kieszeni. — Epa!

Nożyk był nie wielki, krótki, ten sam, który ukradł kiedyś na stacji i którym pomagał sobie ciąć z wierzbowej kory wspominek.

Jak nóż znaleźli i centymetrem go zmierzili — przestępcę musieli wziąć. Wzięli go też zaraz wraz z kilku innymi, którzy także mieli przy sobie noże. Pani to widziała przez okienko, a z dobrej rodziny będąc, wpadła w melancholię. Ale niepotrzebnie, bo patron już grał na akordeonie, a Norma śpiewała. Lizus Jarząbek, który noża przy sobie nie miał, rzekł do Pani:

— Było nie było, nie ma się czego mazgać! Proszę na bok! Spuszczam żelazną kurtynę!

XI.

Następnego dnia od rana zaczęły się dziać cuda najrozmaitsze.

Więc naprzód wpadł do Kiosku Ambrosio Lipiński i zakomunikował z satysfakcją:

— Buskałem i znalazłem! Jest w Mendes. Ogolili go na *cero-pelo*. Mają mu dzisiaj rznąć brzuch!

Pani naturalnie się przejęła i dalej pytać Ambrosia, co Bobusiowi jest! — ale Ambrosio nic więcej nie wiedział, bo co się dowiedział to powiedział i w te pędy przybiegł do Kiosku.

O rannej porze rzadko kto kiedy ze sztabu zaglądał, więc Pani sama podskoczyła do telefonu. Właśnie nakręcała numer, gdy nie żaden klient przeszkodził, ale Chichita.

Ona — od koleżanki dostała wiadomość, iż — jej *novio*, naręczony — Kostito — tej samej narodowości co *Senora del Kiosko* — w tym barze wpadł w ręce policji — ale koleżanka nie wiedziała z Pierwszej Sekcji czy z Centrali była policja, i czy Kostito dał komuś nożem, czy dostał nożem — więc przyszła pytać o detale.

Nieumalowana, wyglądała żółto, sztywne włosy spadały jej na twarz grzywą, oczy miała uprzejme, lecz złe.

Pani ze swej strony zaraz jej współczuła i biednej *novii* dała wszystkie informacje, oraz nadzieję, że w sprawie Kostita i niejakiego Bobusia jest w trakcie telefonowania do kapitana Wupe, który ma korzenie głęboko wpuszczone w grunt.

Stojąc w okienku od ulicy, Chichita naprzód śledziła palec, nakręcający numer, potem chłonęła dźwięki rozmowy, starając się zrozumieć, co może znaczyć przez Seniorę powtarzane: no tak, no tak!

Odłożywszy słuchawkę, Pani pocieszyła: — Kapitan obiecał, że rozejrzy się, zastanowi i wszystko co będzie można, jutro zrobi. To jest bardzo wpływowy i porządny człowiek. Ale na wszelki wypadek zadzwonię jeszcze do Pana Ministra.

Roztropny Ambrosio mruknął po hiszpańsku:

— *Hoy* — dzisiaj — przed południem — a nie jutro — będą mu rznąć brzuch!

Na to Pani z Kiosku, i *novia* przy kioskowym okienku, obydwie naraz dostały skrzydeł. Chichita rzuciła w przelocie: *adiós!* i już leciała do Pierwszej Sekcji, a Pani zawołała do Ambrosia: Ambrosio, lecę do szpitala, zamykaj kiosk!

I — o tej samej porze, w dwóch różnych miejscach, za pośrednictwem dwóch różnych z dziedzictwa i z upodobań dam — zdarzyły się w Punta Chata dwa podobne cudy.

O pierwszym cudzie Bobus brzdąc tego samego jeszcze dnia, wzięty na pytki, zeznał:

— Nic mnie nie było, co mnie miało być?! Z wyjątkiem szramy nad okiem, zdrowy byłem, jak koń. Chciałem zaraz wiać, ale nie mogłem, bo ubranie zabrali, została na mnie tylko jedna bielizna.

— Co ci robili?

— Położyli mnie na sali moczowej, gdzie był smród. W noc szczury wyprawiali dzikie harce. Chciałem koniecznie wiać, ale nie dało rady.

— Dlaczego, Bobusiu, chciałeś wiać?

— Bo oni mnie w kręgosłup wbili igłę i wzięli sok. Później mnie zaczęli walić zastrzyki grubą igłą, więc na sali zemdlałem. A przedwczoraj...

— Co było przedwczoraj, Bobusiu?

— Przedwczoraj naradzała się nade mną komisja i coś widać uradziła, ale nie wiedziałem co. Wkrótce przyszedł do mnie fryzjer i... tego... pod spodem mnie ogolił. Chciałem się z nim rozmówić na migi, na czym to wszystko polega, ale on z tych migów śmiał się...

— I?

— I wczoraj wieczorem, przepraszam że się wyrażę, dali mnie lewatywę, a dzisiaj rano drugą lewatywę. Jeść nic nie dali. Pocieszałem się, trochę, że może mnie wyleczą, ale nie miałem zaufania. Leżałem na łóżku i myślałem, że nikt o mnie nic nie wie i ja o nikim nic nie wiem...

— I co jeszcze myślałeś, Bobusiu?

— Że może wojna już wybuchła, a ja nic nie wiem. Sąsiad pożyczył mnie gazetę, ale ja ani be, ani me. Tak sobie leżę i leżę, i tak sobie niewesoło myślę, że może moja ostatnia godzina wybiła...

— No, no, Bobusiu!

— ...że ostatnia godzina wybiła, aż tu patrzę i oczom nie daję wiary! Tak się ucieszyłem, proszę Pani, że trudno wyrazić! Z daleka poznałem, jak tylko Pani weszła na salę uśmiechnięta, jakaś taka różowa, upudrowana, i przystojna, jak nigdy nie widziałem w Kiosku. Chyba cud, pomyślałem. A jak za Panią przybiegł infermer i jeszcze jeden w fartuchu i jak oni koło Pani skakali — a jak moje ubranie przynieśli, i jak Pani powiedziała: ubieraj się Bobusiu szybko, szybko! — to ja z radości ze skóry wyskoczyłem i dotąd chyba skaczę! Ojej!

Obecny przy indagacji, współtwórca bobusiowego szczęścia, Ambrosio — rzekł na podstawie doświadczenia:

— Jak ogolili, to będzie klucz! *Pajarito!*

Starsi koledzy Bobusia, na spytkach obecni, nuż Bobusia sztorcować: — Czego się szwendasz, smyku, czemu sam łazisz, kiedy wiesz, że cię może chwycić w każdej chwili?! Szkoda, że ci nie obcięli tego i owego! Czemu sam łazisz?

— Czemu? — zastanowił się Bobuś i nieco posmutniał.

Nagle objawił się drugi cud. Wiesio narwany, dla którego zabrakło miejsca w Kiosku, stał na ulicy i stamtąd krzyknął: — *Mira!* Patrzcie, kto idzie!?

Przed Kioskiem defilowała grzywiasta Chichita, a przy niej, pod ramię, jakby na smyczy — aresztant-nożowiec — drobny Chichity *novio* — Kostito!

Ona spojrzała triumfalnie w głąb Kiosku; on spojrzał osowiale w głąb Kiosku — i poszli sobie.

Zaraz poczęto rozprawiać o cudownym zbiegu okoliczności, jedno przez drugie, jako to zwykle w Kiosku. Nim się do syta nagadali, ktoś zasłonił okienko od strony baru.

Znowu nie żaden klient, tylko pan Grzegorz Łuna, po tujejszemu Gregorio Luna, sekretarz związku O. O. — który — pieniądze z dobrego serca na Kiosk pożyczwszy, miał chyba

prawo się dowiedzieć: — Jak się macie, jak się macie, jak wam leci?

Pani odpowiedziała ze smutkiem, że marnie. Czemu wcale się nie dziwił pan Łuna i zaraz pocieszył:

— Ja, kiedy na wojnę jechałem, wszystko na przykład sprzedałem za bezcen i wszystkiego się wyżyłem, niczym Łazarz. Przypuszczalnie dzisiaj przez to żadnego kapitału nie posiadam, ale swoje 11 pezów na dzień wyrobię i przed nikim nie płacę. Tu się na przykład komu pożyczysz, tam popije, co się zarobi, to się i straci. Przypuszczalnie mam rację?

— Racja!

— Ale wstrętne tu ludzie są, z rozmaitych na przykład względów. Gacki mnie nic złego nie zrobił, ani ten Misiak, ale jakim prawem oni śpilecki podtykają, że w tym Kiosku odchodzi jedno wielkie pijaństwo i przypuszczalnie kartograjstwo, że basura z całego świata w tym Kiosku się zbiera i że w takich warunkach kiosk nie ma prawa funkcjonować?! Czy to ich kiosk? Czy oni pieniądze pożyczyli? Nie cholery to są?

— Są.

— A ten Gacki i Misiak i na przykład Lipiński (do Ambrosia: nie marszcz się młody!) i na przykład Lipiński, wszystko przypuszczalnie ludzie zamożne, z domami a niektóre z samochodami — skąd oni bogate? Bo oni w tym czasie się bogacili, gdy my krew przelewali! A może ten Gacki nie był na przykład w wieku poborowym, kiedy my, wyżywszy się wszystkiego, na wojnę jechali? Przypuszczalnie był poborowy! No, ale ja im dopieki na półrocznym zebraniu: Myśmy krew przelewali, a te takie na nas żółć wylewają?! Jakim prawem dezterter Gacki (bo dezterter on dla nas jest, choćby nie 5 a 10 domów posiadał!) — jakim prawem dezterter Gacki się na nas wyraził, że my nie krew, tylko zupełną łyżką w Szkocji przelewali, i że z naszej winy na akademii listopadowej było frakaso, kiedy pierwszego lepszego spytać, zaraz powie, że właśnie z powodu pana Gackiego było frakaso, bo zawiadomień na czas nie rozesłał?!

— Istotnie...

— Splunąć nie warto! Pan Generał Rudnicki, kiedy się żegnał z nami po wojnie, zapowiedział nam: Pamiętajcie, że nie przestajecie być żołnierzami! Przypuszczalnie urlopowanym żołnierzom trzeba będzie wziąć coś twardego i takiemu na przykład, co krwi przelanej nie szanuje, w krzyże dać i po krzyku!

— *Mira!* — wrzasnął przy drugim okienku Wiesio wszedłbylski: — Patrzcie: Fornalski idzie pod pachę z Jarząbkkiem!

Rzucili się patrzeć do okienka: istotnie, szedł marynarz Fornalski z Lizusem Jarząbkkiem.

Nikt nie wrócił uwagi na szefa Bolesławskiego, a szkoda! Gorzko on bowiem przeżuwał niesmaczne przytyki do pijatyk i kartograjstwa, i tylko szukał okazji, żeby się wtrącić.

— Pan łaskawy, w którym roku, jeśli wolno wiedzieć, krew przelewał?

— Jakto w którym? Załadowali my się w maju w 41-ym roku, a wrócili my w roku... zaraz... także w maju, w roku...

— Panie łaskawy! Wolnego z tym krwi przelewaniem! Kto, z czym, do kogo i przy kim?! Ja, panie łaskawy, zacząłem krew przelewać od krwawego września, na ziemi rodzonej, nie na obczyźnie, i mnie nikt żołdu w funtach angielskich nie płacił, na-przód na froncie, a później w lasach w oddziale majora Bobra, nie do roku 45-go, ale do roku 47-go, co znaczy przez 8 lat, panie łaskawy, przez 8 lat! broni nie odkładałem naprzód przeciwko Niemcom, później z drugim naszym śmiertelnym wrogiem, przeciw czerwonemu terrorowi! Nie dalej jak miesiąc temu portret na Dierżyńskim z tu obecnym — jak to pan łaskawy zaznaczył: basurem, Trością i Sandalskim, z dużym ryzykiem własnym utopiłem! Ja was, dalibóg, nie rozumiem, łaskawe panowie! Kto, z czym i do kogo z krwi przelewaniem, ja pana uprzejmie pytam?

Pan Grzegorz Luna, od razu było widać, że się śmiertelnie obraził. Pani chciała zrećnie odwrócić rozmowę i o świeżo narodzone dzieciątko pana Łuny zaczęła ciekawie dopytywać; Wiesio przy drugim okienku, nie wiadomo czemu, z uciechy potupywał.

— Co tam dziecko! — odburknął niekontent pan Luna. — Weź pani lepiej książeczkę i zapisz mi pani z jakie dwa numery na jutro. 52 na kawę...

— 52 na głowę — powtórzyła Pani, zapisując.

— ... i... 25 niech idzie do ośmiu. Zarób pani sobie. Ja nie wróg! Masz pani te 2 pezy! A o te pieniądze, co pani wiesz, gwałtu nie ma, nie martw się pani. Tylko nie dobrze, jak napcha się pani do środka gościów kupa, bo klienci się płoszą. Bądź pani zdrowa! Trzym się, pani!

Na nikogo więcej nie patrząc, ani nie więcej nie mówiąc, odstąpił od okienka śmiertelnie obrażony sekretarz O. O. pan Luna, który — bez bujdy — był zasłużonym żołnierzem i szczerotym rodakiem, tylko że się na nim nie umieli poznać prezes Gacki, ani szef Bolesławski.

Ten ostatni chciał nawet za nim wybiec, żeby na osobności spytać, co miał na myśli mówiąc: „gościów kupa”, ale Pani powiedziała: Panie Janie! więc został.

Jedyny komentarz do zajścia dał Ambrosio roztropny, polskich spraw bardzo ciekawy: — *Seguro*, ja nie rozumiem... Ojciec zawsze o tym, *como es...* o Budiennym i o tej ranie na głowie... Gregorio znowu o innym krwi przelewaniu... a pan Bolesławski znowu... *Seguro*, ja nic nie rozumiem...

Pani go poklepała po ramieniu: — Tu nie ma nic do rozumienia, Ambrosio kochany, wszyscy jesteśmy jak jedna wielka rodzina...

Cudów dnia tego dopełnił cud ostatni. Jak cień z innego świata pojawił się na miejscu opróżnionym przez pana Łunę — istotnie cień — nie do wiary! — Strup Duszny!

Pani do niego z radością: — No, nareszcie, a myśmy się właśnie o pana martwili!..

Inni też do Dusznego pośpieszyli z sympatią: — Co panu było, że pana nie było widać, panie Duszny?

On z przyzwyczajenia ręką osłaniał twarz i jakby w gorączce zagadał do Pani: — Nic, nic... Dobrze wszystko... Później powiem. Proszę mi zapisać: 88 na głowę... a wszystko co da... na 77! — Położył na ladzie 50 centów.

— Panie Duszny, czy panu lepiej, czy panu czego nie trzeba? On porwał kinielową karteczkę i mamrocąc: później, później — jak cień się zjawiwszy, jak cień zniknął w barze.

— Ofiara wojny, kuku na muniu! — pukając się w czoło, wyjaśnił smutnie szef Bolesławski. I poprosił, żeby mu zapisać 513, a on jutro zapłaci.

— Ja ci przypomnę, żebyś zapłacił! — dogryził mu Adam Gwóźdź. — Tylko ciekawe skąd weźmiesz?

Nagle Bobuś zbladł, myśleli że padnie, ale nie o chorobę chodziło, tylko że w wolnym okienku mignęła słomiana Maria Angelica.

Wiesio zniecierpliwiony, który wciąż czatował — przy drugim okienku, kiwnął na Szefa: — Czt, czt, niech pan do mnie wyjdzie, jest coś importnego, panie Bolesławski...

Ambrosio ziewnął. Na dzisiaj — w tym upale — dosyć już chyba wszystkich polskich i krijozowskich cudów! *Buenas noches!*

XII.

W upale — jak się zapowiadało — przyszło Boże Narodzenie. Przed wigilią Kostek Napierski w Książce pobożnie czytał: (Siedząc na moło rybnym i pomachując nogami):

Ryba po żydowsku, sos chrześanowy.

Miał na moło spotkanie z Juliuszem Cezarem w ważnych sprawach, chodziło o grubszy towar, o transport zegarków, nie o żadne sztuki pojedyncze — który transport, jeśli uda się Kostkowi wynieść w czasie Bożego Narodzenia — będzie naprawdę blat!

Na moło rybnym świerszcze gęsto obsiadły cement i po amerykańsku ćwierkały.

Rybę, szczupaka, ogolić, odkroić łeb, ostrożnie odciąć całą skórę, wszystkie mięso odkroić od ości, posiekać i przekręcić...

(Głupia jednakowoż jest wigilia w siarczystym słońcu przy wodzie parującej, skąd portowa droga piesek z dna, hucząc, kulbami wyciąga...).

Cztery bulki namoczyć w mleku, utrzeć na tarce 2 cebule, pietruszkę i pół marchwi, kawałek selera — i wszystko to zmieszać z mięsem, dodać pieprzu, soli i masła surowego...

— A swoją drogą — komu to wszystko się nada, komu ta ryba do szczęścia potrzebna, w tym kraju ciemnoty, gdzie nikt nie rozumie, co dobre? Komu mieszać? Sobie mieszać, siebie samego chwalić, samemu jeść! Albo może czekać na fałszywe zachwyty fałszywych kobiet, które mają w głowie francuskie meble na raty, a nie wigilijną rybę po żydowsku! Ot życie! A tam, wielki pasażer włoski Andrea C., z kominów dymi i do mądrzejszych krajów zaprasza!..

... wszystko razem jeszcze raz posiekać, a jeżeli za twarde, wlać trochę mleka. Tym farszem nadziać skórę, dobrze ją uformować i włożyć na durszlaku do wanienki...

... nadziać skórę, dobrze ją uformować... Na początku rybnego mola nie kto inny tylko Julio César szoruje w pasiastym łazku...

... do wanienki włożyć dużo włoszczyzny pokrajanej w zręczne gwiazdeczki i zalać zimną wodą, aby nie za dużo. Potem nakryć pokrywą i dusić na wolnym ogniu przez godzinę. Rybę podać z sosem chrzanowym (patrz sosy), wybornie smakuje.

— Błat?

— Błat, blat! Ty, czarny (Kostek nauczył się przy Chichicie miejscowym ludziom rzeczy przystępniej klarować) — ty czarny, ile mi za ten cały biznes wyjdzie? Aby nie za mało?

I uważaj, blat, żeby mi dzisiaj — na wigilię — wszystko co się zdarzy — było pokrajane w zręczne gwiazdeczki i żeby wszystko wybornie smakowało! Uważaj, blat!

XIII.

— Nie pójde do Pani, nie pójde do Pani, nie pójde nigdzie — rozkleił się w słońcu przed wigilią Bobuś Sandalski.

— Do Towarzystwa także samo nie pójde — zapowiedział Adam Gwóźdź.

O tęsknotę chodziło. Stara tęsknota, jak zaschła rana — to jedna rzecz — a świeża tęsknota, jak świeża rana, to inna rzecz. Ani tego słowami wytłumaczyć, ani wyjaśnić, żeby się nikt ze starymi ranami nie obraził i nie miał za złe.

Szef Bolesławski poszedł na Wigilię do Pani, ale reszta wolała chodzić po Punta Chata i w sześcioro oczu na obcość się gapić. Było naturalnie o mamie, o narzeczonej cudnej jak śnieg, o choinkach z borów tucholskich i o pierwszej gwiazdce na niebie polskim — nie takim jak tu, co nawet w noc wigilijną upałem bucha i bucha. — Dziwna rzecz — mówił Trościa — przecież tu są także ludzie kochane, a my takie same... — Bo my nie chcemy... — rzekł Gwóźdź. — O, bo my nie możemy!

roztkliwił się Bobuś brzdąc. — Mamusia się mnie w nocy prześniła, jak żywa...

Więc byli w porcie, obejrzeni okręty, posprzeczali się ile który okręt ma ton, i tak łazili sobie we trzech, do portowych nor bez ciekawości zaglądając — i łazili, łazili, o wojnie, która będzie pogadując, i o gwiazdce, która pierwsza się zjawi, że na tym niebie gorącym obrzydliwą się wyda.

— Patrzcie — rzekł Gwóźdź — jak też przykro wygląda Kiosk, kiedy jest zasunięta żelazna kurtyna... — Przykre to jest — zgodził się Trościa. A Bobuś z innych powodów mazgał się im i kaprysił.

W noc wigilijną Pan Bóg dziwniej jeszcze Bobusiowi nadarzył: morską falą o kamień chlupała, pierwszej gwiazdy na bananowym niebie ledwie nie było widać, i już naprawdę nie wiadomo co dalej mieli ze sobą robić — kiedy — nie z baru Tango, lecz z baru Arizona — wyszedł wprost na nich nalany winem Lizus Jarząbek z przyjacielem Fornalskim i z małym kurczęciem u boku, które, jak wiedzieli, nazywało się Ybelyce. Zetknęli się wszyscy razem nos w nos i Jarząbek prosto w Bobusia winem zaleciał: — Te, twojej żółtej pluskwie krew gardłem poszła i zabrało ją stąd przed chwilą Zdrowie Publiczne! *La cucaracha, la cucaracha, ya no puede caminar...*

— Wesółych Świąt wam życzę — nie patrząc w oczy pozdrowił kolega Fornalski, przechodząc mimo, zaś kurczę Ybelyce, przechodząc, wytrzepotała:

— O moja Marija, o moja Angelica, zabrali cię i powieźli! — Do dobrego Pasterza!... O, o, o!..

Okazało się teraz, że Bobuś brzdąc, nie jest żaden bekas, ale mocny chłop! Nic się nie mazgał, ani nie grymasił, tylko zaraz kolegów poprosił, żeby się nie dziwili, nie naśmiewali, on sobie pójdzie i zobaczy, co jest u Dobrego Pasterza...

— Co zaś śpiewał, ten świński ryj? — spytał Trościa.

— Śpiewał, że karaluszek czy też pluskwa nie może już spacerować, bo się jej złamała jedna noga — wyjaśnił Gwóźdź, najbieglejszy w języku hiszpańskim.

Też się wybrał z kolendą, świński ryj! A my teraz we dwóch, co zrobimy ze sobą, co my dalej zrobimy, nie masz jakiej idei, Gwóźdź?

XIV.

Okres między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem obfitował w polskim świecie czateńskim w drobne, ale liczne zdarzenia i perypetie.

Na budowie z całej Dzierżyńskiego piątki pracował jeden już tylko Bobuś (a i ten zwalniał się we czwartki popołudniu, ponieważ miał w tym czasie do załatwienia ważne, prywatne sprawy. Szef, rzadko się teraz golący i dość niechlujnie wyglądający,

bez krawata, zjawiał się w Kiosku już od samego rana, tłumacząc swoją obecność tym, że port każdego marynarza do siebie ciągnie i że tylko w porcie może zaświecić szczęśliwa gwiazda. Później Szeff spotykał się z Trością i razem szli przewąchać, czy gdzie nie istnieje możliwość zamustrowania; później znowu obydwoj przychodzili do Kiosku, aby się uzalić nad życiowym niepowodzeniem i ewentualnie pożyczyć te głupie 24 centy na obiad w komedorze. Szeff i Trościa wynieśli się już byli z Churro, ponieważ stamtąd było daleko do portu, i ulokowali się tanio w samym porcie u jednego polskiego Żyda. Natomiast Adam Gwóźdź i Bobuś wylądowali na sitwy i pozostali razem z Ambrosiem na Churro, skąd jeździli do Towarzystwa, gdzie, jak wiadomo, Adam przygotowywał krakowiaka na bal noworoczny w cztery pary, w skład których wchodził sam Adam Gwóźdź, Ambrosio, młodszy brat Ambrosia: Adolfo, oraz syn jednego komunisty, ale sam brat Boże nie Komunistą Jose Zwierz, a z panien: panna Misiakówna, panna Bolączkówna, panna Rożek i najcudniejsza ze wszystkich panien — seniorita Elena Gacka.

Poza uprawianym ćwiczeniem Adam Gwóźdź również przyjeżdżał do portu i szukał dla siebie szczęścia, na co Szeff przed Panią, się krzywił: — że — ten Adam — od Myszy Napierskiego bierze pończochy i sprzedaje swoim tanecznicom i ich przyjaciółkom — co nie ładnie według Szeffa jest, bo albo się robi coś dla idei, albo zwykły, psiakrew, szaber, szmugiel i kant!

Z tego wszystkiego wynikało jednak — że z Dzierżyńskiego zbiegowie, w dalszym ciągu żyli jakoś na wolności w Punta Chata i z głodu nie umierali; ale też jak Szeff się serdecznie uzalił: co też nasze rodziny o nas w Gdyni pomyślą?! Trości z tych wszystkich kłopotów przybyło na wadze; wszyscy zaś, jak jeden mąż, nie znali się już więcej z kolegą Fornalskim, bo ten jakieś niewyraźne miał chody, na różne tematy kluczył i ciągle łąził ze świńskim ryjem, z tym lewym synem Jarczykiem.

W okresie między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem aktywność wykazywał Wiesio rozplomieniony, który latał licho wie gdzie i z Szeffem miał teraz długie w cztery oczy rozmowy; i właśnie z rozplomienionych wiesiowych oczu najłatwiej było wnioskować, że coś nareszcie z całego gadania, projektowania, latania — krystalizuje się w Punta Chata i z Nowym Rokiem się zdarzy.

Tym bardziej, że akurat obiegła Polonię wiadomość, iż Juan Gacki, niepodległościowy Prezes wielokrotny i katolik twardy jak mur — wysyłając zaproszenia na zabawę sylwestrową — wysłał także zaproszenie do byłego konsula w Antwerpii, który szczęśliwie znalazł wolność w Punta Chata po pięciu latach niewoli w ramach czerwonego terroru. Jedni natychmiast powiedzieli, że bardzo fatalnie zrobił pan Gacki i że nie miał prawa, bo ten konsul nie jest godzien towarzystwa tych, co się jasno od pierwszej chwili opowiedzieli; drudzy mówili, że dobrze zrobił prezes Gacki, bo od polityki jest Kapitan Wupe, a były czer-

wony konsul do polityki się teraz nie miesza, a na kwiatek na pewno da 5 pezów i w bufecie, że to wkupić się zechce, może nawet zostawić co najmniej 20 pezów! O to, czy dobrze prezes Gacki czy źle zrobił, były zajadłe spory, co absorbowało Polonię czas między Świętami a Nowym Rokiem.

W tym samym czasie kioskowy sztab główny przeżywał sensację w innej jeszcze postaci: — Wyobraźcie sobie, ten wariat, to kuku na muniu, strupowaty Korybut Duszny, który postawił na kinieli 50 centów na 88 z redobloną na 77 — wziął i wygrał mało wiele, ale równe 400 pezów!

Coś takiego! — Emocjonował się Szeff i emocjonowali się inni, tym bardziej, że Strup Duszny wcale się nie zgłaszał do Kiosku po wygraną, jakby o wygranej nie wiedział, i równe 400 pezów leżało w szufladzie, skutkiem czego Pani wyrażała obawę, że rozbiją kiedy żelazną kurtynę i skarb ukradną. Owszem, raz przemknął się Strup koło Kiosku i poprzez plecy okazynego klienta rzucił na parapet tuzin karteluszków, ale nie były to jego bohomyzy, tylko bilety wizytowe pana Masły z pana Masły anonsem. Rzucił je ze słowami: — proszę to rozdać! — i natychmiast się zawieruszył; Pani zaledwie zdążyła spostrzec, że był na twarzy bardziej ogorzały i suchy.

W czasie między świętem a świętem doszedł też raz do okienka inny jeszcze osobnik: Kostek Napierski Mysz, żeby się wywnętrzyć na jeden ciekawy temat. (Dziwne zaiste, że nikomu nie przychodziło na myśl, że nie kiosk z papierosami to był, ale biuro wywnętrzań, czy też konfesjonat!...).

Kostek przyszedł z miną tajemniczą i z poranną gazetą, gdzie na ostatniej stronie była fotografia Murzyna z siwym łbem, uśmiechniętego od ucha do ucha. Pani rzuciła okiem i przeczytała pod spodem: „Julio César Pintos, kontrabandzista, schwytany na przemyśle zegarków i papierosów amerykańskich, dzięki zasłudze i czujności inspektora nazwiskiem: HECTOR BULA!

Kostek do fotografii dał taki komentarz: — Mnie się, proszę Pani, zaczyna ten kraj nie podobać. Nie mówię o sobie, bo ja jestem wańka-wstańka, co mnie położy, to wstaje. Murzyna tego ja lubię, i nawet nie wiem czy go nie najbardziej lubię ze wszystkich, nie ubliżając Pani. O co mnie chodzi? Mnie chodzi o to, że ten Murzyn, jak Pani widzi, wsiąkł. Jak Pani widzi, ja nie. W gazecie stoi napisane, kto nam nogę podstawił, celny inspektor jeden, który chciał połowę, a ten Murzyn dał mu tylko jedną czwartą. Wziął ten inspektor jedną czwartą i zaraz nas potem wydał. Mnie o to chodzi, że ja chciałbym dla tego Murzyna jakiego adwokata. Któremu trochę z tego co mam zapłacić, a resztę Murzyn zapłaci, jak wyjdzie. Chciałbym, proszę Pani, dla Murzyna dobrego adwokata. Nie ma Pani pojęcia co to za uciśzny jest Murzyn! Ale jak już zaznaczyłem, mnie kraj z takimi Hektorami zaczyna się nie podobać. Zna Pani jakiego?

— Adwokata?

— Adwokata. Temu inspektorowi, który jest pies na dziewczynki, ja przy pomocy jednej dziewczynki podstawiam dziewczynkę, co jest spec od psikusów. Zobaczymy czyje będzie na wierzchu i co z tego wyjdzie...

Wyszło to, że Pani musiała ugodzić dobrego adwokata Juliuszowi Cezarowi, żeby czarny Juliusz Cezar mógł jak przedtem łowić ryby i zabawiać przyjaciół, którzy z nim razem łowili; co przy pomocy dobrego adwokata, zgodnie z procedurą, jeszcze przed Nowym Rokiem zostało uwieńczone sukcesem.

Z Bobusiem też były w tym czasie w Kiosku drobne przejęcia. Naprzód Bobuś nic nie mówił, potem się wzruszał byle głupstwem, a potem chciał mówić, ale się zaciął. Więc trzeba mu było delikatnie pomagać i przyciskać do muru, żeby spragnione wynurzeń serce bobusiowe mogło się wypowiedzieć.

— Bobusiu, czemu chodzisz, jak zmyty?

— Nie zmyty, proszę Pani, tylko... Ja tu zapoznałem jedną panienkę — jej ojciec był wysokim urzędnikiem w Banku Państwowym, ale umarł. Ona miała strasznie bolesne życie... A jeśli o niej co złego Pani mówili, to nieprawda! Ona nie jest zła, tylko nieszcześliwa. I ona jest teraz bardzo chora. Mnie się czasami aż serce kraje...

— To prawda, Bobusiu, więcej jest na świecie kobiet nieszcześliwych, niż złych...

Bobuś poweselał. — To jest, proszę Pani, absolutna prawda! Dlatego mnie jej żal, że mało kto do niej przychodzi do szpitala, owszem, znajoma tego Kostka czasami przychodzi i już więcej nikt. Więc ja do niej w te dni, kiedy puszczają, w niedziele i czwartki, stale przychodzę. Żeby ją trochę rozweselić, bo ona rzadko wstaje, więcej leży. Wyzdrowieje nie prędkiej, doktor powiedział, niż za jakie sześć miesięcy. A wie Pani, jak ona na mnie woła, kiedy mnie zobaczy?

— Jak, Bobusiu?

— Pucu-Pucu! Bo ja po tutejszemu jeszcze nie bardzo mówię, więc zacząłem ją uczyć po polsku. Strasznie się ona śmiała, kiedy ją uczyłem wierszyka: pucu-pucu, chlastu-chlastu, nie mam rączek jedenastu... Odtąd ona na mnie woła Pucu-Pucu, albo Chlastu-Chlastu... Śmieszne to jest, nie?

Pani śmiała się z tego istotnie, jak szalona:

— A nie zakochaj się tylko Pucu-Pucu, a nie ożeń się nam tylko, Chlastu-Chlastu!...

Uszczęśliwiony Bobuś zwrócił uwagę na swój nowy, amerykański krawat, na którym była duża końska głowa i srebrna podkowa. Przyznał się Pani: — To od niej!

Ha! jak od niej, nie ma co więcej się wdawać, ani od niczego odstręczać! Tym bardziej, że wpadł, jak wicher, Adam Gwóźdź.

— Był tu Strup?

— Nie. Co się stało?

— Wie Pani co on zrobił? Nikt nigdy nie zgadnie. Ale zaraz... Był po swoje 400 pezów?

— Nie.

— No, to jest całkiem fijoł chłop! Ja jego zobaczyłem przy Greku „Arystofanes”, jak on na burcie tego Arystofanesa mazał kredą. Stał przy burcie i kredą na niej malował małpę, jakąś albo niedźwiedzia, bestię na dwóch łapach, a pod spodem napisał kredą wie Pani co?: 88 łamane przez 77! To właśnie, na czym wygrał na kinieli! Świat się kończy, pomyślałem...

— Jezus Maria! — przeraziła się Pani.

— Jak Boga kocham! Chciałem do niego podejść i o leżących pieniądzech objaśnić, ale on jak mnie zobaczył, chodu! Szorował ode mnie, jak motocykiel. Wariata miałem gonić? Tu wpadłem. Szkoda chłop!...

— Oj, panie Adamie, co pan powiedział, to jest okropna rzecz!

— Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że w ostatniej chwili przed ucieczką dopisał on kredą: PPP...

— Gdzie on mieszka, może który z was wie, niech pójdzie do niego i porozmawia?!...

— Gdzie on mieszka? w całej Punta Chata może jedna osoba wie, gdzie Strup mieszka! Ale jeszcze jedno zauważyłem: Na twarzy był on przystojniejszy i nie taki czerwony. Co z tego, kiedy widać strupy z jednej strony mu zlażyły, a z drugiej wylazły. Przykre, ale trzeba nad nim postawić krzyżyk. Tylko co z tymi pieniędzmi będzie?

Bobuś ni w pięć ni w siedemnaście się wtrącił:

— Biedny. On bardzo lubił czarną kawę i mnie kilka razy zaprosił. Mnie jego żal...

Ten Bobuś, ten Bobuś!

XV.

Na Sylwestra w Domu Polskim, w upał piekielny, pot się z człowieka lał — i lał się pot ze wszystkich, którzy tam byli, z ludzi dwustu, z Polaków samych i z kilku czarnych.

Bez mała cała czateńska Polonia zmieściła się w Domu na Sylwestra. Byli z rodzinami w komplecie prezesi i sekretarze, członkowie płacący składki i ze składkami zalegający, państwo różne, które raz na rok na Sylwestra się pokazywało, tak samo biedota z dalekich bariów, która przyszła polskiego słowa posłuchać — i tacy, co się musieli pokazać, i tacy co się chcieli udzielić, i tacy, którzy chcieli w gronie popić, i tacy, którzy mieli ochotę potańczyć, i tacy, którym się zdawało, że jak przyjdą, to sobie zaraz coś dalekiego, kochanego i uciekającego z pamięci przypomną. Był też młodego pokolenia huk, jeśli kto pamięta Różanę i Bielsk — takiego właśnie, któremu normalną koleją rzeczy łatwiej się było porozumiewać po tutejszemu, aniżeli po polsku; która to młodzież, nosiła białoczerwone kokardki, zaś co więksi eleganci polskiego, srebrnego orzelka.

I po to był Sylwester w Domu Polskim — ażeby — mimo nieszczęść tylu prywatnych i wszechświatowych — żywotność mogła bić z patia Domu Polskiego pod niebo, natryskane gwiezdym nasieniem tutejszym...

Zimne piwo gorąc łatwiej pozwalało znieść: chłodziło kiszkę i lubością szczypało serca...

Od piwa był pan Misiak, ten, co dawał 3.50. On to, a nie kto inny, przy bufecie się związał, i nie dla żadnej kariery, ale z patriotycznego podszeptu nalewał, wydawał, kartki stempłował, szklanki mył — i choć dwa domy i samochód posiadał — z zakasanyimi rękawami w pocie czoła piwo nalewał, pianę skrajał i dolewał — na co patrząc — kto się jeszcze ośmielił szczerknąć marne słowo na pana Misiaka?

Marne słowo nie na pana Misiaka, ale na pana Grzegorza Łunę wypowiedziała własna małżonka jego, pani Łunina, w obecności pani Misiakowej z piekła rodem, i prezesowej Gackiej: — Mówięz mu, mówiłam, Grzegorz, pilnuj starszego dziecka, bo dziecko ma 39 stopni gorączki, ja zaś potrzebuję iść na ferie i wcześniej nie wrócę, niż za godzinę. Wracam, kobiety moje kochane, patrzę, chore dziecko przed domem w jednej koszulce nie bawi się na ulicy, a Grzegorz wiecznym piórem smaruje program dla O. O. i nie wie o niczym. Powiadam mu, powiedziałam, jak w mordę ciebie nie trzasnąć, Grzegorz, a on się zasepił, więc, kobiety kochane, go trzasłam, bo abo co?...

Przed północą miało być przedstawienie, co najwyraźniej zaznaczył w rozesłanych na czas zaproszeniach prezes Juan Gacki. Było. Czyściutkie polskie pędraczkę wbiegały jedno po drugim na scenę i — bla, bla, bla! — kto ty jesteś? Polak mały; — przeciuć, żeby jak najprędzej i najładniej — zebranej publiczności blablały. Też i lży zrozumiałe ocierali z oczu dumni rodzice, jak również ci, co dzieci nie mieli, albo je potracili w przeciwnościach życiowych. Odę do Młodości porąbał z uczuciem Władzio Salop. Wreszcie wjechał na scenę gwóźdź programu, krakowiak w strojach narodowych, przez Adama Gwoździa prosto z Gzowa, jak bukiet polskich kwiatów, do Chata przywieziony! Zatrzęsło się, zabrykało, najzgrabniej brykał Ambrosio i brat jego Adolfo, najśliczniej przebiegała nóżkami w czerwonych buciżkach seniorita Elena Gacka. W kółko, na okrętkę, na zabój, jeszcze raz odtanńczyli, rozmiłowana w cudnym widoku publiczność tupiała żeby jeszcze raz — więc tańczyli, w boki się brali, pasiakami migali i tak ślicznie brykali, że aż pani Gacka ręce załamała: A Jezus Ty mój!

Tę ucztę duchową uczuł się zmuszony przerwać z urzędu prezes Gacki w sposób namaszczony i ważny:

— *Pero...* co chciałem powiedzieć?... *pero* bije godzina dwunasta!

Bila godzina dwunasta. Bila na zegarze w Domu Polskim pod obrazami wodzów i mistrzów, i zobaczyli ją, kto chciał, na ręcznych i kieszonkowych zegarkach — a z miasta doszedł alarm

powszechny — i raz, dwa, trzy i dwanaście — nastał w Punta Chata Rok Nowy!...

Natychmiast z urzędu powstał pan Kapitan Wupe i wygłosił treściwe przemówienie, w którym dał wyraz wiary. Po hucznych brawach, pan Misiak znowu zaczął nalewać piwo — i nalewał — aż w końcu zabrakło kufli.

Piwa nie chciał pić, bo nie lubił, inż. Rumak, na patio Domu Polskiego przy stoliku Kapitana Wupe, gdzie rendez-vous naznaczył sobie kwiat inteligencji, i gdzie panie miały ondulację i wieczne rumieńce. Inżynier Rumak, ambitnym działaczem na dużą skalę przed wojną będąc i mały Dom Polski po raz pierwszy z bablającymi pędrakami widząc — trzymał się za głowę jak przy bólu głowy i jęczał tak, że go słyszał Kapitan Wupe: — Za jakie grzechy, za jakie grzechy?!

W tym czasie Wiesio Bączek czał się jak kot i skradał się jak kot od ściany na patio do ściany na sali tańca, i na dół — do ściany w sali bufetowej. Do każdej ze ścian przyklejał się na minutę i patrzył co się dzieje, wszystko co się działo, śledząc bystro.

Więc — z ulgą dla konspirantów — zaraz po godzinie dwunastej, zjawił się jak był powinien na zaproszenie Konsul Antwepski w Fordzie aerodynamicznym, i zaraz prezes Juan Gacki wyleciał mu naprzeciw, i wysadziwszy, prowadził do bufetu, a wtem zabiegły im drogę dwie seniorytki z szarfami na białych bluzkach — biało-amarantową kokardkę antwepskiemu konsulowi wpięły w klapę białej marynarki, a Konsul, zgodnie z przewidywaniami, rzucił na tackę 5 pezów! W podwójnych potem lansadach prowadził go do bufetu Prezes Gacki, co widząc pan Misiak — przestał obcinać piwo, i do trzech kieliszków nalał trzy koniaki.

Wiesio przeżył się pod ścianą w bufecie, gdzie miał teraz najlepszy obserwacyjny punkt artyleryjski. Spostrzegł natychmiast Szefa Bolesławskiego, który do bufetu pruł, jak rozbił do brzegu; a gdy do brzegu przez tłum bufetowy dobrnął — za piwo, za kanię i za grapę się wziął, nie widząc, że łokieć w łokieć stoi przy nim wróg ogniomistrz Lipiński, i łokieć w łokieć wróg Gacki, i wróg Grzegorz Łuna, a największy wróg Konsul Antwepski kieliszek z koniakiem, który nalał wróg Misiak, podnosi do ust i wychyla!

Zaczęli się też wkrótce trącać kieliszkami przy bufecie śmiertelni wrogowie. A że wrogowie byli, wynikała kłótnia taka, że Wiesio zaczął spoglądać spode łba.

Zaczęło się od tego, że pan Misiak mokrą pięścią dał w bufet i zagroził: to jest moja kolejka! Konsul Antwepski, przy bufecie rozczapierzony, mięciutko zaoponował: — Pozwólcie, rodacy, ten drobiazg niech do mnie należy i wszystkie następne temu podobne drobiazgi! — Ktoś z dalszych bufetowych szeregów krzyknął: Wiwat! — Na co, jak na co, ale na to w żadnym wypadku nie mógł się zgodzić szef Bolesławski i usta otworzył (Wiesio na ustach mu zawisł), usta otworzył

i zaprotestował: My, polskie ofiary, też mamy swoją hardość i wiemy co do nas należy; panie Misiak, ja płacę! — Wpadł w złość cięty ogniomistrz Lipiński: — Nie lubię — wykrzywił się — kiedy żaba nogę podstawia, płacę ja, albo płaci Gacki, co będzie sprawiedliwe, według stawu grobla i według materialnej proporcji!

Na tę propozycję zgodził się natychmiast prezes Gacki i: — *Seguro...* — rzekł — bardzo przyjemnie, ja płacę. — I zapłacił.

Konsul Antwerpski wyjął paczkę jasnych papierosów i poczęstował wszystkich obok. Jedni wzięli, drudzy nie, ci co nie wzięli mieli przyzwyczajenie palenia cygarów czarnych. Jednym i drugim pozłacaną zapalniczką Konsul dawał ognia, po ten ogień chylili się jedni i drudzy tak, by zapalniczka z cygarem mogła się spotkać na pół drogi. Ognia odmówił palacz prezes Gacki (Wiesio pod ścianą zaczął się jak kot!), odmówił i wyjaśnił: — Proszę perdona, *pero* odmawiam, bo od sztucznego zapalania tworzy się w gardle rak! *Si!* — I zapalił zapalką.

Znowu rozgorzała między wrogami kłótnia. O głowę wszystkich przerastający szef Bolesławski wzrostu 2 metry, głosem wszystkich pokonał: — Ja nie pozwolę, ja się nigdy nie zgódzę, **teraz ja płacę!**

Za wszystkie czasy odegrał się na Szefie wróg Grzegorz Łuna i dociał zjadliwie: — Twoja, moja — moja, twoja — psia mać! — na przykład napijmy się! — ale nie ty, tylko ja płacę! — I zapłacił.

Wiesiowi zaczął przeszkadzać Adam Gwóźdź, triumfator wieczoru, szturchańcami w bok: — Ty, Wiesiek, pożycz mnie dwa pezy, bo tego...

— *Hola*, Bolesławski!

Przyskoczył Ambrosio Lipiński w sukmanie z wyłogami i do Wiesia po hiszpańsku: Czy ty, *vos*, co z tego rozumiesz, bo ja nie?!

— A ty znowu czego?

Ambrosio rękawem krakowskiej sukmany machnął w stronę, gdzie, jak na komendę, sięgali po pełne kieliszki ojciec Lipiński, Gregorio Łuna i szef Bolesławski w sąsiedztwie antwerpskiego konsula. — *Endonces*, za jaki kartofel ja się męczę na Churro?

— *Andate* — Wiesio się wściekł — idź won, *chancho* *sucio!*

Jak na zawołanie — *vamos!* rzekła do Ambrosia Elena Gacka, blondyneczka z oczkami jak turkusiki i z paciorkami na kontusiku, w tęczowej spódnicy i w czerwonych bucikach — i Ambrosio i Elena, krakowska para urodna, nie won, ale na salę tańca pod rękę poszła, gdzie kłótni w tym momencie nie było, tylko ochota i zabawa, zdrowa na młode lata.

— Czt, czt, Bolesławski! *Hola*, Bolesławski!

Nową przeszkodę w żarliwej obserwacji spowodował gwałcik przy stoliku inteligencji, gdzie inż. Rumak za głośno się

uniósł, mimo że go kap. Wupe mitygował. — Gdyby Gomółka uciekł i był tu też by go koniakiem traktowali i wpieli do klapy kwiatek! — Kapitan Wupe, taktyk, rozsierzonego **umitygował**. Umitygowany inż. Rumak — prawda — rzekł — wszystko psu na budę się nie zda i nie ma żadnego znaczenia, przejmować się nie warto...

Inżynierowa Rumakowa dokończyła za męża chytrym śmieszkim: — Pośmiać się warto...

— Bolesławski! Eeej! Czt, czt, Bolesławski!

Na nic. Miejsce przy Wiesiu zajął zgorzkniały w męczącym życiu ojciec chłopca Salopa tego, co z uczuciem porabiał Odę do Młodości. Przypiął się do Wiesia i wyluszczał: — Wisz ich, koka - kolę i malte piją, bo tańsza i mniej panom pod nosem śmierdzi, niż piwo! A głośno takie! A szydlwe i naśmiewające się! Wisz ich, jeśli na Nowy Rok do chłopów przyszli, dlatego, że od chłopów widocznie potrzebują! *Carramba!* Jakby nie potrzebowali, szliby do kasyna. Peza na skarb, peza na radio, a każdemu oddzielnie potrzebna gwarancja na mieszkanie i może jakie sto pezów na eskriturę! Gdyby nie potrzebowali, nie przyszliby zaś! Zagwarantować mogę tamto owo im gdzieś!

Wiesio tego wyluszczenia nie słuchał, tylko śledził, jak za bufet wstąpił ogniomistrz Lipiński, bo pan Misiak z nalewaniem i obcinaniem sam już nie mógł dać sobie rady. Takie się zrobiło obłożenie bufetu, że tylko ręce było widać, wyciągnięte po piwo i po frankfruty; i tylko głosy było słychać: panie Józef, panie Franciszek, a mnie to nie, a ja to pies?!

Przyklejony do Wiesia i gorzki jak smoła ojciec chłopca Salopa, niezrażony brakiem audytium, wyluszczał: — Gacki, wiesz Gackiego, Misiaka i Gackiego — podmiłają się zdradzonemu konsulowi, bo idiotom się zdaje, he, he! — że jak się podliżą koniakiem z tego powodu dostaną progres klasowy, a ich córeczki będą grabianki, e, e, e! — he, he, he! a coś im gdzieś!

W ciasniejszym bufetowym tłumie nie łatwo było zauważyć pana Masło, choć był. Niziutki, okrągłutki i wesolutki, taczał się między nogami pijących w formie jajka, kogo złapał, chwycił za guzik, w danym wypadku chwycił pana Rożka w trzecim szeregu, który z wywalczoną kielbasą walczył o miejsce do zjedzenia kielbaski — i podetknął panu Rożkowi pod wąs kufel piwa. — Pij!

— Pij — mówił. — Od Turków se zacznij, ale Turki głupie nie będą winowate...

Kiedy polityką zajęchało, ktoś z boku zajęchał: — Nie Turki, ale Makartur wyrznie spode łba i zobaczycie, jak się posypie!

Polityka raz zaczęta, bez niczyjej pomocy nabierała rozpędu: — Makana i tonteryja, czyli głupota jest, bo oni przez biegun północny się zamachną i rypną, oni nie takie głupie!

— Od Turków se zacznij! — wrzaskliwie obstawał przy swoim pan Masło, niezadowolony, że jego prognostyk tonie w powodzi innych tez.

Napodreślił się przypadkiem Bobuś smyk, który ujrawszy pod ścianą zaczajonego Wiesia, chciał się do niego przepchać.

Ale Bobusia chwycił za guzik pan Masło i łatwo nie puszczał: — Człowieku! Nie wierz tamtemu, bo od Turków se zacznij. Powiadam tobie, człowieku, że od Turków se zacznij, ale Turki głupie...

Bobuś brzdąc przeląkł się, szarpnął i odskoczył — nie wiedząc, że pan Masło jest lekarzem na wszystkie choroby i mówił o tym co najważniejsze, w samej rzeczy o wojnie...

— Czt, czt, Bolesławski! Czt, czt — czt, czt!

Wiesio zdesperowany powziął szybką decyzję:

— Bobuś, chodź tu! Jest źle! SzeF pije jak wieprz! Jemu nie wolno się upić, bo jest plan! Uważaj, co tobie powiem, bo nie widzę innego remedia. Jest plan!..

Wiesio miał groźną zmarszczkę na brwiach i usta ściśnięte w kleszcze.

— Ja ciebie wtajemniczam, Bobuś, bo jeśli SzeF zfrakasuje, ty będziesz niezbędny. Bobuś, ja ciebie wtajemniczam!

— Czt, czt, czt! — zaczął na wszelki wypadek bez rezultatu, po czym Bobusia pod ścianą we wszystko szeptem wtajemniczył, a Bobuś, jak to Bobuś, zgodził się natychmiast, sapnąwszy: o jej!

Tymczasem przy bufecie gwar doszedł do zenitu z różnych przyczyn, z pierwszej, że pan Misiak odbił nową beczkę piwa i wkręcił kran, z drugiej, że politycy oblegli pana Konsula i zaczęli mu wiercić dziurę w brzuchu i pan Konsul czuł się skrępowany — z trzeciej, że SzeF Bolesławski postawił nareszcie na swoim i postawił kolejkę — jak również z innych pomniejszych przyczyn...

W zenicie gwaru — SzeF nagle rozgarnął rękami tłum, jak wodę — i w świetnej formie dobił do Wiesia.

— Ty! — warknął ze śmiertelną urazą Wiesio wściekły.

— Ja? Z byka spadłeś? U mnie zabawa zabawą, wstawianie wstawianiem, ale ty się nie bój, ja celu z oczu nie tracę, nie! A ten smyk co tu robi? — zdziwił się, widząc Bobusia.

— On pojedzie z nami!

— Niech jedzie. Tylko niech nie pada i nie siusia, jak będzie co. A ty, dudku z Punta Czata, myślałeś, że ja robaka zalewałem, a nie! Ja podsłuch oraz wywiad robiłem i już jestem zorientowany w którym miejscu, tu właśnie (SzeF puknął się w czoło) będzie odpowiednie miejsce! A ty szczyłu, jak ty z nami jedziesz, pamiętaj, co Wiesiek ma już w duszy zapisane, że nam twardości, i nic, tylko twardości nam jest dzisiaj potrzeba! Ogólnie chcę powiedzieć, twardość a nie miękkość, kiedy cały świat twarde, my też musimy być twarde, a nie miękkie i jeśli nas rzną, my musimy rznąć nie z żadnej zemsty, ale spekulując na zdrowy chłopski rozum! Rozumiesz, Bobuś, bo jeśli

nie my ich, to oni nas, jak powiedziałem, wyrzną. Co zawsze powiadał śp. major Bóbr, gdyśmy w lasach brodzili. Zrozumiałeś, Bobuś, majora Bobra, czy nie rozumiałeś?

Bobuś Sandalski po raz pierwszy w życiu zapragnął dostać choroby Św. Wita, ale nie dostał. SzeF się streścił: — Skutkiem czego dość tego gadania, mnie coś szeptem, że godzina przypła. Czas!

— Bolesławski, patrz! — Wiesio Bączek, w cieniu obydwóch konspiratorów, podniósł marynarkę i w tylnej kieszeni spodni pokazał kolbę pistoletu, która sterczała.

— Oj, ja nie mogię! Ja piękne! On będzie uczył ojca dzieci robić! — SzeF w śmiechu serdecznym przygarnął ich do siebie rękami. — Mnie?! Bobuś, ty jemu powiedz, co wiesz, jak ja w leśniczówce obera Dickmana z zimną krwią zastrzeliłem, jak psa! — On mnie... — śmiał się SzeF.

— Naprzód, chłopcy! — wziął komendę w swoje ręce Wiesio zdeterminowany. — Przez Dom idziemy powoli, jakby nic.

Weszli na schody, jakby nic — na patio oświetlone tutejszymi gwiazdami, jakby nic, minęli stolik kapitana Wupe, gdzie inż. Rumaka brała w obroty pani Łunina — jakby nic — i szli do żelaznej bramki, jakby nigdy nic...

Dom Polski w Punta Chata huczał za nimi i grzmiał i świecił — życiem takim, na jakie go było stać...

— Biegiem! — ząkomenderował Wiesio wódz.

Wzięli SzeFa pod ręce i biegli wzdłuż kolejowego toru. Zaraz za rogiem stał aerodynamiczny Ford Konsula Antwerp-skiego, przezornie przez wynajętego chłopaka pilnowany, by go kto nie uszkodził, lub nie zanieczyścił z głupiej, politycznej mściwości. Minęli Forda. Zwolnili tempa i Wiesio zapytał:

— Igłę, szmatę i chińską tintę masz?

— Uf!.. Mam.

Po torze przeleciała lokomotywa ze spóźnionym noworocznym alarmem. Skręcili na lepszą ulicę i szli kilka kwader w górę i w dół do przystanku, gdzie szczęśliwie złapali tramwaj. Wsiadli i pojechali, zgodnie z planem. W tramwaju Bobuś nagle sobie przypomniał, że Skarga to straszna, jęk to ostatni, do Ciebie Panie, bije ten głos! SzeF wbił sobie w głowę i podśpiwywał, że Gęsi za wodą, kaczki za wodą, uciekaj Kasiu, bo cię pobodą! Wiesio nic sobie w tramwaju nie przypominał, więc przez całą drogę groźnie milczał.

XVI.

Na pniach drzew Świętej Ryty i drzew rajszych kwitły białe i lilijowe powoje i kwiaty Nocnych Dam.

Granatowe powietrze nocy wisało nad pustkowiem, zbierając się w kropelki na twarzach konspiratorów i na żelaznej balustradzie willi Belvedere...

Szef trzymał się prosto; otarł czoło i oznajmił wiadomość, że zaduch piekielny jest, a od tych kwiatów robi mu się słabo.

— Co tak huczy? — spytał nieśmiało Bobuś brzdąc.

— Żaby z *Parque Atenas*! Bolesławski! Jak było umówione, stań tu! Pamiętaj: jak dziób Forda nakieruje się na entradę a fary pójdą na Belvedere, a on wyjdzie, żeby otworzyć — ty podskoczysz i skoczysz! Wiesz?

— Głupi!.. Myśli, że jak dwa tyki wypilem, to już nie wiem, że się nazywam Bolesławski! Ot tu się przyczajam i wyskakuję. Tu, tu!

— Si! Bobuś, my się przyczajamy z drugiej strony w cieniu drzew, żeby nas gwiazdy nie zdradziły. Niech tylko ten Bolesławski nie zaśnie, *Dios me libre! Chanchó*, wieprz! Słyszysz, rzyga?!

— Nie; kaszle.

Przyczaili się na swoich miejscach, zgodnie z planem. Noc gorąca szemrała, niektóre złote punkciki odczepiały się od nieba i między rajskimi drzewami na kwiatkach powojów siadały, i błysnąwszy, z powrotem odlatywały do nieba. W zechcyka grały świerszcze tropikalne, zech-cyk, zech-cyk, skrzydełkiem o skrzydełko, kto tego słuchał, musiał wątpić, czy co kiedy w życiu jeszcze wygra i gdzie się właściwie znajduje. W nozdrzach dokuczał zapach Szachów Perskich i męczył zapach słodkiego błota, i kto tam wie! — zapach tego, co w upalny Nowy Rok w żaden sposób po naszymu nazwać nie można...

— Wiesio?

— Co?

— To nie są żaby!...

— Co ty gadasz?

— Wiesio! Żaby są inne! Ja znam żaby! One inaczej rechoczą i mnie nie powiesz, że co tak huczy i huczy, to są żaby. Ja żaby pamiętam, słowo daję! Ja ciebie przepraszam, Wiesiu...

— Stul się, Bobuś! Już świeci!

Prawda! Naprzód łuna zaczęła chodzić po niebie, potem blask się skoncentrował na lasku palmowym, potem już nie było wątpliwości, że samochód do Belvederu się zbliża na dużym gazie.

— Czt, czt, Bolesławski!

— Oheej! — odpowiedział czujny głos, zgodnie z planem.

Powychodziły na wierzch kształty w nocy utajone, drzewa nowe, żywopłoty inne, szczegóły nieoczekiwane, wyprowadzone na jasne światło mocą fordowskich latarni. Z piszczeniem opon Ford zwolnił i zawiął półkole; natychmiast znikły żywopłoty i drzewa; Ford stanął: natychmiast wyrosła brama belwederska i sam konsulowy Belweder.

Bobuś szeptał: Aniele Boży, Strózu mój, ty zawsze przy mnie stój, rano, wieczór, we dnie, w nocy...

Dokończył prawie głośno: bądź mi zawsze ku pomocy! — Wiesio wytknął głowę i śledził, czy nikt nie idzie.

Konsul Antwerpski, otworzył drzwiczki i zaczął się gramolić, żeby otworzyć bramę do Belwedera.

Przyszły sekundy kulminacyjne.

Motor warczał, świerszcze nie grały, zapach benzyny zjadał zapach kwiatów.

Plan przewidywał, żeby nie dać Konsulowi wejść w światło latarni, ale przydusić go, zanim się wyłoni na tle bramy. Szef był tak umieszczony, że mu tylko potrzeba było trzech kroków do skoku.

Konsul, jakby znał plan, nie zamknął drzwiczek i zrobił krok jeden i bardzo długo się ciągnący krok drugi.

Wiesio gwizdnął (zagwizdał z emocji fatalnie), na znak, że droga wolna. Co będzie?

Właściwie nic nie było. Nic nie było widać w obliczu jasnego Belwedera. Chrzęścił żwir pod nogami Konsula — nagle przestał chrzęścić, coś jakby ciemniej i gęściej się wydało w cieniu Forda, i w tym samym momencie ktoś tam dostał czkawki i czknął. Ktoś inny westchnął głęboko z głębi serca. Trudno się było zorientować, kto co zrobił, i czy stało się coś, czy nie — i jak zwykle w momentach kulminacyjnych, nie było wiadomo, czy już, czy nie.

Bobuś wpił się palcami w ramię wiesiowe, Wiesio się szarpnął: Puść!

Obok skrzydła Forda beczelnie głośno rozległ się bas Bolesławskiego: — Mam ptaszeczka w garści i nie puszcze ptaszka, nie puszcze, o nie! — I z głębi serca czknął.

Zaraz po momencie kulminacyjnym, zaczęły grać świerszcze i Nocne Damy nasłaly wonie cudne, i natychmiast Wiesio dał susa z kryjówki, a za nim Bobuś, do ptaszka!

Szef Bolesławski wzrostu z metry trzymał Konsula przewieszzonego na łapie, jak gąsiennicę, która udaje martwą, drugą łapę trzymał Konsulowi na ustach w taki sposób, że jeśli o Konsula chodziło, cisza była absolutna. Bobuś się zląkł:

— On nie żyje! Ojej!

Szef trochę popuścił, Konsul zagmierał nóżkami i Szef uspokoił: widzisz, trup wierzga!

— Nie takich ja konsulów — Szef wpadł w zapał oratorski — podcisnąłem na pączki i może teraz głupi Wiesio zrozumie, że ja, to ja! — Czknął. Z Konsulem na ręku dostał repetującą czkawki.

Wiesio znowu objął komendę. — Do wozu go, na tylne *sitio*, na podłogę, chustkę w *bóke* i nogami trzymać, żeby nie wyskoczył. Szybko, szybko!

Wykonano. Konsul ani zipnął, leżał na podłodze swego Forda, a na nim umieścił buciary Szef Bolesławski i ledwie go dotykał noskami Bobuś brzdąc. Wiesio wsunął się za kierownicę i z energią włączył tylny bieg.

Zazgrzytało okropnie, przyroda oniemiała, Ford się wykrocił w tył. Potem do przodu. I poszło — uf! — coraz szybciej, co-

raz dalej, coraz niebezpieczniej, od nocnych Dam i od Belvederu...

Jazda była piekielna; Wiesio gnał jak opętany, że nawet SzeF się zaniepokoił i: — ty — spytał — na wesele się tak spieszysz, czy gdzie? — Po raz pierwszy w nocy *maneuje*, ciekaw jestem jak mi pójdzie! — odpowiedział Wiesio i gnał. Alejki się skończyły, pokazało się pole. Na polu przydrożnym wyrastały kaktusy i agawy, niebezpieczne i ostre. Nagle zakręty pojawiały się bez uprzedzenia, a Wiesio w nie wpadał jak w znaki zapytania. — Śmierci szukasz? — sennie zapytywał SzeF i czekał. Bobuś trzymał nogi w powietrzu i męczył się niewypowiedzianie, bo Konsul pod nogami ani drgnął. W wozie było światło niebieskie, a z pustych okienek wiatr podmuchiwał jednym ciągiem. Bobuś pochylał się i sprawdzał, czy chustka zabardzo Konsula nie dusi, chustkę rozluźnił, po czym Konsul Antwerpski stęknął z ulgą. SzeF rozkielznał się pod szyją, wyciągnął wygodniej na siedzeniu, papierosa z trudem, jakże przeciąg był, zapalił i z papierosem, z którego wiatr ogień wydmychał — jechał; mruczał o majorze Bobrze, co choć świętej pamięci, ze względu na dzisiejszą twardość, powinien być zadowolony! Wiesio, schylony nad kierownicą, w furii radosnej, gnał i gnał. Powietrze poświsływało, kaktusy i zakręty przelatowały. — Udało się! — głośniejsze stwierdził SzeF i czknął dwa razy raz za razem. Wiesio gnał i gnał. — Zobaczcie, czy nikt nas nie goni! — Nikt ich nie gonił. SzeF chciał wyrzucić przez okienko papierosa, ale nie trafił, niedopałek upadł na Konsula, Konsul jęknął, SzeF ziewnął: — spać mnie się chce! — Bobuś gorączkowo zaczął szukać niedopałka, znalazł i wyrzucił. Nagle SzeF się zaniepokoił: — Mam takie wrażenie, że od tej jazdy komuś, z przeproszeniem, rygowiny zbierają się w ryju, nie wiem Konsulowi, czy mnie?!

Tak jak było w barowych naradach ustalone — Wiesio w pewnym miejscu skręcił w bok, na bezdroże, gdzie latarnie Forda rozjaśniły stojące w gronie drzewa eukaliptusowe i dalej morze.

— Stop! — Wiesio zahamował i z zasłużonym triumfem oznajmił: — Was przywiozłem!

— Wiesiu — pokornie poprosił Bobuś — zobacz, czy ptaszek żyje!

Ze swego miejsca Wiesio z pośpiechem wymacał, że ptaszek był spocony, a zatem żył, więc odpowiedział: co nie ma żyć?!

Zgasił latarnie i ciemność zapadła; zgasił motor i cisza zapadła. Ledwie to uczynił, eukaliptusy zaczęły się wyodrębniać na tle gwiazd, bez światła inne, a ciche dotychczas morze zaczęło lizać plażowy brzeg z mlaskaniem i trzepotaniem.

— Chłopcy! — My jego wyjmemy i położymy tu! Raz, dwa, trzy, chłopcy, pod tego eukalipta!

SzeF Bolesławski, można powiedzieć, wbił w siebie ostrogę, jak w konia ambitnej krwi: — Żadne chłopcy, żadne raz, dwa, trzy — ja go sam — ot tak! — raz, dwa, trzy!

Mówiąc to, wysiadł z potknięciem, natomiast nieszczęśliwego więźnia pochwylił sprawnie za brzuch, za nogę, za ucho, trudno było dojrzeć za co, i wyciągnął z samochodu, jak z chlewa. Tak go wyniósł i tak go też niósł za ucho i za nogę na miejsce pod drzewem eukaliptusowym, a doniósłszy, upuścił, komenderując: raz, dwa, trzy!

Konsul jęknął i spoczął. Po tym wysiłku, SzeFowi odbiło się mocno, wypite świństwo gazem wyszło — zatoczył się w odległą stronę, symulując dla niepoznaki: raz, dwa, trzy!

Wiesio był optymistycznie nastrojony co do dalszego ciągu i ufał SzeFowi, że jeśli dotąd nie zawiódł, niechybnie nie zawiędzie dalej. Bobuś pochylił się nad skazańcem i sprawdził, czy pod drzewem eukaliptusowym nie ma jakich bolesnych korzeni i czy tamten sobie wygodnie leży. W tym czasie zdążyły dolecieć na przełaj świerszcze, które przed Belvederem grały w zechcyka, i te same świerszcze grę tutaj kontynuowały. Przyzwyczajwszy się do nocy, morze się widziało, które miało coraz dłuższe języki. Spirytusowym ogniem gwiazd przygrzane olejki eukaliptusowe dymiły zapachem lekarstw dobrych na tropikalne choroby...

— Wiesio, kto? Co to?

— Gdzie?

— Tam... Co na nas mruga!...

— Tam?

— Ojej!

— Bobo! To jest czerwona lampka od tyłu tego Forda, co ją zapomniałem zgasić, ale nic nie szkodzi, bo jej z carretery nie widać! Bobuś, powiedz mnie, czy dobrze się wprawili Fordem kierować na ten dzień? *Fenomeno* było, e?

Dorosły Wiesio, sto razy doroslejszy od Bobusia, planu nie tracił z pamięci i nie czekając odpowiedzi, rzucił rozkaz: — Trzymaj te *linterne* i świeć!

Bobuś posłusznie wziął od Wiesia latarkę i zaświecił. Przełąkł się w tej samej chwili, bo latarka oświeciła pień i zaczęła straszyć... Przykrył ją dłonią i światło przeszło przez palce.

— Nie bój się, Bobuś, zaraz będzie po wszystkim. Tu mnie poświeć...

Wiesio kucnął, obok niego Bobuś przycupnął, a pod nimi leżał zdrętwiały Konsul. — Świeć mnie Bobuś, a ja go zawinę...

Usta Wiesia zwały się w kleszcze, ręce Bobusia drżały, kiedy świecił. W planie było przewidziane, że Wiesio będzie w posiadaniu sznurka, toteż go posiadał. Konsula Antwerpskiego sznurkiem obwijał i zawiązywał gęsto i raz przy razie, ale nie zaciskał; nie trzeba było zaciskać, bo Konsul dawał się zawiązać jak dziecko i tylko sarkał.

— Gdzie jest SzeF?

— On zaraz na pewno przyjdzie... on pewnie musiał pójść za własną potrzebą... On zaraz tu będzie, Wiesiu.

— Bobuś, ja tobie mówię, że czas ucieka. Czt, czt, Bolesławski!

Cisza. Morskie języki pochłapywały i świerszcze dokańczaly partii.

— Bobuś, zdejm palce z *linterny* i świeć!

— Czerwony zdrajco! Mnie słyszysz? — Konsul na znak, że słyszy, sarknął. — Żeby to, co ciebie spotka, nie było nadużyciem przemocy, jest dla ciebie sentencja. Marynarz Sandalski którego rodzinę z czerwonej winy spotkało straszne nieszczęście, przeczyta tobie sentencję! Proszę czytać, panie Sandalski!

Pan Bączek ze sztywnych palców pana Sandalskiego wyjął latarkę i nie zasłaniając palcami zaświecił ostro; jednocześnie panu Sandalskiemu wręczył papier, który wydobył z kieszonki spod serca. — *Adelante*, panie Sandalski!

— Aniele Boży, strózu mój...

— Sandalski!

— Wyrokiem wolnej Rzeczypospolitej, za zdradę i za świństwo...

— Słyszysz? — Konsul spowity sznurkiem zadrżał pod pniem na znak, że słyszy. ...za świństwo, które zrobiłeś w Antwerpii znanym nam marynarzom... — Wiesio, mnie się miga, ja nie widzę!

— Czytaj teraz!

— ... nam marynarzom, Kowalskiemu, Zajlichowi i obecnemu Trości, za które marynarz Zajlich i Kowalski po dziś dzień meki piekielne cierpią...

— Ptak przeleciał z łopotem, a z głębi lasu doszło warczenie grubego zwierza. Też morze chlapnęło blisko...

— Czytaj, Sandalski!

— ... i za świństwo posiadania po tym wszystkim Forda ostatni model i domu, który... jak... na ironię... nazywa się Belweder...

— Słyszysz, czerwony zdrajco?

— ... będziesz...

— Proszę kończyć, panie Sandalski!

— ... będziesz napiętnowany zdrajcą po wieczne czasy na postrach wszystkim innym zdrajcom! — dokończył pan Sandalski zduszonym tchem.

— Słyszałeś sentencję, a zatem wiesz, co ciebie czeka, zdrajco?!

Ostre światło latarki w ostrym skrócie z białego papieru przeszło na białą twarz więźnia.

— Ha!

Pan Bączek odłożył latarkę czołem w mech, który też w małym promieniu rozpromienił się na srebrno. Gdzie indziej była noc. Konsul sarknął. Ktoś gdzieś gadał i zagadało coś w lasu eukaliptusowym, i słyhać było ogólne gadanie i sarkanie.

— Czt, czt, Bolesławski!

Według planu Szeff był teraz konieczny, ale nie nadchodził. Czt, czt — i czt, czt! — nic nie pomagało. Wiesio Chwylił na nowo latarkę i po krzakach i pod pniami błyskał — zabij się! — nie ma Bolesławskiego! Ani pod tym krzakiem, ani

pod tamtym pniem, ani doszedłszy do Forda, nie ma Bolesławskiego ani w Fordzie, ani pod Fordem! — Bobuś! Gdzie się podział wieprz Bolesławski?!

— Gdzie się podział? Ja nie wiem... Może chory jest Szeff? Znaleźli go przecie, bo człowiek takiego wzrostu i miary nie mógł przepaść jak sopel lodu w nagrzanym lesie. Znaleźli go o dobre sto kroków od miejsca wyznaczonego, na suchym mchu, pod białym pniem grubszym niż inne, leżącego na wznak, z gębą otwartą, którą zdawał się podziwiać niebieskie w Ameryce królestwo. Wiesio go zaraz trącił nogą:

— Wstawaj, Bolesławski! Czytanie się odbyło, twoja kolejka! Wstawaj, Szeff!

Co zrobić, kiedy tamten nie wstawał! Wiesio przykucnął i zaczął go tarmosić. Szeff we śnie głębokim tarmoszeniu łagodnie się poddawał i spał. Za nos go w ostateczności Wiesio wziął i pociągnął.

Sójkę w bok dał i w udo z całej siły uszczypnął. Szeff mruczał i dalej cudownie spał.

— Bolesławski! Ja ciebie proszę, Bolesławski!...

— Szeffie! — też zaczął prosić przerażony Bobuś brzdąc. „Bolesławski” ani „Szeffie”! nie pomagało, Szeff spał.

Wiesio zerwał się, bliski szału: — Bobuś, tamten czeka na wyrok, a ten śpi! Widzisz, już się na niebie wybiela! Tego wieprza nikt nie obudził! *Dios me libre!* Musimy się spieszyć, jeśli za samochodowych ładronów nie chcemy być! Bobusiu kochany! Ja tobie poświęcę, a ty jemu zrób!

— Mamusiu, ojej!

— Bobuś! Sentencja musi być dokonana! Przecież jesteś marynarz, wiesz jak, igła i tinta jest przy Szeffie, ja tobie poświęcę, ty jemu nakłujesz słowo przez szmatkę i tintą napuścisz. On związany! On ci nic nie robi! Bobuś, jakby co, ja ciebie obronię!

Wiesio błagał. Kopiąc od czasu do czasu, bez wielkiej nadziei, szefa Bolesławskiego, zaklinał jak najzarliwiej Bobusia, żeby — po tylu wspaniałych wyczynach, po tylu planach — nie pozwolił na sfrakasowanie wyroku wolności i żeby nakłuił! — Przecież on tam czeka! — rzucił ostatni argument, świecie wierząc, że Konsul związany naprawdę wykonania wyroku niecierpliwie wygląda...

Bobuś ukląkł. — Wiesiu! Jak mamę serdecznie kocham, ja tobie przysięgam, że ja nie umiem nakłuiwać! Ja się nie znam na tatuowaniu!

Rozpacz i jednocześnie tłumiona radość była w głosie kłęzącego Bobusia.

Zaraz morze nadbiegło z językiem mlaszczącym, i zaraz ptak zapowiedział, że nadchodzi godzina świtu.

Wiesio rzekł, więcej do siebie, niż do Bobusia: — Forda się nauczyłem prowadzić, ale tatuować nie! *Dios me libre!* — I po raz ostatni kopnął Bolesławskiego, a ten jęknął: Zo-siuniu!..

— Wiesiu, słyszysz, już nie nie huczy i nie gra, tylko morze się pieni i fale błyszczą...

— Marsz! — krzyknął na cały laszek Wiesio wódcz.

— Wiesiu...

— Marsz! *Adelante!*

— Wiesiu, a Sze? A z biednym ptaszkiem związanym co będzie? Wiesiu, jakto marsz?

Wiesio zrozpaczony uczynił to, czego później żałował: uderzył Bobusia, jakby to był Bolesławski. — *Te digo*, marsz! Chcesz żeby nas jeszcze za samochodowych złodziei za to wszystko złapali, *adelante* ci mówię, marsz!

Pognał Bobusia do Forda. A że naprawdę w jednym miejscu seledynowo się zaczęło robić na niebie i gwiazdy znikły — wsadził go do Forda, motor zapalił, latarnię zaśwycił, bieg jeden, drugi i trzeci włączył i pognał. Bobusiowi się zdawało, że samolot pofrunął, a nie Ford. Nadleciały znajome kaktusy i agawy na białej drodze i znaki zapytania, oznajmiające zakręty, tylko teraz, jak w piśmie hiszpańskim, odwrócone na drugą stronę. W fordowskim świetle niebieskim Bobuś widział usta Wiesia, spięte kleszczami. — Chce nas zabić! — pomyślał Bobuś. Nie przeraził się tym, tylko przeraził się krzyczącą niesprawiedliwością. — Wiesiu!

— Wiesiuniu! Ja tobie daję słowo honoru, że Sze jest dzielny! Ford wziął zakręt na dwóch kołach, że było o włos! Ranne, zielone światło zaczęło się silić z żółtymi latarniami na krętej drodze. Była też już widoczna kępka palm. Bobuś nic więcej nie mówił.

Jeśli nie ma sprawiedliwości, niech się wyłoni śmierć!

Wyłoniła się alejka w okolicy Belvederu, gdzie tej eskapady odbył się początek i finał. Grobowy Wiesio zatrzymał wóz o kwadrę od Belvederu, pogasił wszystko i wysiadł. — *Se acabó*, skończyło się! — Naleciał znajomy zapach słodkiego błota i Nocnych Dam. Wiesio z całej siły kopnął Forda:

— *Que te vayas*, cholera, a la mierda!

XVII.

— Widzi pani — mówił w Kiosku pan Łuna — czy ja się pani naprzykrzam, albo dokuczam? Nie! Ale na przykład taki kapitan Wupe, kiedy w Głosie i w Godzinie dał o Sylwestrze, wymienił ma się rozumieć tego łotra Gackiego i tego Misiaka i wymienił po familii wszystkie małe klejnoty, co wierszyki przepowiedzieli — ale o nas z O. O. najmniejszym słowem nie stwierdził! Kiedy przypuszczałnie my postarali się o *permisso* z Municipio, i my, a na przykład ja, cztery beczki piwa na Sylwestra do bufetu po cenie ulgowej na własny koszt przytaskałem! O nas nic! Czy to nie jest dokuczanie? I do tego jeszcze kapitan — i komu? — swojemu własnemu Związkowi! Jak to

złe ludzie potrafią za podszeptem łotrów robić podłe! Masz pani tutaj przykład namacalny....

Po Sylwestrze w Kiosku zbierały się wszystkie nici i nawijały się wartko, jak na szpulkę.

Pewnego wieczoru zajęła samochodem polska para dyrektorska, Świętemu Antoniemu powodzenie zawdzięczająca, żeby Panią, — która z powodu życiowych trudności w Kiosku sterczała — na duchu podnieść. Na duchu ją podnieśli w oczach barowych panien, robiąc przyjazne w okienku gadu-gadu:

— Słodziutkiej tu musi być duszno, czemu słodziutka kiedy nie wybierze się z nami za miasto na spacer? Prosimy, prosimy... Rumaków więcej nie zaprosimy, po tym brzydkim, co Rumak na Sylwestrze powiedział o mężu, co mi powtórzyła ta kochana Zonia Wupowa. Tyle dobrego im mąż wyświadczył, a oni do grzechu przywodzą, bo się myśli, że nie warto być dobrym! Ale czy wie słodziutka, że Rumak zbłądził się na Sylwestrze, bo podobno głośno powiedział, że ani obchodów, ani w ogóle nic robić nie warto, na co mu powiedziała jedna chłopka, że gdyby Piast tak samo myślał, to by nigdy narodu polskiego nie było! Dobrze powiedziała ta chłopka, prawda, słodziutka? Ale widzę, że bladziutka i mizerniutka jest słodziutka, uszki do góry, przyjedziemy kiedy z mężem i choćby gwałtem wywieziemy na powietrze. Milutko tu u pani w barze i czysciutko... Pa, pa..

Podniósłszy na duchu, para odjechała do centrum, gdyż, prawdę mówiąc, nie bar to był milutki i czysciutki, ale lupanar. *)

Zaczęły się nawijać grubsze nici.

Początek w czas obiadu dał Strup Duszny. Musiał on wypatrzeć moment, kiedy nikogo nie było i doszedł do Pani, kiedy ta, w oczekiwaniu klientów, kładła pasjansa. Ucieszyła się i zawołała: Nareszcie!

Duszny przed okienkiem przestępował z nogi na nogę, nie skrępowany i gładki.

Pani poderwała się do szufladki, gdzie czekało na Strupa równe 400 pezów.

— No, nareszcie, nareszcie, panie Korybucie kochany!

Wcale nie o to Strupowi chodziło. Zawczasu miał widać przygotowany twardy szkopuł, bo sam zaczął:

— W imię Ojca i Syna...

Poprawił się: — Dzień dobry Pani!

— Niech pan wejdzie do środka, pogawędzimy, mam tu niespodziankę dla pana...

— Ja się spieszę...

— Ale na chwilę, panie Korybucie kochany!

— Nie mogę. Mnie zaraz wypada jechać, trąbią na mnie (istotnie syrena okrętowa w tej chwili huczała)... czy można

*) — Ich — mówiła później Pani z Kiosku — ani inż. Rumaka, nie należy powierzchownie sądzić, bo oni, jak my wszyscy, mogą mieć swoje wady, ale raz naprawdę okazali mi serce — przy vermucie i sandwiczach...

powiedzieć po polsku: niedźwiedzim tropem? Na wschód albo na zachód...

— Zaraz, niech pan...

— Trąbią na mnie. Czy Pani kto mówił, że ja na Bugu z Holmana strzelałem, jak nikt? Przepraszam; nie o tym chciałem mówić. Pani myśli, że ja może jestem trynknięty? Ja nie piję, miód teraz jem. Tylko mnie ktoś powiedział, że ja nie jestem chory na pryszczę, tylko na chorobę, co się nazywa kaczę ziele. Stwierdziłem, że nie jest to takie nieprawdopodobne. Od zaraźliwej choroby ludzie uciekają, a kto ma zaraźliwą chorobę, też powinien uciekać. Przyszedłem za wszystko podziękować...

— Panie Duszny, ja panu....

— Jeden moment! I... idealnie mnie się czasami śni i żebym ja ten sen w garść mógł uchwycić, nam wszystkim byłoby bardzo dobrze. Ale nie jest. Co ja mogę na to poradzić? Nic. I... idealnie mnie się wydało, jak tych młodych, co Pani wie, zobaczyłem, ale później trop mnie gdzieś uciekł i mnie się jakoś popsuło. Całkiem słusznie. Moja wina, bo jestem chory. Niech Pani o mnie źle nie myśli, bo ja, wybierając się na polepszenie, jestem niewymownie wdzięczny. Polepszenia też i może szczęścia jakiego życzę... Słusznie... I niech Pani będzie zawsze tak samo dla różnych osobników i... idealnie dobra... W imię Ojca i Syna...

— Panie Korybucie, panie Korybucie, niech pan chwileczkę zaczeka, są dla pana pieniądze od Bóg wie jak długo!..

Pani przeżyła największy dziw swego kioskowego żywota:

— Ja Pani serdecznie dziękuję, ale na komedor mnie dzisiaj nie trzeba, bo trąbią na mnie, poza tym pół butelki miodu mnie jeszcze zostało. Niech Pani na pożegnanie przykrości nie robi. I... ideału nie psuje... Żadnych dwudziestu czterech centów nie potrzebuję. A jabłko — zaśmiał się porozumiewawczo — i tak jest!

Położył na ladzie jabłko.

— Ale, panie Duszny, tu są... ma pan!

— Pani jest i... idealnie dobra, ale ja żadnej potrzeby nie widzę. Rączki całuje. Karteluszek, co dałem, niech Pani rozda, jeśli jeszcze nie rozdane. Ja Pani z podróży przysię na pamiątkę jeden rysunek. Kiosk na nim zrobię, w szponach, a Panią w nich. Niech Pani pamięta o i... ideale!

A że Strup Duszny na zewnątrz stał i żył jak ptak — był wolny jak ptak — więc Pani, kiedy odchodził, nic innego nie mogła zrobić, tylko krzyknąć: Ale tu są pańskie 400 pezów! co nie pomogło, bo Korybut Strup Duszny, jak postanowił, tak od okienka na zawsze odleciał.

Stało się więc, jak niedawno przewidywał Adam Gwóźdz: że nad Strupem i jego fortuną należało postawić krzyżyk.

Łatwiej to było zrobić nad Strupem, niż nad fortuną.

Czas uprzedzając — gdy się o dziwnym zdarzeniu rozeszło, a Pani na oczach ludzkich nieroztropnie przerzucała w palcach

400 pezów — i kiedy zjawili się świadkowie, że Strup się utopił, co w żadnym wypadku nie było prawdą, ponieważ doszła wiadomość, że na wschód czy też na zachód odleciał, zaś Bobuś, Sandalski na polepszenie Dusznego zamówił w Kościele Polskim Mszę Świętą — po tym wszystkim, w miesiąc później — nikt w Punta Chata o Strupie nie pamiętał, ale o jego fortunie tak.

Co to w miesiąc! — W rok jeszcze później w Domu i po domach powtarzano, iż — kłamstwo jest, co ta Kioskowa wymyśliła, podmówionymi świadkami się zastaniając — że te 4 tysiące pezów między polskich biczikomów w porcie rozdzieliła, że temu dała i temu dała — tylko Kioskowa, mając za sobą prawo, nawet guzika nikomu nie dała, nowy kostium i zapyty za te pieniądze sprawiła, a resztę dała na procent, i w nowym kostiumie jak ta chuda indyczka chodzi, co każdy łatwo może na własne oczy sprawdzić. Komuniści przypuszczalnie tę potwarz wymyślili, a głupi im uwierzyli, czemu na przykład pan Grzegorz Łuna nigdy nie dał wiary, to mając tylko na względzie, że biczikomom nie warto dawać, lepiej długi spłacać. Z tych kontraktów i rekontra żadna krzywda nikomu się nie stała i źle by było takie gadanie brać w Punta Chata do serca. Pani długo czekała na rysunek Kiosku uwikłanego w szponach, ale rysunek nie nadszedł; pytała też różnych osób, co malarz mógł mieć na myśli, gdy na kartonikach i burtach okrętowych malował PPP... Istniały domniemania, że Prędzej, Prędzej, Prędzej! albo że Prawda, Prawda, Prawda! albo że Polska, Polska, Polska! były też domysły, że Pilnie Potrzeba Pienędzy... Ta ostatnia wersja zyskała najwięcej zwolenników i tak zostało, z tym, że nie wiadomo po co Pani przepadłego głuptaka ciągle jeszcze przypomina...

Ale to wszystko miały być późniejsze czasy postrupowe. Tymczasem, sylwestrowe nitki różnej grubości w dalszym ciągu nawijały się na Kiosk. Zameldował się Ambrosio Lipiński z głęboko przemyślaną wątpliwością:

— Jeżeli Ojciec i Szeff, Gregorio, a z nim nawet Adam i nawet Trościa, razem na Nowy Rok byli jak *amigowie* — jaką importancję, miało, że ja męczyłem się na Churro? *Ninguna!* Matka się ucieszyła, kiedy wróciłem. Ojciec z dobrym humorem mnie przywitał, co go nie zrozumiałem: Zuch! Co to jest zuch? Wiesio teraz ode mnie ucieka, dlaczego ucieka, jestem ciekawy?!

Ze sztabem głównym najbardziej się poplątało po Sylwestrze. Wprawdzie wkrótce zajął Adam Gwóźdz z przyjemną nowiną, że otrzymał gratulacje od Kapitana Wupe i od Prezesa Gackiego, którego córeczka wywiązała się w stu procentach — ale Adam mało wiedział o Szeffie, o Bączku i o Bobusiu, ci zaś na oczy się nie pokazywali.

Za pośrednictwem (wstyd powiedzieć) Lizusa Jarzabka, Pani naprzód upolowała Bobusia. Lizus przyprowadził Bobusia do Kiosku dosłownie za ucho, wepchnął do środka, powiedział:

siedź! i odszedł, ponieważ go sprawy bobusiowe obchodziły tyle, co za paznokciem.

Pani zaczęła od wstydu:

— To tak, to się zapomina, to się omija, to tak, brzdącu jeden, Pucu-Pucu, Chlastu-Chlastu?!

Więc Bobuś musiał się naprzód przyznać, że jego znajoma w szpitalu Dobrego Pasterza była z nim wczoraj w ogródku szpitalnym na spacerze, a on ją nauczył nowego wierszyka: „Deszczyk sobie pada, do siostrzyczki mówi brat, i tak jej powiada...” — i że chora znajoma ani rusz nie mogła wymówić deszczyk ani siostrzyczka... — Cieszyła się też ona i była zadowolniona...

— Bobusiu!..

Bobuś się przyznał! — Wiesio myśli, że Szeff jest tchórz, ale to jest absolutna nieprawda, bo ja Szeffa znam. Jemu tylko wtenczas zakręciło się w głowie, co nie jego wina, bo sam mnie raz mówił, że jemu klimat tutejszy wybitnie nie służy. Poza tym on bardzo tęskni, co też go osłabia. Na przykład Zosię we śnie wspominał, a ja wiem, że Zosią jest jego ulubiona córeczka, której niesłychanie mu brak. Mnie się zdaje, że Wiesio się nie połapał i dlatego chciał nas zabić. Szeff jest naprawdę klasa. Ja Szeffa znam...

Pani nic nie rozumiała, dalej więc Bobusia maglować, ale tyle tylko się domaglowała, że był pęd, były świerszcze, co nie mogły być świerszcze, i były żaby nie-żaby — Bobuś w zeznaniach robił taki galimatias, że, streściwszy mu nowiny o wojnie, lepiej go było wyprowadzić spać.

Ale i z innych kioskowych źródeł zaczęły napływać wiadomości, od których skóra cierpiała. W pierwszym rzędzie nadeszła fantastyczna wiadomość, że Bogu ducha winnemu Antwerpskiemu Konsulowi jakaś łobuzeria, najprawdopodobniej podbechtana przez inż. Rumaka, w czym kapitan Wupe mógł także maczać palce — w noc sylwestrową wyrzuciła jądra! Co na szczęście z punktu zostało zdementowane przez pana Łunę, który osobiście na przykład ujrzał Konsula w porządku. Ujrzał, nie ujrzał, że to Sekretarz zawsze lubił nadużywać języka, Konsul choć w porządku, mógł pozostawać bez jader! Ledwie, że względu na konfrontację, plotka ta upadła — podgoniła ją w szczegóły obfitsza plotka: że — Antwerpskiego Konsula — zbój Bolesławski wraz z cichą wodą Sandalskim — w nocy napadł i ograł z majątku, ze złotych zębów i Forda. Co też zostało zdementowane przez pana Bołaczkę, który jakoby widział Konsula w Fordzie przed konfiteryją, gryzącego zębami ciastka...

Kto takie głupie plotki puszczał, zachodziło się w głowę, jakoż nie ma dymu bez ognia.

Aż nadeszła ponad wszelkie powątpiewania wiadomość, przez pana Łunę, przez pana Bołaczkę i jeszcze przez dwa tuziny osób potwierdzona, że po Sylwestrze — na białą ścianę Belvedere — ktoś bombę alkitranową przywalił!

Tu już nareszcie wiadomo było o co chodzi. Czarne bomby alkitranowe stanowiły w czasie wojny jedyną broń w Punta Chata przeciwko kolaboratorom, i ponieważ nic innego nie można im było zrobić, przywalało się im na domach znak hańby. Bomby takie wsiąkały czarnymi kleksami w ściany rezydencji i łatwiej było ścianę zburzyć, niż płamę zdrapać lub zmyć; w czasie wojny niektórzy pohańbieni ściany zmieniali, inni, ze względu na koszt, w splamionych ścianach po dziś dzień żyją...

Gdy o czarnej bombie na konsulowym Belvederze potwierdziło się ze wszystkich stron i nie było żadnych zaprzeczeń ani wątpliwości — w Kiosku i poza Kioskiem wiadano, że jeśli o bombę chodzi, jeden mógł być tylko sprawca: amator bomb: Wiesio Bączek!

Pani zapragnęła zobaczyć Wiesia; otóż go zobaczyła, jak szedł sobie ramblą, nie patrząc na Kiosk, z Lizusem Jarząbkim i z Fornalskim, do portu!

Zrobiło się przykro w Kiosku, pasjans nie wychodził, klientów też się nie widziało za 5 centów.

Przyszli szef Bolesławski.

— Oj dobrze, że pan przyszedł! Co się dzieje?

Szeff w stanie rozchętstą poprosił o chwilę rozmowy na osobności. Osobność była w Kiosku sama przez się, więc Szeff zaczął:

— Niech Pani nikomu jeszcze nie mówi, lepiej nie mówić...

— Co?

— Czy można zamknąć wentylator, bo szumi?

— Można...

— Ja przyszedłem, właściwie mówiąc, w sprawie Bączka. Ja nie przeczę, on jest morowy chłopak, jak z czasów Powstania, ale subtelnych rzeczy nie chwyta, bo za młody.

— Nic nie wiem! Wszyscy tyle mówią, wszyscy krzyczą, wszyscy mają pretensje...

— Wolnego. Myślałem, że Pani wie, ale jeżeli nie, to ja od początku. Widać Opatrzność nade mną czuwa, że ja tego konsula, co Pani wie, nie naznaczyłem. Otóż kiedy ja się w lasku znalazłem...

— W jakim lasku, panie Janie, wyście wszyscy po tym Sylwestrze poszaleli?!

— Wolnego. Od początku. Z Wiesiem, o którego mnie właśnie chodzi i z tym smarkaczem Brzdącem zaprosiliśmy Konsula, co Pani wie, na przejażdżkę. Tam ja jego miałem naznaczyć na całe życie sposobem chemicznym. Ale mnie się w lasku od aptecznych zapachów zrobiło niedobrze i na chwilę zemdlełem...

— I?..

— I czułem się fatalnie i tego co się zobowiązałem, nie mogłem wykonać, ponieważ...

— Bo co?

— Żeby Pani Wiesiowi później wytłumaczyła, ponieważ ja z Trością dziś szczęśliwie zamustrowałem!

— Zamustrował pan? Nie może być! Panie Janie!..

— Zaraz. Zobowiązania nie mogłem wykonać, a kiedy wysłem z zemdlenia ani Wiesia ani Bobusia już nie było. Wstałem, przetarłem oczy i znalazłem tego Konsula, który niezręcznie był związany, tylko nie śmiał wstać. On się przeraził, jak mnie zobaczył, ja się przeraziłem, że już rano i że chłopaków ani samochodu ani widu ani słyhu...

— Więc jednak było coś prawdy w tych wszystkich gadaniach...

— Zaraz. Wyjąłem chustkę Konsulowi z ust, chociaż, między nami mówiąc, jednym kichnięciem mógł się tej chustki pozbyć, ale widocznie nie chciał. Jeszcze się miałem dość kiego, więc spytałem Konsula: Co pan tu robi? On się na mnie patrzył i ja się na niego patrzałem...

— Niech się pan poczęstuje papierosem, panie Janie...

— Słownie dziękuję. Mnie ciągle chodzi o tego Wiesia, który jest chłopak, żeby go nawet major Bóbr przyjął. Złapałem go dzisiaj, chciałem mu wszystko objaśnić, ale on do mnie, niech Pani słucha: „Jeśli jedno słowo piśniesz, to ci nóż wsadzę!”. Kto komu wsadzi, sama Pani rozumie, ale mnie się o sens bardzo rozeszło i dlatego proszę, jak mnie nie będzie, żeby Pani jemu wytłumaczyła. A więc...

— Tu są zapałki...

— Słownie dziękuję. — Szef Bolesławski na blaszance od cukierków skurczone nogi pozmieniał, bo mu zdrętwiały. W barze zapalono iluminację i stroił się akordeon.

— A więc... Konsul mnie wyznał ważną tajemnicę, którą, jak mnie już tutaj nie będzie, niech Pani Wieskowi wyzna. Dobrze się bardzo stało, dzięki Opatrzności, że mnie się w porę zrobiło niedobrze i że ja żadnej krzywdy Konsulowi nie zrobiłem!

— Niech pan strząsa popiół na podłogę. I tak tu brudno...

— Powiem pan prywatnie o co chodzi. W lasku raz, zaś drugi raz gdyśmy razem na piechotę do miasta dymali, Konsul mnie zaklął, żeby nie mówić. Oj, proszę Pani, mnie tak serdecznie boli, jeśli kto miał myśleć, że ja jestem na szmela! Wyznał mnie Konsul w sekrecie, że dla Amerykanów niesłychanie ważne tajemnice, dotyczące czerwonego terroru, posiada w opracowaniu, i że gdyby jego miała spotkać jakaś przykrość, niepowetowany cios spotkałby całą cywilizację! Jak Boga jedyne-go, tak mnie powiedział! Sama Pani też mówiła, że na Amerykanów musimy stawiać, jak na Częstochowę!..

— Ja mówiłam?

— Wtedy, jak nasze dwa Amerykańców pobili w barze... W drodze powrotnej Konsul wystąpił do mnie z niewiarygodną propozycją, aż mnie zatkało. — Czy ja — spytał — nie mam życzenia zamustrować na linię amerykańską? Jemu — powiedział — nie sprawi to żadnej trudności. Pomyślałem o Trości i powiedziałem, że nie ma się tutaj co namyślać, ponieważ nasze rodziny wyglądają od nas wsparcia, więc owszem. Przepraszam na chwilę...

Szef rozkręcił nogi spod blaszanki, wyprostował 2 metry i wstąpił na chwilę do baru. Zaraz wrócił do Kiosku.

— Owszem, Konsul dotrzymał słowa. Ja wczoraj zamustrowałem z Trością na Myriam, On na pokład, ja do maszyn, 220 dolarów na miesiąc! Czuć! świt odbijamy. Zanim się będę żegnał, czuję się w obowiązku wytłumaczyć po pierwsze, że dobrze się stało, jak się stało, bo z tego widać, że Konsul ma wielkie chody i nie bujał, wobec czego w Antwerpii uprawiał umyślny kamuflaż, a że niektóre przez to cierpieli, na to nie ma rady. Druga jest rzecz prywatna...

Szef pilnie patrzył na Panią, czy mu w prywatnej rzeczy nie pomoże, ale Pani nie pomagała; obok w barze zwiększał się wieczorny rejwach.

— O chłopca mnie chodzi i chodzi. W baonie byliby z niego dość zadowoleni. Przez skórę mnie coś mówi, że on może się popsuć, jeżeli w czas nie zrozumie. Przez wyjątkowy traf, ja się nie wywiązałem, jak on myślał. W łeb się trzaskam, proszę Pani i pytam się ja swego głupiego łba, jeśliby mnie szkopy, które mnie mieli na widelcu, a potem te drugie, jakby mnie jedne albo drugie zatłukły, to ja bym dzisiaj...

Szef pociągnął papierosa, papieros się nie palił, więc przeprosił na chwilę i zaraz wrócił.

— Ja, proszę Pani, nie chwając się bynajmniej, nie gorszy byłem, niż inne zmarłe kolegi. Miałem coś nie coś czynów udanych, przede wszystkim w leśniczówce i w akcji, co się u nas nazywała „Marta”. Trościa a nawet Bobuś o niektórych wie. Gdybym był zatłuczony, figurowałbym dzisiaj razem z kolegami, za których naród odprawia ze łzami żałobne modły. Ponieważ mnie nie zatłukli — ja znalazłem się w powietrzu, które mnie roztrzęsło nerwy i zrobiłem się, sam to wiem, jakby to powiedzieć, cokolwiek inszy. Oprócz powietrza zawinił tu także syk, jaki się robi, gdy jedno gorące a drugie zimne, albo jedno zimne a drugie gorące na siłę do siebie się zbliży. Syku się tu koło mnie narobiło, co mnie także zagrało na nerwach. Jest dość trudno w nerwowym rozstroju sterczeć z kitą w śmierdzącym lasku, a także w mieście, gdzie rzecz dla mnie niewiarygodna, dwa albo trzy kieliszki marnego trunku z nóg człowieka zbijają! W danym wypadku dzięki Bogu, że się stało, jak się stało bo na dobre wyszło. Ale mnie o chłopaka chodzi, który może miał nie taki, jakiego mu trzeba, egzemplarz. Ja upraszam Panią, żeby ten Wiesiek to wszystko zrozumiał...

— Żeby!...

Szef: — Przepraszam na chwilę...

Wrócił z dwoma kieliszkami w obu rękach. — Jeśli się Pani nie pogniewa, proponuję wypić na pożegnanie...

Wypili na pożegnanie. Jako że było ostatni raz, Szef zamyślony Panią rzewnie przeprosił za nieogolenie swoje, za rozchętanie, jak również za pijaństwo, za kartografstwo, za przechwalstwo, za pożyczanie, za dokuczanie, za złe humory, za cudze piórka i za to, że po odjeździe przyjaciela — Pani prędzej

wstydzającymi się oczami będzie musiała za niego świecić, niż zadowolonymi. Czemu tutejszy świat jest winien, bo nie sżykuje, jak lewy but na prawą nogę.

Wzrostu 2 metry Szeł Bolesławski łą zakończył i odmędował się z Kiosku jak należy — w przeciwnieństwie do marynarza Tróści, który, niewdzięcznik! prawdopodobnie z braku czasu nie pokazał się przed odjazdem w Kiosku.

XVIII.

Po odjeździe „Myriam” klimat w Punta Chata nagle się ostudził. Przyszły wiatry z południa, zatem chłodne, i nawetnice z piorunami w czasie chłodu, wbrew naturze.

W wieczory burzliwe — Gruby Lizus Jarzabek wcześniej zapuszczał w Kiosku żelazną kurtynę i wypychał Panią wbrew woli do autobusu.

Z całej piątki z „SS. Feliks Dzierżyński” zostały dwa samotne palce: marynarz Bobuś i marynarz Fornalski; albowiem w kilka dni po „Myriam”, innym sposobem i gdzie indziej, zamustrował Adam Gwóźdz.

Wraz z nadejściem dni przewiewnych, w kolonii czateńskiej nie dziwono się zbytnio tym odjazdom, bo rozumiano, że tak powinno być i lepiej dla tamtych, przestaną się w porcie włóczyć i smród, jak te kukaracze i wstyd dla polskości koło siebie robić. Żałowali ich niektórzy ot choćby Juan Gacki, który — *claro* — mówił — Elena z Adamem w tańcu pareha była jak w cinie, *pero* co robić, płakać nie będę, *no aj kasol*! Pan Misiak napomknął w tym sensie, że on od początku wiedział, iż 3,50 było dla nich aż nadto, co na jego wyszło; zaś ojciec Lipiński, iż mogli oni przynajmniej wstąpić i Bóg zapłać powiedzieć dla starej, która pchała w nich naleśniki przez miesiąc z czubem. Na ogół odjazd przyjęto z milczącą pobłażliwością; co z oczu schodzi, nie trzyma się na językach w Punta Chata...

Skutkiem letnich upałów nastąpiła w barze Tango częścowa zmiana żeńskiego personelu, jedne znajome „milongi” znikły, drugie się pojawiły, Norma mulatka z powodu obrazy już nie śpiewała, skutkiem czego w Arizonie mówiono, że Tango jest o krok od bankructwa.

Po rozpadnięciu się sztabu głównego, zaczął bywać w Kiosku marynarz, którego nazywano Turysta i dwóch młodzików, niejasnych trochę, bo mówili, że zieloną granicę przeszli w puszczę, rzekę łódką przepłynęli, do oazy wolności dotarli i w ten sposób trafili do Kiosku. Jeden był z Wilna, drugi z Tczewa.

Ci często przesiadywali, tego i owego potrzebowali, ale się do niczego nie mieszały, więc jakby ich nie było.

Bobuś Sandalski miał rzadką okazję zamustrowania na tankowiec, ale nie chciał z dwójakiego powodu, raz, że miejsce było w maszynach a on był z pokładu, dwa, że jego znajoma

weszła w okres krytyczny i miało się dopiero okazać, czy będzie zdrowa za miesiąc, czy też dopiero za dwa lata. Wobec tego — na co Pani także musiała się zgodzić — wypadało Bobusiowi jeszcze trochę zaczekać. Jeden jedyny Bobuś, przecierpiawszy rozstania, cęgly u gażęgi bez żadnej przerwy taskał.

Kostek Napierski Mysz wstąpił raz do Kiosku ze słojem. Słój był wypchany srebrem w płynie, ziarnkami i liściem — na pierwszy rzut oka można rozpoznać, że w słoju były śledzie marynowane.

— To dla Pani!

— Śledzie! Skąd taki królewski prezent, panie Kostku?

Prezenty były po to, aby za nie, jako że nic darmo na świecie, zyskiwać logiczne prawo do wynurzeń, wylewających się od czasu do czasu z najbardziej zahartowanego serca.

— Zbrzydziłem sobie — mówił wkupiony słojem Kostek — cały kram, mam zaś takie podniebienie, że jak mnie raz coś obrzydliwe się zrobi, nigdy więcej do ust nie podejmę. Nie o śledziach mówię, ale o tej, którą Pani widziała w barze.

— O tej miłej panience, która pana wyciągnęła z Pierwszej Sekcji, panie Kostku?

— O tej. Nie co innego, tylko Sekcja stała się dla mnie grobem. Bo głupia nie wie, że ja nie z takich krat się wywijam i tyle mnie ta kobieta pomogła, co pcha! Wytlumacz to jej! Kiedy ona mniema, że bez niej zgniłbym na zgniłej słomie w Punta Chata. Ja!!!

— Ale...

— Nie ma nawet jednego ale! Dobrze! Mieszkanie w odległej dzielnicy, gdzie jej nikt nie zna, podnajęła, z prysznicem, francuskie meble wzięła na raty, zenić się ze mną chce — dobrze! jej prawo! — ale dlaczego jej padło na mózg, że zenić się ze mną ma w ten, *enseguida*, *enseguida*, piątek?! Welon przymierza, mnie się każe cieszyć, że jej do samych pięt sięga! Śmieję się, pajacul..

— Biedna Chichita, mnie się podobały jej oczy...

— Oczywiście! Zaszedłem ja, niespodzianie w porze obiadowej, gdy myślała że nie przyjdę — ja zaś dobrze pamiętam, że na prymusie miał stać rondel z kapustą palce lizać — i co widzę? Pełen rondel jest pod ścianą, a ta głupia stoi nad płomieniem i wyskwiercza na nim czuraski! Wściekłość mnie ogarnęła, kapusta była na kacze, głupia zawstydzila się jak mnie zobaczyła, ale co z tego...

Wszedł Bobuś Sandalski, zawsze wierny Kioskowi i oznajmił, że złapał Wiesia, ale Wiesio powiedział, że dzisiaj nie ma czasu.

Wiedząc z doświadczenia, że Pani pod żadnym pozorem gościa nie usunie, choć czasami warto było — Kostek proponował, żeby się przenieść do stolika wewnątrz baru, gdzie siedzieć wygodniej, a przez ten czas niech Bobuś handluje.

Gdy Bobuś zapalił się do handlowania, zobowiązanej słojem Pani wypadało się zgodzić i zająć miejsce przy stoliku, przy którym miały zwyczaj siadać panny.

Ugrzeczniiony Kostek zamówił dwa trunki i kawę.

Siedzieli na linii spornej kolorowych świateł. Kostek był czerwony, a Pani zielona. Akordeon rozpoczął arię, zamiast Normy śpiewał Włoch artysta.

— Tutaj — rzekł Kostek — możemy spokojnie i jak się należy obgadać. Oprócz słoika śledzi, mam jeszcze dla Pani drugiego prezent. Zatem stanęliśmy na czuraskach... Wbijaj tu człowieku kulturę w głupi mózg, ledwie głowę odwrócisz, barbarzyństwo w całej dzikości nawraca, jak ta hydra. Wstrętem mnie to przejęło, i w tym samym momencie zapadła moja ostateczna decyzja.

— Jaka?

— Jechać!

— Pan też? Dokąd?

— Bez znaczenia. Widzi Pani, człowiek czasami taki smutny chodzi, do nikogo gęby ze szczerością nie można otworzyć, bo nikt nie rozumie — a jak przez dzień i przez noc, i znowu przez dzień i przez noc chodzą myśli po głowie, czasami człowiek chciałby, żeby drugi człowiek zrozumiał. Mam rację?

— Co, Panie Kostku?

— Nic. Ja nie jestem bardzo inteligentny, skąd ja? Raz gościów zaprosiłem na flaki, żeby się porozumieć, ale goście wzięli za złe, że ja bez żadnej zlej myśli naszą kulinarną, która jest ponad wszystko znana na świecie, przyrównałem do konstytucji. Z lekka byłem pod gazem, samo się oczywiście rozumie. Nie znam dokładnie ani jednej konstytucji, ale zawsze sobie mówiłem, niech każdy pilnuje swego deku. Ten na górnym deku, ten na dolnym, gdzie komu wypadnie. Kulturę naszą kochaną ja potrafię rozwozić po świecie w postaci potraw wartościowych, że cudzoziemcom oczy bieleją i nas chwalą. Jeden angielski major Bimisz wpadł w zachwyt przy moich leniwych pierogach i pięknie o Polsce napisał w tygodniku ekonomicznym; jeśli Pani nie wierzy, mam ze sobą! Nie jestem, jak Pani myśli! Mnie nie tylko o wyżerkę, i ciepłe łóżko chodzi! A nieprawda! Mały jestem, bo na kradzionej brukwi nie urosłem, ale znowu nie pętam się po świecie, jak ten głodny pająk. A nie!

— To dobrze wiemy, panie Kostku...

— Ależ Pani bujnela! Kto wie? Mnie nie łatwo zatrajlować, wstyd to nawet słyszeć w Pani ustach! Tego nikt nie wie! Pani, jak słyszałem, zdrową propagandę w Kiosku sieje, ja pochwalam, ale ja na moim deku też co mogę robię podobnie! Na przykład: gdzie się nie znajdę, staram się przykładowo zaznaczyć, że odwieczna kultura nie da się wybić z fasonu dzikości! Moim zdaniem, każdy jeden w swoim zawodzie powinien tak robić. Chciałem im wytłumaczyć podczas flaków, ale gdzie tam! Kto zrozumiał, ten zrozumiał, kto nie, kotwicą mu

do głowy nie wbijesz! Tutejszej mojej *novii*, co mogłem zaszcześcić, zaszczerpiłem, sam diabeł jej więcej nie zaszczerpi! Więc po co ja mam tu dłużej siedzieć? Co mnie wypada zrobić? Logika uczy: dalej jechać!

Pani siedziała zielona, pod gauczem na ścianie rozpamiętany, dość mizerna; pomadkę z ust starła, żeby czatujące w pobliżu panny nie posądzały, iż jakieś wstręty chce im robić.

— Dokąd pan chce jechać, panie Kostku?

— Nie zastanawiałem się; jutro mam zamiar jechać, bo pojutrze jest piątek.

— Ona naprawdę pana kocha, widziałam po jej oczach...

— Znowu po oczach! To żadnego wrażenia na mnie nie robi. Niech się Pani o nią nie martwi, jej się żadna krzywda nie stanie. Niech Pani nawet nie nadużywa wyrażen w naszym ukochanym języku! Logika mnie nauczyła, że w nieszczęśliwym narodowym położeniu zawsze lepiej jest jechać. *Ola, mosso!*

Pani stanowczo oświadczyła, że nie chce więcej trunku, gdyż musi wracać do Kiosku, gdzie z portowym klientem Bobuś kręci się i męczy, co widać.

— Jeszcze chwileczkę, jeszcze odrobineczkę, w życiu się więcej nie zobaczymy... Mam jeszcze drugi prezent, będzie Pani dziękować, zaś świństwa żadnego nie zrobię, niech się Pani nie boi, bo nie zdążę. Chciałbym tylko wytłumaczyć do końca, bo nie lubię gadać do lustra. Dlaczego jechać? Piątek feralny dzień, won z piątkiem, ale są ważne dodatkowe punkty. W rozterce duchowej popchałem się na miasto, chodziłem po mieście i stukałem w palce: jechać, a może nie jechać?! Zawsze wypadało na jechać. Chodząc po jakim bądź mieście, mam obyczaj czytać, co pod oko mnie wpadnie. I czytam ja sobie, proszę Pani, na jednym zakładzie gastronomicznym: *Catedral de los Sandwiches!* Co pani o tym powie?

— Bobuś na mnie kiwa...

— Ostatni raz... Przetłumaczyłem sobie po polsku: Katedra sandwiczów. Jak byk: katedra sandwiczów; Podrzuciło mnie! Tfu! Mnie matka nieboszczka na Syberii napomniała, jak wrócić synku do ojczyzny, uklęknij synku w katedrze i zmów Zdrowaś Maryja. Niebrydsko matka powiedziała, stąd powstało u mnie uczucie dla wszystkiego, co ma połączenie z katedrą. Tymczasem tutaj: czego katedra? Sandwiczów? W jakiej stronie ja się ulokowałem? Co mnie dobrego może tutaj spotkać? Przypominałem sobie jak na jawie, że komu jak komu, ale mnie nikt nie może zarzucić, że nie mam poszanowania dla potraw. Więc jeszcze na wszelki wypadek wstałem do katedry i obstałowałem dwa katedralne sandwische. Pani ciekawa? Wata, proszę Pani! Obsmarowana gnojem! Tfu! Do tego niech Pani doda: ślub ma być w piątek; inspektory Hektory okazały się w tym kraju najzdradliwsze pod słońcem; zrozumienie dla kultury jest pod psem — czym wobec tego taki kraj logicznie jest dla mnie? Słowem nieprzyzwoitym! Wobec tego co mam począć? W palce stukać? Nie! Bez stukania jechać!

— To pani chciałem pierwszy i ostatni raz przedłożyć, żeby się w lustrze głośno samemu sprawdzić — a teraz niech Pani idzie do swego Bobusia, a ja w okienku dam, oprócz słoja, drugi prezent, aż Pani oko zbieleje...

Gdy wstali, kolory się zmieniły: Pani była czerwona, a Kostek zielony.

XIX.

Nieskromne sam na sam z Kostkiem Napierskim — Pani odcierpiała na poczekaniu, nie tyle w postaci hańbiących domysłów, ile z powodu, że niezadowolony Patron odstawił akordeon i przypomniał, że się za czynsz kioskowy należy za listopad, grudzień i styczeń.

Po oswobodzeniu Bobusia z mąk, zadawanych przez klienta — zdarzyło się szczęśliwie, że 6 paczek papierosów i 2 tabliczki czekolady sprzedało się jednym ciągiem, wobec czego odżyła nadzieja, że będzie lepiej — co Patron musiał wziąć pod uwagę, chcąc nie chcąc.

Dopiero po tej szczęśliwej pasie, Kostek z ulicy mógł wstać głowę do okienka i wręczyć swój drugi prezent w postaci sekretu.

Zwrócił przedtem uwagę, że Pani ma wziąć papier i ołówek, bo pamięć ludzka jest zawodna, specjalnie po drynku. Gdy stało się według życzenia, podyktował, jak idzie:

— W żadnej Książce — albo śmiejąc się mówię, w żadnej konstytucji — nieznany następujący sekret!: Na podstawie wypróbowanej, własnej, długoletniej praktyki! Proszę pisać!:

*Najstońsze, norweskie, bądź też angielskie śledzie — mo-
czy się nie w naturalnej, ale w solonej wodzie!*

— Zrozumiała Pani? Sekret polega na tym, żeby śledzie kłaść do wody i posolić, a najstońszy śledź w godzinę będzie słonawy, ale nie przeholowany. W Godzinę się robi, co starym sposobem wymaga całej doby! W słoju będzie Pani miała autentyczny przykład. Cud natury polega na tym, że słoność się słonością wyciska! Normalnie sekretu tego nikomu nie powierzam, ponieważ kosztował mnie dużo nerwów i zdrowia. Zapisała Pani? Dobrze. Co więcej? Mało mówić, smacznie jadać, z podziękowaniem za Murzyna baj, baj, czau, czau! Moje uszanowanie Pani!

Bobuś się zmartwił: — Wszyscy odjeżdżają, wszyscy się dokądś spieszą, a ja?..

— A ja? — przerwała Pani, zapominając, że ma do czynienia z Bobusiem brzdącem.

Zaczęli się pocieszać nowinami o wojnie, ale krótko, ponieważ zajrzał zmartwiony Turysta i kręcił się przez pół godziny

przy jednym okienku i przy drugim, zanim wyznał, że mu spuchło, a on w Punta Chata nie zna żadnego adresu, zatem prosi o adres godny zaufania, jeśli można.

Jednak wieczór ten nie miał być wieczorem zgryzot, tylko prezentów; Pani mało się nie posiadła z radości, gdy Gruby Lizus Jarząbek, przed zamknięciem żelaznej kurtyny, przyszedł z małpką.

— Kiki, pocałuj Panią! — Małpka była cudna, maciupienka, szybka, łapczywa, pełna życia — rączki i nosek miała jak u synka. Wnet się ulokowała, gdzie ją namówiono, wczepiła się pyszczkiem i rączkami w wątle łono i szalała ze szczęścia.

— Zwierz jest dla Pani! — Z soczystymi wargami, z twarzą tęgą, — Lizus Jarząbek miał coś więcej na języku do powiedzenia. Że jednak Pani małpką się przejęła, Bobuś przed małpką klęczał, Turysta też do małpki miny robił, językiem po wargach przejechał i nic nie wyznał, a szkoda!

Zaczęła się w barze pijana heca, zagrażająca policją; wobec czego Lizus surowo przypilnował, żeby przed czasem została zapuszczona żelazna kurtyna.

Ze słojem śledziowym, z sekretem na papierku i z Kiki na łonie — Pani — za radą Bobusia — zysk z czekolady i z papierosów zużyła w ten sposób, że wsiadła nie do autobusu, lecz do taksówki.

XX.

Nazajutrz, w czwartek przed piątkiem, był dzień jak marenie, w sam raz, chmurki się głaskały po niebie, i przez nie, a nie wprost, lał się do wody potok gorąca.

Na molo rybnym zgromadzenie rybaków i rybaczek było w świetnych humorach, bo w taką pogodę, jak dzisiaj, ryby łowiły się ręką, na szpilki od włosów i na agrałki. Na zielonych kamieniach dwóch sąsiadujących i wodą od czasu do czasu oplukiwanych — rozkosz odprawiał Kostek Mysz z przyjacielem Lizusem Jarząbkiem, nie łowiąc, ale śledząc szczęście innych. Zdjęli buty, nogi moczyli, koszule porozpinali i też się pławili w powszechnym szczęściu. Na trzecim suchym kamieniu leżała Książka, zawinięta w gazetę i w ręcznik, razem z dziwną butelką, szyja tej butelki była krzywa i lakiem opieczetowana, zaś czytało się na niej „Barbarroja”, czyli Ruda Broda.

Na dziwną butelkę Mysz i Jarząbek spoglądali dość często, ale jej nie tykali, hamując się wobec czekających ich zadań przed zawczesną poządlwością.

(Warto jednak było ostrzyć apetyt, bo w butelce był rarytas, jakiego za 20 pezów nie kupisz, mianowicie stary koniak hiszpański, który Chichita trzymała na wesele, wyznaczone na piątek).

W międzyczasie Kostek nauczał mało ciekawego Lizusa, która, przez sąsiadów złowiona ryba jest Pejerrey, która Ba-

grey, a która Anchoa; Lizus robił przegląd statków i krytykował.

Bo dla rybaków dobry, dla marynarzy marny był dzień przy kei i na redzie: dwa niepewne Norwegi, koślawy Honduras, chińskie pudło, na Anglika, wiadomo, kapitan był pies, Grek aż tutaj śmierział — co poza tym? Szwed, który swoim zwyczajem zajedzie do Archangielska, więc nie ma głupich, no i Mac Cormack! Tego, jak Kostek zobaczył, poznał, że na nim właśnie z Biję przyjechał do Czata, a że mu szczęścia nie przyniósł, więc niech się wypcha! — A zatem wynika pytanie — czym pojadą?

Chodziło o życiową decyzję, warto się było namyślić — czym pojadą?

— Pii!..

Z wiązką wędek na ramieniu, na umówionym miejscu na molo stał czarny Juliusz Cezar i pochylony ku kamieniom, serdecznie witał blatów.

Kazali mu zejść i obydwaj mieli do Murzyna przemowę, przerywając i pomagając sobie nawzajem w języku hiszpańskim:

— Błat? Błat! Ty co nam winien? Nic! Co ja tobie winien? Nic! Co on tobie winien? Nic! Błat? Błat!

Czarny! Pilnuj się! Adwokata nie trać z oka! Inspektora Hektora bezpotrzebnie nie rozdrażniaj. Uważaj, *negrito!* Chłopiec Wieszo jest dobry chłopiec, buen muczacho — bląt! — nie daj mu zrobić żadnej krzywdy! *Comprendes?* Nie daj, żeby muczacho Wieszo wpadł! Błat? Błat! A teraz uciekaj stąd, nie mamy czasu — *adios, negrito, adios* czarny sympatyku!

Julio César zrozumiał wszystko od a do zet, powtórzył słowo w słowo jak ma być, poklepał odpływających po plecach, oczy obtarł — wędkę na ramię zarzucił i jak mu kazano wdrapał się z kamieni na molo.

— Błat?

— Błat, bląt!

— Pii?

— Pii, pii!

— *Que Dios los ayuda*, rycerscy Polacy!

Nic już nie stało na przeszkodzie, aby z krzywej szyjki odbić łak, tym bardziej, że słoneczny czas na niebie postąpił znacznie. Na dalsze życiowe zapasy czerpali siły z butelki wprost, aż zgodnie doszli do przekonania, że ani jedna łajba w tym dniu fatalnym nie jest godna zaufania.

W obawie możliwej pomyłki, wspólnie przejeżdżali okręty jeden po drugim, i okazało się, iż istotnie żaden zamiarom nie sprzyja, a że mieli w tym względzie doświadczenie, ten temu, a tamten tamtemu, mógł ufać.

Pociągnęli, uważając, aby ciągnąć porównie. Na kamieniach zdarzył się połów obfitszy, na eo Kostek mniej zważał, ponieważ mu świeżał nowy pomysł. Beztroski Lizus ułożył na poczekaniu piosenkę; — że jednego Włocha, wieczorem pod

gazem — miał on nabić w butlę, z Ybelyce razem... — Po tej piosence spowaźniał — bo widzisz, Mysz, tu już wszyscy wiedzą, że ja jestem świnią, migdał i świński ryj; mnie takie gadanie obrzydło, chętnie się znajdę gdzie indziej, gdzie nikt nie będzie wiedział, że jestem świnią, migdał i świński ryj...

Spuścili nogi do wody. — Jaka wiedźma — szedł za swoją myślą Kostek Napierski — nas zacząrowała, że nas tylko po wodzie okrętami goni?! jakby ziemi nie było, ani szyn kolejowych! Głęb Ameryki może pociągnąć nie gorzej, niż woda, którą przewracamy nogami. Łądem możemy zrobić łuk, a potem, Lizus, po miesiącu, albo po dwóch, możemy z głębi Ameryki wysunąć się do jakiego innego, lepszego portu i tam od początku szukać szczęścia?! Co ty na to, Lizus? Jeżeli wszystkie tratwy, jak widzimy, są tutaj fatalne, co nam szkodzi zobaczyć, czy łąd w głębi, dla odmiany, nie kryje w sobie lepszego szczęścia?..

Gruby zgodził się bez sprzeciwu, po zwróceniu uwagi, że Broda się skraca, i pod warunkiem: — Mysz, połącz nacisk, żeby było co doić, bo inaczej zdechniemy z głodu w twoim łuku!

Z zadartej Rudej Brody ściekła ostatnia kropla — Kostek wziął ją za szyjkę, zamachnął się i — *enseguida, enseguida!* — cisnął między pehereje i bagreje, żegnając w ten sposób Punta Chata.

Postanowili czekać zmięzchu, więc zrobili spacer od baru do baru, omijając rozsądnie Arizone i bar Tango. Z ostatniego schroniska wyszli wtedy, gdy był najlepszy wieczorny czas, obaj, jak Bóg przykazał, gotowi na wszystko. Zaszli na tory kolejowe, idące z portu w głąb, i pomagając sobie wzajemnie i zachęcając się podniecającymi słowami — na los szczęścia wybrali pociąg towarowy, z lokomotywą pod parą, który najprawdopodobniej łukiem miał iść w głąb. — Ładuj się! — komenderował Kostek. — Nie tu, logika mnie mówi, że nam wypada ładować się nie na bufory, ale na dach!

Pierwszy podsadził drugiego, drugi pierwszego wciągnął, sprawdzili, czy ręcznika z Książką gdzie nie posieli — i na z lekka łukowatym dachu towarowego wagonu położyli się brzuchami jeden obok drugiego, żeby się podtrzymywać i nie spaść.

— Zatem jedziemy, Lizus ścierwo!

— Na twoją Mysz — jedziemy — w głąb odpowiedzialność...

Leżeli z rozłożonymi rękami na płask i czekali; ponieważ Kostek zawsze wiedział, co z nadarzających się rzeczy wybrać — pociąg szarpnął i ruszył w czarną głąb.

Miły chłodek powiał po plecach. Światła miasta chodziły po nich w postaci sygnałów i reklam. Przelecieli koło Domu Polskiego, nie spostrzegając, bo nocy tej Dom był nieoświetlony i czarny. Gdy przestały chodzić po plecach światła — gwiazdy się wydziwiły nad dachami wagonów i nad nimi, jak oczy amerykańskich zwierząt...

— Nie śpij, Lizus, bo spadniesz!

Jechali w głąb. Trząsł się towarowy wagon, zataczał na zwrotnicach i zakrętach, zaś oni, wszczepieni w dach, mieli wątpliwość, kto jest nie w porządku: niebo czy dach?

— Nie śpij, Lizus, bo spadniesz!

Czasem kołysało gładko, jak na kolanach — wówczas Kostek puszczał luzem Grubego i nadziwić się nie mógł nadlatującym światłom semaforów, które leciały wprost w oczy, jak świetlne pociski w czasie wojny. Tym Kostek się odstrzeliwał: Mamo, Józia ma ocy, Józia mnie ugryzie i skooccy...

— Nie śpij, Lizus, bo spadniesz!

Zaczęło znowu szarpać i groziło niebezpieczeństwo. — Lizus, ściervo, nie śpij, bo spadniesz!

Ścierwo ułożyło się grubym cielskiem na dachu, jak słoni na na wypukłej patelni i tak jechało.

Lizusowi naprawdę, zaczęło zagrażać niebezpieczeństwo, że się zsunie i pograży na wieki w czarną głąb.

Kostek Napierski Mysz postanowił koledze ocalić życie; więc zaczął go cucić, znaczy się walić po mordzie, jak to swe go czasu obiecał.

Bił go po twarzy z tej strony, która ku gwiazdom się miała, a jak niezadowolony Lizus twarz odwracał, bił go z drugiej strony.

Klaskało na dachu równo, bez złości, w takt kół, do śmiechu księżycy, który na niebo wylazł.

Gruby Lizus pogodnie zgadzał się i poddawał, czując, że tu o życie chodzi. Bez żadnej złej myśli, z prostego instynktu, próbował kopać, ale kopał tam, gdzie zbawcy nie było, w przelatujące powietrze. Bity i bity, w błogim nastroju, spytał: — Za co mnie bijesz?

— Za co ja go biję, on pyta? Za co ja go biję? Z tej strony raz — za pedała! Z tej strony raz — za to żeś palec wtykał! Z tej strony raz — za lizusa! — Leż! nie ruszaj się; — Z tej strony raz i dwa, za to, żeś nie powiedział, iż jesteś Kuśnierz i masz order z łodzi podwodnej! Leż! I raz, i dwa, i trzy, i cztery — za to żeś chichy-śmichy robił jeszcze Polska nie zginęła!.. I raz i dwa i trzy i pięć, licz sobie!

Gruby poddawał się cierpieniu bez protestu, kopał ale nie trafiał, raz tylko przypadkiem trafił.

Kostek ledwie, ledwie, a byłby zleciał pod tym kopnięciem w czarną głąb, więc wpadł we wściekłość:

— Ja ciebie, jak przyjaciel, a ty mnie kopiesz? Ty tak ze mną? — I zaczął go kuć po swojemu.

Wówczas na dachu lecącego wagonu rozegrała się scena bójki bez żartów. Uderzony w czulsze miejsce Lizus Jarząbek dzwignął się na kolana i stanął na czworakach. Kostek Napierski klęczał i łapiąc równowagę na łukowatym dachu, w chwieb, starał się utrzymać i bić. Klęczeli i opadali na czworaki jeden obok drugiego, a gdy złapali równowagę, kuli jedną ręką albo dwoma, zależnie od chwilowego położenia. Czasami, zamiast się wyróżnić, obejmował jeden drugiego, żeby utrzymać

zachwianą równowagę. Objęci przypadkowym uściskiem, mówili sobie straszne słowa. Jednocześnie jeden drugiego ratował przed spadkiem w przelatującą głąb. Szamotali się na klęczkach, jak dwa cienie w świetle gwiazd i księżycy, który po dachach wagonów bezpiecznie chodził. Tak się bili, tak się łomotali, że za szyję się musieli objąć, żeby nie spaść. Będąc w przypadkowym uścisku i szukając podpory — Kostek nagle wybuchnął żalem:

— Za co mnie spychasz, kiedy ja ciebie zawsze lubiłem, Lizus?!

Zdumienie zapanowało na dachu, a właśnie przelatowali przez stację. Dyżurni na peronie spostrzegli, że coś niedobrego dzieje się na środkowym wagonie, dwa cienie przeleciały pod światłem łukowej lampy w wydętych koszulach, sterczące wyżej, niż komin lokomotywy, a niedługo miał być tunel. Gwałtu narobili dyżurni, zmobilizowali wszystkie możliwe środki, żeby pociąg zatrzymać w czas!

A niepotrzebnie! Bo między cieniami robiła się właśnie zgoda i mijało niebezpieczeństwo, cień cienia się pytał: za co ja ciebie spycham? a za co ty mnie spychasz? — i cienie się już nie spychały, bo za co?

Czerwone alarmy robiły swoje, tu błyskało i tam błyskało, w dzikich polach się odezwało, pociąg zaczął pozgrzytywać i zwalniać.

Kostek, alarmowy wyga z czasu wojny, w lot spostrzegł co się święci, wetknął Książkę pod pachę i ocucił Lizusa:

— Zaczęły się łowy na byka! chodu, byku!

Słowo „chodu” lepiej ocuciło Lizusa niż mordobicie; rozejrzał się bystro w położeniu:

— Nie takie nas łapali i nie złapali. Mam ich gdzieś!

Wagony zaczęły bić o siebie bufor w bufor, pociąg stracił pęd — wówczas zsunęły się z dachu dwa cienie, pomagając sobie wzajemnie.

Gruby cień — szczęśliwie dotknąwszy ziemi, mruknął uparcie: — Widzisz, Mysz, miałem rację, jeszcze Polska nie zginęła!..

Pobiegli w łukiem rozpiętą głąb, choć nikt ich nie gonił. Kto ich miał gonić i po co? Oni tego nie wiedzieli, więc uciekali wielkim tchem w przekonaniu, że cały świat się na nich sprzysiągł i o niczym innym nie myśli, tylko o tym, żeby ich zgonić. Ziemi klującej, łukiem rozpiętej, w gwiazdach się majaczącej, tyle przed nimi było — że się zmęczyli i przystanęli na moment.

Książka była gdzie trzeba, pociąg się skończył w głębi, w rozległych agawach sam diabeł nikogo nie znajdzie! — więc Kostek Napierski Mysz odsapnął z ulgą i zagroził koledze:

— Za ostatnie, coś powiedział, mordę ci posiekam na pasztet! — Co później wykonał.

XXI.

Ziemia czateńska ta, jest ziemią piękną, bujną, rodzącą rzeczy wspaniałe i zdumiewająco inne, o której wiadomo, że gdy nasienie maku, czy też gorczycy w niej się zasadzi — słonecznik, albo żużo wyrasta, w lepszej jeszcze będące cenie, niż mak. Ziemia ta — jest ziemią ludzi, zdumiewająco podobnych do innych ludzi, z tym, że co innego ich do życia zachęca i co innego im daje siły do znoszenia trosk, na ziemi tej, jak na ziemi innej — wszystkim ludziom zarówno przeznaczonej. A co ich zachęca i co im siły daje — to ich rzecz!

Ziemia czateńska ta — jest mądra mądrością ptasiego gniazda, uwitego w zmurszałej czasce mądrego człowieka.

Bujna ziemia, łaskawa ziemia, najszcześliwsza ziemia pod słońcem — ze słońcem w spółce, z Panem Bogiem ułożona na spłaty — jeśli komu na niej źle, nie ziemia jest winna, ale człowiek; który mak siejąc, maku się spodziewa, a ziemia po swojemu żużo rodzi, albo *aho...*

Skończył się styczeń i luty, marzec jesienny nadszedł — a wojny w Punta Chata jak nie było, tak nie było...

W wymienionych miesiącach zdarzyły się zmiany, ale tak drobne, że od strony Katedry patrząc, lepiej o nich tylko mimochodem napomknąć.

Na przykład: Pani w Kiosku zaczęło się krajać serce. Co wieczór w barze Tango widziała nieszczęśliwą Chichitę w fontannie leż, upijającą się w niemożliwy sposób, aż dwa razy musiała ją zabrać zaalarmowana przez patrona policja. Chichita broniła się, jak kocica, i to było najgorsze. — *Nunca jamas! jamas nunca!* — Widok wlezionej przez policjanta Chichity mógł rozkroić najtwardsze serce. Tym bardziej, że na zielonym swetrze nosiła ona wpiętego, srebrnego orzelka, prawdziwy wyrzut sumienia dla Pani i dla polskich, kioskowych gości. Po przejściach z policją nie było jej widać przez tydzień, potem przez dwa tygodnie — wróciła wreszcie smutna i łzawa, aż się serce krajało od nowa. Jednego wieczoru przysiadł się do niej marynarz libański i nieco rozruszał. W miesiącu lutym, Chichita — zawsze z orzelkiem na honorowym miejscu — podeszła do okienka z zaprosinami i oświadczeniem:

— Że — nie tylko Polacy istnieją na świecie, Libańczycy również mają prawo do życia, wobec czego na ślub swój uprzedmie zaprasza, który odbędzie się w maju, w kościele libańskim... Tak, tak, tak!

Tak! Jeśli o inne drobne rzeczy chodziło — wesoła małpka Kiki była największą pociechą: pretensji nie miała, nigdzie się nie wybierała i zdrowa była, bo dopiero za rok miała ją chwycić choroba, zbliżona do przypadłości słomianej Marii Angeliki w szpitalu Dobrego Pasterza.

W związku z nią, Bobuś Sandalski, brzdąc utrapiony, przez te miesiące nie zamustrował jak i dlatego, że poddał się intensywnej kuracji. Znajoma jego miała się lepiej, ale pomimo to Bobuś razu jednego, bez żadnej widocznej przyczyny, z własnej choroby padł, w nowym Domu Polskim, gdzie szczęśliwym trafem był obecnym pan Masło. Ten wziął go w opiekę, obiecując zaleczyć w maju człowieka. Co między Bobusiem a panem Masłem na konsultacji zaszło, mniejsza o to, z konsultacji wynikło, że Bobuś miał w ciemnej piwnicy cegły grzać i na ciepłych ceglach każdego ranka przez 7 minut czatować, spoglądając na mapę; na sobie miał wieszać anielskie włosy i sreberka, jakimi u nas jest zwyczaj ubierać boże drzewka. Po takiej siedmiodniowej kuracji, sam Bobuś mówił, że mu się zrobiło znacznie, znacznie lepiej. Zmizerniał co prawda i beksił się częściej niż dawniej, nawet przy noszeniu cegieł u gązgi, ale bezsprzecznie miał się znacznie, znacznie lepiej.

Co więcej? Wielkiej wojny, jak powiedziano, nie było, ale zdarzyła się mała wojna domowa, zakończona nie byle jakim zwycięstwem. Stary dom Polski na peryferii zaciekał i więcej wstydu, niż pożytku, ambitnemu narodowi przynosił; więc o kupno nowego Domu wynikła wojna, jako że nowy Dom miał kosztować moc czateńskich pieniędzy, a na światowe polskie porozumienie nie było co nawet liczyć... Prezes Juan Gacki był za Domem; inż. Rumak przeciwko Domowi; pan Misiak za nowym Domem; na przykład sekretarz Grzegorz Łuna nie tylko opowiedział się za Domem, ale pierwszy na Dom dał; kapitan Wupe razem z Konsulem Antweperskim radzili jeszcze zaczekać; pan Bolączka był przeciwny Domowi. Tak samo zgorzkniały ojciec chłopca Salopa powiedział, że nie trzeba, bo i tak rozkradną. Zwolennicy Domu zwyciężyli po pierwsze dlatego, że sami dali, po drugie, że przeciwników zawstydzili do leż. Chętni i niechętni dali, i tak powstał w Punta Chata nowy Dom Polski. Krew w tej wojnie domowej nie polała się między dającymi i bojkotującymi, ale między tymi, co dali. Na uroczystości w nowym Domu Polskim o kwestię, gdzie jaki portret i z której strony ma wisieć — do krwi się pobili pan Łuna z panem Lipińskim, chociaż obydwaj dali; właśnie w czasie tej bójk Bobuś brzdąc dostał ataku swojej nieszczęsnej padaczki.

Do Kiosku częściej w tym czasie zaglądał wspomniany przy okazji Turysta i dwaj młodziecy niejaśni; oprócz nich pojawił się nowy mentekaptus, marynarz urodzony w Bobrujsku, który zbierał dolary, a na chleb sobie żałował i głodem przymierał, tłumacząc, że o jutrze myśli, a na dziś kicha; ten był nienawidzony w całym porcie.

Wiesio Bączek przez ten czas był w Kiosku dwa razy na bardzo krótko: raz, żeby spytać, czy był Fornalski, i drugi raz, gdy był Fornalski, żeby powiedzieć, czt, czt, Fornalski! Wkrótce po tym Fornalski, który języka dobrze nie znał, a na prawo i lewo się szastał — wsiąkł, i to od razu w Pierwszej

i Trzeciej Sekcji! Wobec czego potrzebował nie jednego, lecz dwóch adwokatów.

Co poza tym? Mniej więcej w połowie marca Ambrosio Lipiński, zaręczony z Eleną Gacką, wyjaśnił w Kiosku, że — *seguro* — on nic nie rozumie, ale polskie sprawy mniej już go teraz ciekawią. Mówiło się o tym w związku z zapowiedzianym przyjazdem z Polski do Punta Chata „SS. Kostka Napierski”. Dziwna znajoma wydała się ta nazwa i dopiero po sprawdzeniu w encyklopedii Trzaski i Ewerta, wiadomo było, że nie chodzi o nabieranie ani o żart. Ale „SS. Kostka Napierski” obiecywał się dopiero na maj, w maju zaś nie miało już być w Punta Chata polskiego Kiosku.

Aha! Szef Bolesławski i Adam Gwóźdź, jak pojechali, tak przepadli, o co niektórzy mieli nawet pretensję; kto napisał do Pani miłych słów kilka, to niewdzięcznik marynarz Trościa z Puerto Rico; poza tym Gruby Jarząbek przysłał w liście parę najlonowych pończoch, Dupontów 56, skąd je przysłał nie wiadomo, bo stempel był zamazany; w liście dołączył pozdrowienia imiennik SS — Kostek Napierski.

Od połowy kwietnia począwszy, nie ma już Kiosku w barze Tango. Sam bar też zmienił nazwę i patrona, i nie jest już to, co było.

Panią z Kiosku w omawianych miesiącach dosięgły przykre zbiegi okoliczności i frasunki najrozmaitszej natury — i też się zmieniła i nie jest już ta co była.

Szła raz kiedyś ulicą Termopil, frontem do czateńskich katedry, i tam ją chwycił przypadkiem zadyszany pan Masło:

— Nie martw się, kobieto, bo od Turków se zacznie...

— ... i nie martw se, kobieto, bo Turki głupie nie będą winowate...

— ... a kiedy se zacznie?

— ... a w maju, a w maju, kobieto!

Czesław STRASZEWICZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

**17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.**

Archiwum polityczne

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta „KULTURY”)

PRYWATNE INICJATYWY POLITYCZNE

Emigracja jest poczekalnią Historii. Ludzie czekają i mówią. Czekają i wspominają. Czy na emigracji można robić coś innego? Czy na emigracji można prowadzić jakąś realną politykę?

W moim zrozumieniu można, ale trzeba podejść do tych spraw inaczej.

Przed kilku tygodniami spędziłem miłe popołudnie w towarzystwie dwóch publicystów ukraińskich. Po dłuższej rozmowie stwierdziliśmy z przyjemnością, że w wielu punktach poglądy nasze są niemal identyczne.

A teraz wyobraźmy sobie, że jakaś złośliwa wróżka usiadła przy naszym ukraińsko - polskim stoliku i przemieniła mnie w gen. Odzierżyńskiego, a z dwóch moich ukraińskich kolegów ulepiła jednego Dr Barana. Porozumienie przysło by jak bańka mydlana. Z zakłopotanymi minami dukalibyśmy nic nie znaczące frazesy, zerkając ukradkiem na zegarek i wzdychając kiedy się to spotkanie nareszcie skończy.

Jakiż jest sens tej przypowieści?

Reprezentacje polityczne na emigracji — bez względu na to czy są legalnymi rządami, czy też posiadają jakąkolwiek inną formę organizacyjną — są zawsze i wyłącznie tylko emigracyjnymi reprezentacjami. Co to oznacza? Oznacza to, że rząd emigracyjny, czy to polski czy ukraiński, nie ma możliwości odwoływania się do swojego narodu i wskutek tego zakres jego działania politycznego jest z góry ograniczony.

Przed dwoma laty Francuzi dążąc do rozwiązania problemu niemieckiego wystąpili z śmiałym projektem znanym pod nazwą „planu Schumana”. Czy można sobie wyobrazić, by podobny plan został uzgodniony pomiędzy dwoma rządami emigracyjnymi? Nie — ponieważ do projektowania zmian dotyczących suwerenności i terytorium potrzeba zgody parlamentu, zgody narodu.

Cechą każdej oficjalnej polityki emigracyjnej jest jej statyczność, która wypływa z charakteru pełnomocnictw. Każdy rząd emigracyjny uważa — i słusznie — że jego pełnomocnictwa dotyczą wyłącznie punktów bezspornych — jak dążenie do odzyskania niepodległości, obrona terytorialnego status quo itd. Nabytki terytorialne — jak w naszym wypadku ziemie nad Odrą i Nisą — są bezspornie zmianą korzystną i rząd ma pełne prawo mniemać, że nie przekracza swych pełnomocnictw broniąc naszych praw do tych ziem.

Przed kilku miesiącami Józef Łobodowski wystąpił na łamach „KULTURY” z projektem kondominium polsko-ukraińskiego na Ziemi Czerwieńskiej. Projekt jest doskonały i oświadczenie trafia mi w całości do przekonania. A jednak byłoby zupełnie bezcelowe, gdyby nad planem Łobodowskiego wszczęły dyskusje oficjalne emigracyjne reprezentacje polityczne ukraińskie i polskie. Albowiem emigracyjne władze ukraińskie i polskie nie mają koniecznych pełnomocnictw ani do prowadzenia tego typu rokowań, ani do pobierania wiążących postanowień.

Owa statyka wynikająca z ograniczonych pełnomocnictw rozciąga się w pewnej mierze również i na emigracyjne partie polityczne. Ponieważ jest to dziś w modzie każda partia mówi o federacji. Oczywiście nie konkretnego z tego nie wychodzi. Musimy jednak pamiętać, że celem każdej partii jest zdobyć władzę czyli wejść do rządu. To jest oczywiste i naturalne. Przywódcy muszą więc kształtować politykę swych partii pod kątem widzenia ewentualnego udziału w takim czy innym rządzie emigracyjnym. W rezultacie i programy polityczne partii emigracyjnych podlegają temu samemu prawu „ograniczonych pełnomocnictw” — co jest tym bardziej zrozumiałe, że partie nie mają dostatecznej łączności z krajem.

Jakie płyną z tego wnioski?

Przede wszystkim, trzeba uznać fakt ograniczonych pełnomocnictw oficjalnych ciał politycznych na emigracji i w konsekwencji, pewne ruchy i prace *oderwać* od tzw. polityki urzędowej.

W ub. roku w jednym z moich artykułów proponowałem oderwanie ruchu federacyjnego od oficjalnej polityki. To samo dotyczy również i innych zagadnień.

Weźmy dla przykładu stosunki polsko-ukraińskie. Jest w tej dziedzinie mnóstwo do zrobienia na torze nie-oficjalnym. Jeden z ukraińskich publicystów — z którym niedawno rozmawiałem — zauważył: „Ludzie wykształceni łatwo porozumiewają się między sobą, ale przeciętny Ukraińiec żywi nieufność do Polaków”. Wydaje mi się, że sąd mojego ukraińskiego kolegi jest bardzo optymistyczny. Albowiem nie tylko przeciętny Ukraińiec żywi nieufność do Polaków (i na odwrót!) ale to samo można powiedzieć o znacznym procencie wykształconych Polaków i wykształconych Ukraińców. I to jest punkt startu.

Nieorganizowane wysiłki jednostek nie przyniosą w tej dziedzinie wyników. Łobodowski napisał świetny artykuł. Lecz

cóż stąd? W związku z jego wypowiedzią ukazało się kilka naciągów artykułów w prasie polskiej i ukraińskiej i na tym koniec. Porozumienia polsko-ukraińskiego i ukraińsko-polskiego nie zbudują ani ukrainofile ani polonofile. Porozumienie musi być budowane zorganizowanym, wspólnym wysiłkiem Ukraińców i Polaków.

Trzeba zacząć skromnie ale z pewnym określonym celem. Wysuwam konkretną propozycję: powołajmy do życia „Polsko-Ukraińskie Biuro Studiów”. Oficjalna nazwa biura w języku ukraińskim brzmiałaby: „Ukraińsko-Polskie Biuro Studiów”. Członkami Biura byłoby w połowie Ukraińcy w połowie Polacy. Cel instytucji: badanie stosunków polsko-ukraińskich.

Biuro pracowało by na zasadach przyjętych przez większość brytyjskich i amerykańskich instytucji poświęconych badaniom stosunków międzynarodowych — to znaczy zespołowo. Poszczególne zagadnienia opracowywane byłyby przez komisje składające się w połowie z Polaków w połowie z Ukraińców. Biuletyny Biura dotyczące danego problemu ukazywałyby się w dwóch językach, podpisane przez wszystkich członków komisji.

Tylko w ten sposób można budować porozumienie. Niekończące się dyskusje i polemiki na łamach prasy polskiej i ukraińskiej — choćby prowadzone z talentem — nie wiodą do celu. Bo co to znaczy porozumieć się? Porozumieć się to znaczy wypracować pewien pogląd, który byłby do przyjęcia zarówno dla Ukraińców jak i dla Polaków. Taki pogląd na dane zagadnienie mogą wypracować tylko Polacy i Ukraińcy we wspólnym wysiłku. Natomiast takiego poglądu nie wypracuje najświetniejszy polski instytut dla badań spraw ukraińskich, ani równie świetny ukraiński instytut poświęcony badaniom spraw polskich. Trzeba bowiem odróżnić te dwa odrębne zagadnienia: studium i porozumienie. Polski instytut badawczy, czy ukraiński instytut badawczy miałby na celu badanie. Natomiast celem proponowanego Biura Polsko - Ukraińskiego byłoby porozumienie, a badanie problemów polsko-ukraińskich byłoby środkiem wiodącym do tego celu.

Zdaję sobie sprawę, że ze względu zarówno na brak odpowiednich współpracowników jak i na ograniczony dostęp do źródeł — prace takiego biura mogłyby być tylko fragmentaryczne. Ale w tym wypadku nie chodzi o powołanie komitetu redakcyjnego z celem opracowania pomnikowego, wielotomowego dzieła o stosunkach polsko-ukraińskich. Chodzi natomiast o to, by w wymiarach nam dostępnych podjąć próbę opracowania pewnych zagadnień polsko-ukraińskich wspólnie i doprowadzić w ten sposób do przerzedzenia owego lasu uprzedzeń i nieporozumień, który nas rozdziela. Najsłabsze opracowanie, dotyczące choćby mniej istotnego zagadnienia, ale będące zespołowym dziełem autorów ukraińskich i polskich miałoby stokrotnie większe znaczenie dla zbliżenia polsko-ukraińskiego i ukraińsko-

polskiego niż choćby znakomity artykuł pro-ukraiński autora polskiego czy pro-polski autora ukraińskiego.

Aby powołać taką placówkę do życia nie potrzeba pieniędzy. Trzeba natomiast ludzi o cywilnej odwadze.

„Ulica” emigracyjna, tak polska jak i ukraińska — jest szowinistyczna. Musi się jednak znaleźć garść ludzi, którzy nie pozwolą się sterroryzować ani „ulicy”, ani „Rejtanom”, którzy zawsze wszczynają alarm ilekroć ktoś występuje przeciw szowinizmowi i narodowej megalomanii. Emigracje z natury rzeczy są w sensie nacjonalistycznym i politycznym konserwatywne. Pogląd ogółu krystalizuje się wskutek tego wokół pionu maksymalistów. Nieufność do politycznych zamierzeń wielkich mocarstw, poczucie krzywdy, lęk przed obcymi agenturami — wszystko to jest wodą na młyn szowinistów. Jesteśmy „obleżonym miastem” i wskutek tego najmniejsze odchylenie od ustalonego poglądu uważane jest za zdradę, a co najmniej za niebezpieczne warcholstwo. Ponieważ otoczeni jesteśmy wrogami a zewsząd czyhają na nas podstęp, zdrada i obce agentury — najpewniejszą polityką wydaje się nieustępliwa obrona „status quo” i ustawiczne nawoływanie do zwarcia szeregów.

To jest proces w pewnej mierze naturalny. Gdyby było inaczej, poszlibyśmy po prostu w rozsypkę.

Jeżeli jednak chcemy pchnąć pewne sprawy naprzód — musimy się znaleźć ludzie, którzy opuszczają mury emigracyjnego Jerycha, by w atmosferze rzeczowego obiektywizmu omówić pewne sprawy i fakty.

W państwach Zachodu a w szczególności w Anglii — prywatna inicjatywa polityczna odgrywa olbrzymią rolę. Natomiast w Europie środ.-wschodniej, a w Polsce w szczególności — wszyscy we wszystkim oglądali się na rząd. I to zarówno ci co byli za rządem jak i ci co byli przeciw niemu.

Emigracja stanowi okres szczególnie podatny dla prywatnych inicjatyw politycznych. Rządy emigracyjne są skrzepowane ograniczeniami swych pełnomocnictw i wskutek tego ich zdolność negocjowania jest minimalna. Natomiast zespół publicystów, historyków, czy niezależnych polityków polskich i ukraińskich nie jest w swych studiach i rozważaniach niczym ograniczony. Posiada pełną swobodę działania. Zespół taki nie będzie miał prawa podpisania i proklamowania federacji polsko-ukraińskiej czy ustanawiania kondominium polsko-ukraińskiego na Ziemi Czerwieńskiej. Nie ulega natomiast wątpliwości, że gdyby poważny zespół polsko-ukraiński opublikował studium na temat kondominium polsko-ukraińskiego na Ziemi Czerwieńskiej, byłby to najbardziej pozytywny krok jaki możemy zrobić na emigracji w kierunku urzeczywistnienia tej koncepcji.

Jakkolwiek skończy się obecny kryzys światowy — jedno możemy przyjąć za pewne: Rosja nie będzie kapitulowała, jak Niemcy, na warunkach „unconditional surrender”. Jeżeli doj-

dzie do zbrojnego konfliktu, Amerykanie walczyć będą przeciw reżimowi sowieckiemu, a nie przeciw narodowi rosyjskiemu. Należy więc przewidywać, że w przeciwieństwie do Niemiec — demokratyczny rząd w Moskwie pojawi się na drugi dzień po kapitulacji reżimu sowieckiego.

Można przyjąć również za pewnik, że przyszły demokratyczny rząd rosyjski reprezentować będzie pogląd, iż Rosja winna się wycofać na granice z 1939 r., ale nie dalej. Nie twierdzę, że polityka amerykańska oprze się wówczas na tezach Kennana. Jestem niemal pewien, że przeważą opinie, iż narody, które wchodziły w skład Związku Sowieckiego winny mieć zagwarantowane prawo wyboru utrzymania, względnie zerwania, więzów łączących je z Rosją. W każdym jednak wypadku będzie to przełomowa i niezmiernie trudna sytuacja tak dla polityki polskiej jak i ukraińskiej. Leży w interesie obu narodów by zasadnicze problemy polsko-ukraińskie były wówczas — choćby w ogólnych liniach — uzgodnione. Wzmocni to niepomierne stanowisko obu naszych narodów w stosunku do nowej Rosji. „Wojna” polsko-ukraińska w takim momencie byłaby tylko wodą na wielkie młyny rosyjskie.

Nie można wykluczyć i innego rozwiązania. Jesteśmy wszyscy skłonni przypuszczać, że ewentualna trzecia wojna światowa będzie w pewnym stopniu podobna do drugiej wojny światowej. Wydaje mi się jednak, że rozgrywka Zachodu z Rosją będzie miała przebieg całkowicie różny i uważam, iż jeszcze ciągle możliwe są wielkie niespodzianki.

Jest to mało prawdopodobne ale *nie wykluczone*, że jeżeli polityka wyzwolenia zostanie oficjalnie sformułowana i poparta groźbą — Rosja się cofnie. Sprawa prestiżu uważana jest przez komunistów za burżuazyjny przesąd i jeżeli władcy na Kremlu w danym momencie doszliby do wniosku, iż wycofanie się z krajów satelickich jest ceną, którą trzeba zapłacić by ratować komunizm w „ojczyźnie robotników” — cena zostanie zapłaconą.

Powtarzam — osobiście uważam rozwój wydarzeń po tej linii za mało prawdopodobny (choć nie wykluczony) — a poruszam tę ewentualność dla zilustrowania pewnego zagadnienia.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby Rosja sowiecka na skutek nacisku zgodziła się na opuszczenie krajów satelickich — to jeżeli chodzi o Polskę wycofałaby się na obecną granicę polsko-sowiecką, która odpowiada (z drobnymi zmianami) linii Ribbentrop — Mołotow. Postępując tak, Rosja liczyłaby na poparcie pewnych kół politycznych na Zachodzie, które granicę z r. 1939 uważają za niesprawiedliwą.

Rozważając tę ewentualność zadałem sobie pytanie jakie zająłbym stanowisko w tej sprawie, gdybym był ukraińskim publicystą czy politykiem?

Zapewne pierwszy mój odruch byłby pro-rosyjski. Wniosko- wałbym bowiem, że poparcie żądań polskich by Rosja cofnęła

się na granice z 1939 r., byłoby równoznaczne z uznaniem praw polskich do Lwowa itd.

Po namyśle, mam jednak poważne wątpliwości czy z punktu widzenia ukraińskiego byłaby to polityka rozsądna. W tej chwili Ukraina jest w całości okupowana przez Rosję. Gdyby Rosja pod naciskiem cofnęła się na granice z 1939 r. Ziemia Czerwieńska wróciłaby do Polski. Nie jest obojętne w czyich rękach jest ta ziemia — w polskich czy w rosyjskich. Gdybym był Ukraińcem wolałbym ręce polskie, choćby z tej przyczyny, że Polska nie stanowi niebezpieczeństwa dla Ukrainy. Dla Ukrainy groźna jest Rosja. Gdyby Rosja cofnęła się na granice z 1939 r. istniałaby możliwość stworzenia kondominium polsko-ukraińskiego na Ziemi Czerwieńskiej i podniesienia wolnej flagi ukraińskiej bez sierpa i młota. Te możliwości odpadają, jeżeli Rosji pozwolono by wycofać się na obecną granicę polsko-sowiecką.

Innymi słowy — gdyby Rosja pod naciskiem Zachodu decydowała się cofnąć leży zarówno w interesie polskim, jak i ukraińskim by cofnęła się jak najdalej na wschód.

Rozważam tę ewentualność jedynie w tym celu, aby wykazać, że jakkolwiek interesy polsko-ukraińskie nie zawsze są zbieżne — to jednak jest niepodobieństwem wyobrazić sobie sytuację, która nakazywałaby polityce ukraińskiej popierać Rosję przeciw Polsce. Mam oczywiście na myśli niepodległościową politykę ukraińską. Ta teza znajduje pełne uzasadnienie nawet w sprawie Lwowa. Albowiem Ziemia Czerwieńska to jest problem polsko-ukraiński i tylko polsko-ukraiński. Rosyjskie „rozwiązanie” tego problemu jest sprzeczne zarówno z polskimi jak i ukraińskimi interesami narodowymi.

Osobiście jestem przekonany, że historyczny bieg wydarzeń, który przyniesie wolność Polsce wyzwoli również nie tylko Ziemię Czerwieńską, ale całą wielką Ukrainę. I jeżeli wówczas nie chcemy spotkać się na moście w Przemyśle z karabinami w rękach — musimy spotykać się dziś, by z dobrą wolą i trzeźwym umysłem przystąpić do budowania — cegiełka po cegiełce — polsko-ukraińskiego porozumienia.

Juliusz MIEROSZEWSKI

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

Przedstawicielstwa „Kultury”, „Orla Białego”,
„Wiadomości”.

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

List z Niemiec

(Od berlińskiego korespondenta „Kultury”)

Gdy się w Niemczech śledzi dyskusje w sprawach politycznych, to trudno się oprzeć wrażeniu, że wiele jest w nich z tego, co my nazywamy między sobą „emigranczką” polityką. Ta sama krańcowość, „pryncypialność” i abstrakcyjność poglądów, ta sama uczuciowość i namiętność z jaką się je wypowiada, to samo zapatrzenie w opatrnościowych mężów, to samo zaczynanie „od pieca”. To samo wreszcie moralizatorstwo, coraz głośniejsze, coraz bardziej dobitne. Może właśnie ta „emigranczkość” sprawia, że chwilami tak trudno jest Niemcom porozumieć się z resztą świata. W tej to atmosferze kanclerz Adenauer chłodny, opánowany, trzymający się gruntu, jest w gruncie rzeczy dość osamotniony.

Emigranci mają na swoje usprawiedliwienie to, że są — emigrantami. (Tak było zresztą i z wielu ludźmi, którzy dziś rządzą w Republice Związkowej). Może i do ich zadań należy nawet ukazywanie spraw w ostrym świetle i wytykanie win. Ich moralizatorstwo ma przynajmniej niewątpliwe uzasadnienie. W Niemczech inaczej. Pochodzi ono chyba z braku zmysłu proporcji, z jakiejś utraty pamięci. Zdawało by się czasami, że spośród wszystkich narodów Europy, Niemcy najbardziej ucierpieli, i to nie z własnej winy, że cierpienia innych są drobnostką w porównaniu z tym, co oni sami doświadczyli. Tymczasem rzeczy miały się, jak wiadomo, odwrotnie, zwłaszcza w Niemczech zachodnich. Praktycznie, owo odwrócenie proporcji zniekształca obraz rzeczy i sprawia, że pozostały świat ukazuje się społeczeństwu niemieckiemu przede wszystkim jako świat grzechu i potępienia. Stąd, przy całym zmyśle praktycznym i umiejętności pracy, której trudno nie podziwiać, jakiś przedziwny brak realizmu, co wcale nie ułatwia spraw.

To nie oznacza, oczywiście, że jedynie cudzoziemiec to widzi i rozumie. Jeżeli o tym dziś piszę, to właśnie dlatego, że takie oceny spotyka się wśród samych Niemców na każdym kroku. I tak, niedawno mówił mi ktoś o znanym nazwisku, że choć sam odrzuca tezę o zbiorowej winie, jednak próbuje szerzyć pogląd, że nie wolno się uchylać od zbiorowej odpowiedzialności za czyny, popełnione przez wielkie zbiorowisko. Ale pogląd ten nie ma wielu zwolenników. Po śmierci przywódcy socjalistycznej opozycji, Schumachera, kilku publicystów wspominało, że w dialogu Schumacher-Adenauer wyczerpywał się niemal cały problem współczesnej polityki niemieckiej. Zwracali oni jednocześnie uwagę na niebezpieczeństwo sprowadzania życia politycznego całego narodu do konfliktu dwu wybitnych jego przedstawicieli. Inny publicysta zachodnio-niemiecki wzywał niedawno swoje społeczeństwo do ograniczenia zasięgu swych am-

bicij w polityce światowej: „Po dwóch katastrofach politycznych na światową miarę, już nie mamy na to dość sił” — pisał. „Kto trzeźwo ocenia stan psychiczny narodu, ten wie, że jego rezerwy duchowe nie starczą do prowadzenia światowej polityki”.

Jako wynik dotychczasowych obserwacji i doświadczeń — wymiany not dyplomatycznych i dyskusji — stopniowo toruje sobie drogę przeświadczenie, że o zjednoczeniu Niemiec nie można jeszcze mówić jako o czymś, co będzie urzeczywistnione w najbliższej przyszłości. Przeciwnie, wydaje się, że się ono coraz bardziej oddala. Ocena wystąpień sowieckich prowadzi tutaj ludzi do wniosku, że Moskwa redaguje swoje noty tak, aby mieć niemal pewność, że jej propozycje będą odrzucone i że będzie mogła spokojnie dokończyć dzieła — wessania „Niemieckiej Republiki Demokratycznej” do swego imperium. Wiadomo o co chodzi. W ostatniej swej nocy, rząd sowiecki zgadza się wprowadzić na przeprowadzenie swobodnych wyborów, ale dopiero wtedy, gdy rząd ogólnie - niemiecki będzie już utworzony, a pókiż zawarty (przy tej sposobności mówi się o wzorze „lubelskim”). Tymczasem mocarstwa zachodnie stawiają wybory na pierwszym miejscu. W dodatku termin rozpoczęcia narad, postawiony przez Sowiety, zbiega się z przypuszczalnym terminem debat ratyfikacyjnych w Bonn, wyprzedza wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych i wypada właśnie w okresie kongresu partii komunistycznej ZSSR. Wniosek — przed tym kongresem i przed wyborem Prezydenta Stanów nie będzie nic nowego. Zresztą Zachód nie zgodzi się na proponowaną przez Moskwę procedurę, gdyż jej zastosowanie wydało by i zachodnie Niemcy na łup Sowietom. „Zdaniem Departamentu Stanu” — domyśla się jeden z zachodnio-niemieckich komentatorów — „niebezpieczeństwo takiego obrotu spraw jest tak wielkie, że lepiej jest pogodzić się z faktem dokonany m. tj. z podziałem Niemiec, do którego szybko zmierzają Rosjanie. Ale nikt jeszcze w Waszyngtonie nie próbuje tego powiedzieć wyraźnie. Dość natomiast wyraźnie napisał „Times”: „W rzeczywistości, Związek Radziecki zgadza się na zjednoczenie Niemiec tylko na takich warunkach, jakie sam podyktuje. Tych zaś warunków, w ich obecnej postaci, nie mogą przyjąć mocarstwa zachodnie ani Niemcy, w swej większości”.

Pierzcha nadzieja na bliskie zjednoczenie i wiąże się z tym niewątpliwie bolesne przeżycia. Tym bardziej więc poszukuje się uczuciowej rekompensaty i znajduje się ją m. in. w rozbudowie marzeń o powrocie na wschód. Siegają one daleko, coraz dalej, poza Odrę i Nisę, nad Wisłę, gdzie jeszcze! Drukuje się mapy, książki, broszurki, wygłasza przemówienia, organizuje manifestacje, nawet na religijnych imprezach. Rokowania z Francuzami w sprawie Saary nie upoważniają do wielkich nadziei, więc

i tutaj uczuciowa ekspansja na wschód daje upust marzycielstwu. A jednak czy jest naprawdę rzeczą słuszną i sprawiedliwą — to utrzymywanie mas ludzi, przesiedlonych ze wschodu na zachód, ludzi bądź co bądź bardziej dotkniętych losem niż reszta społeczeństwa Niemiec zachodnich, w stanie uczuciowego wrzenia? Być może nowa ustawa o „wyrównaniu obciążeń” wpłynie na poprawę ich bytu. (Zresztą, podczas gdy ilość przesiedlonych oblicza się na 9 milionów, to ilość bezrobotnych w całej Republice Związkowej wynosi około 1 miliona). Tak czy inaczej trudno się oprzeć wrażeniu, że wrzenie to utrzymywane jest przez kogoś celowo, z dużym nakładem wysiłku i pieniędzy, dla celów nie tylko zewnętrznej, ale i wewnętrznej polityki.

Kiedys i my w Polsce przeżywalismy coś podobnego. Po rewolucji rosyjskiej w 1917 r., po wojnie z bolszewikami w 1920 r., wielotysięczne masy Polaków ciągnęły ze wschodu na zachód, do Polski. Z dalekiej Białorusi, z Ukrainy, z Kijowa. Pamiętamy ich opowiadania, ich nadzieje, że powrócą tam, gdzie jeden za drugim były polskie majątki, polskie miasteczka — a przecież i w Kijowie mowa polska panowała kiedyś na ulicach. Ale marzenia te nie trwały zbyt długo. Kresowcy szybko wrosli i rozplynęli się w polskim społeczeństwie, które przyjęło ich gościnnie i po bratersku. I trzeba przyznać, że polskie społeczeństwo dało dowód dużego realizmu — potrafiło zrozumieć, że „to” już się skończyło, że coś nowego tam się już rodzi i że trzeba się „przestawić” na inny styl życia. Z czasem przyjdzie może i w Niemczech zrozumienie, że dzieje „ekspansji na wschód” należą do bezpowrotnej przeszłości.

Tymczasem w Luksemburgu powstają zarysy przyszłości. Prawda, że inauguracja władz naczelnych Wspólnoty węgla i stali wzbudziła w Niemczech znacznie mniejszy entuzjazm aniżeli we Francji. Tyle już jednak widzieliśmy entuzjastycznie witanych imprez, z których nic nie wyszło, albo które kończyły się katastrofami, że kto wie — może właśnie na przekór tamtym, powściągliwie witane urzeczywistnienie Planu Schumana stanie się zaczątkiem nowej Europy. Tutaj naprawdę zaczyna się dzieć coś nowego. To nic, że nie ma entuzjazmu. Jeżeli ta pierwsza europejska impreza się powiedzie, to jej wynikiem może być radykalna zmiana w ukształtowaniu całego kontynentu. A przede wszystkim, można przewidywać zmianę w kierunkach dążeń niemieckich, wyznaczanych w dużym stopniu przez potrzeby i zamierzenia niemieckiego ciężkiego przemysłu. Przez czas dłuższy, śledzenie rozwoju nowej organizacji będzie chyba jednym z najbardziej pasjonujących zadań dla wszystkich, którzy biorą udział w ruchu europejskim. Jak się ułożą stosunki w dziedzinie nie tylko produkcji, ale również transportu i komunikacji, jak wpłynie nowa organizacja na swobodę porusza-

nia się ludzi, poszukujących pracy na całym obszarze wspólnoty? Od odpowiedzi na to ostatnie pytanie zależy, być może, najwięcej.

W przede dniu obrad parlamentarnych na temat ratyfikacji układów, zawartych w Bonn i w Paryżu, Hans Baumgarten, jeden z naczelników publicystów „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, podał następujący obraz sytuacji:

Rząd Republiki Związkowej pragnie przyłączenia do zachodnio - europejskiej wspólnoty obronnej. Krańcowo przeciwnie stanowisko zajmują neutraliści. Ci twierdzą, że zbrojenia zachodnio - niemieckie mogą sprowokować Moskwę do wojny prewencyjnej, podczas gdy neutralizacja Niemiec umożliwi zjednoczenie. Wśród nich są tacy zapewne, którzy, może nieświadomie, podlegają wpływom sowieckiej propagandy. Ale zdaje się, pisze Baumgarten, że obóz neutralistyczny doznał w ostatnich czasach pewnego osłabienia. Opozycja socjalistyczna nie należy do obozu neutralistów, jednak sprzeciwia się polityce Adenauera. Mimo to nie chcą bynajmniej socjaliści, aby Niemcy stały się polityczną próżnią, pozbawioną obrony. Czego więc chcą? W gruncie rzeczy — twierdzi Baumgarten — pragną oni współpracy z Zachodem, sądzą jednak, że można było uzyskać lepsze warunki. Uważają, że Amerykanie są „skazani na obronę Europy, z Niemcami czy bez Niemiec. Ponieważ Baumgarten nie sądzi, aby socjaliści, odrzekając się od tezy neutralistycznej oficjalnie, chcieli ją wprowadzić kuchennymi drzwiami — więc stanowisko ich sprowadzało by się do zarzutu, że rząd nie uzyskał od Amerykanów wszystkiego co mógł i co powinien był uzyskać. Jest jeszcze inna teza, którą reprezentuje poseł FDP (Freie Demokratische Partei) dr Pfeleiderer. Ten jest „częściowym” neutralistą — proponuje mianowicie, aby wojska sowieckie cofnęły się za Odrę, a alianci za Ren. Dr Pfeleiderer zarzuca rządowi Adenauera, że zrezygnował z własnej „polityki wschodniej” i nie czyni nic, aby połączyć strefę wschodnią z zachodnimi Niemcami. O poglądach dr Pfeleiderera mówi się w kołach parlamentarnych, że „nie są atakowane”.

Berlin jest miastem w znacznej większości protestanckim, ale w ciągu kilku dni sierpnia gościł u siebie 130.000 katolików, z czego 100.000 przybyło ze strefy sowieckiej, mimo iż rząd wschodnio - niemiecki odmówił pociągów specjalnych. Arcybiskup Monachium, ks. Wandel, mieszkał w czasie zjazdu u ewangelickiego biskupa ks. Dibelliusa, a 24-metrowy krzyż, pod którym modliły się tłumy, pozostał z zeszłorocznego ewangelickiego zjazdu. Już te zewnętrzne szczegóły świadczą o tym, że zjazd był nie tylko manifestacją wyznawców — tysiące pro-

testantów wzięło w nim czynny udział. Był przede wszystkim manifestacją łączności ludzi ze strefy wschodniej z całymi Niemcami i ten jego charakter został silnie podkreślony. Podobnie jak w Polsce, ludność strefy sowieckiej wyraziła tłumnie protest przeciw panującym obecnie stosunkom jedynym sposobem, jakim mogła to uczynić. Podobnie jak w Polsce, protest przeciw uciskowi wyraża się tam w pogłębieniu życia religijnego i w powrocie do praktyk religijnych. Różne słyszało się wrażenia z kongresu. Były i manifestacje rewizjonistyczne. Z drugiej strony niektórzy byli zdziwieni widząc, jak daleko w Niemczech sięga polszczyzna i jak często słyszało się język polski na zjeździe. Jeżeli zjazd ten stał się przede wszystkim manifestacją jedności narodu niemieckiego, pod znakiem krzyża, to trzeba życzyć temu narodowi, aby w owym znaku szukał natchnienia w przyszłości. A jak wielkie znaczenie mają w Niemczech symbole — to wiemy.

Jerzy PRĄDZYŃSKI

Kronika angielska

SPRAWY POLSKIE NA FORUM MIĘDZYNARODOWYM

Gen. Eisenhower przemawiając na zjeździe Legionu Amerykańskiego w Nowym Jorku oświadczył m. in., że Ameryka nigdy nie uzna obecnej pozycji Rosji w Europie wschodniej i w Azji — (...never recognize the slightest permanence in Russia's position in Eastern Europe and Asia"). Generał powiedział również, że sumienie Ameryki nie zazna nigdy spokoju, dopóki narody ujarzmione przez Rosję nie będą przywrócone społeczności ludzi wolnych.

Przemówienia gen. Eisenhowera i Foster Dullesa poddane zostały surowej krytyce przez ołtarz prasy amerykańskiej, a w zachodniej Europie przyjęto je lodowato. Pisma francuskie wysunęły tezę, że Pakt Atlantyczny jest instrumentem polityki „containment” (powstrzymywania) i nie może się stać narzędziem polityki „odepchnięcia” Rosji na jej własne terytorium. Londyński „The New Statesman and Nation”, organ lewego skrzydła Labour Party, nawoływał ze zgrzytliwą ironią, by gen. Eisenhower przystąpił już obecnie do budowania na zachodzie Ameryki obozów dla... uchodźców wojennych z Wielkiej Brytanii.

Ogólnie biorąc prasa zachodnia nie dostrzegła głównego zagadnienia — względnie uznano, że wygodniej będzie przejść nad nim do porządku dziennego. Gen. Eisenhower nie powiedział bowiem, że Stany Zjednoczone gotowe są użyć siły, by uwolnić kraje za „żelazną kurtyną”. Problem nie brzmi: wojna czy nie wojna — gdyż obaj kandydaci na prezydenta są przeciwko wojnie. Natomiast historyczną zasługą gen. Eisenhowera jest fakt, że pierwszy spośród wielkich Amerykanów stwierdził, iż pokój nie może być kupiony za cenę uznania ujarznienia przez Sowietów 100 milionów Europejczyków. Ten problem, który budzi dreszcz przerażenia w sercach jakże wielu zachodnich „znakomitości” — jest kardynalnym zagadnieniem naszej epoki. Nie można obejść tego zagadnienia, bo wszystkie drogi ucieczki od tej sprawy wiodą do kapitulacji.

PROGRAM WSCHODNI — WCZORAJ I DZIS

W czasie obchodu Święta Żołnierza w Londynie wygłosił przemówienie b. minister Zygmunt Berezowski — jeden z czołowych polityków Stronnictwa Narodowego. „Biuletyn Polityczny” (Nr 38) podaje pełny tekst tego przemówienia. P. Berezowski omawiając tło wojny w r. 1920 — powiedział m. in. co następuje:

„Niestety w czasie tej wojny nie mieliśmy powszechnej, jednolitej koncepcji jej celów. Nasz pochód na Wschód znaczonej był ścieraniem się odmiennych pojęć o przyszłości Polski. Dotyczyło to zagadnień zasadniczych. Dotyczyło obszaru państwa, jego roli w tej części Europy, oceny naszych możliwości i sił, oraz sił wyzwoleńczych ludności sąsiadującej z nami na Wschodzie. Zagadnienia litewskie, łotewskie, białoruskie i ukraińskie — obok zagadnienia przyszłości Rosji stanowiły istotę sporu, sporu bardzo żywego i bardzo zasadniczego”.

Od roku 1920 upłynęło trzydzieści dwa lata — ale wydaje się, że przez owe trzy dekady ów „spór żywy i zasadniczy” nie został rozstrzygnięty. Nie wypracowaliśmy bowiem do tej pory żadnego wschodniego programu politycznego. Jak wiadomo obóz narodowy był wówczas — w r. 1920 — przeciwnikiem koncepcji federacyjnej. Czy dziś zmieniło się coś w tej sprawie? Wydaje się, że nic się nie zmieniło. Albowiem, ani stronnictwa Rady Politycznej, ani stronnictwa wchodzące w koalicję rządową nie mają żadnego wschodniego programu politycznego. Od czasu do czasu w przemówieniach naszych polityków spotyka się okragły frazes o stosunkach polsko-ukraińskich — ale to wszystko. W gruncie rzeczy mamy ten sam program wschodni, który mieliśmy w r. 1939 — czyli po prostu nie mamy żadnego programu. Nic nam nie wiadomo o polskiej partii czy ugrupowaniu politycznym na emigracji, które wystąpiło by z konstruktywnym, twórczym planem rozwiązania węzła gordyjskiego stosunków polsko-ukraińskich. A wszelki program wschodni musi się zacząć od ukraińskiego „A”.

POLACY W ZWIERCIADLE PRASY LONDYŃSKIEJ

Znany tygodnik londyński „Illustrated” z dn. 6 września br. zamieścił ośmioro stronicowy artykuł, bogato ilustrowany, pióra Allen Andrews’a pt.: „The 145.000 Poles in Britain”.

Artykuł na ogół utrzymany jest w tonie b. życzliwym i przynosi wiele informacji i danych statystycznych. Pod względem politycznym autor przedstawia nas niewątpliwie zbyt pochlebnie. Czytelnik angielski z reportażu w „Illustrated” odniesie wrażenie, że Polacy w Wielkiej Brytanii są „zwarcici i zjednoczeni” w stopniu, który niestety nie odpowiada rzeczywistości. Allen Andrews nie wspomina słowem o Radzie Politycznej ani o opozycji. Jest rzeczą charakterystyczną, że dla angielskiego obserwatora centralną postacią polskiej emigracji, naszym „Bonnie Prince Charlie” — jest gen. Anders.

W Anglii jest w tej chwili 426.000 zarejestrowanych cudzoziemców. 145.000 Polaków stanowi największą narodowościową grupę w tej liczbie. Przez PKPR przeszło 100.000 polskich żołnierzy i 5.000 kobiet. Z tej cyfry 68.000 znalazło zatrudnienie w przemyśle brytyjskim. 30.000 Polaków przybyło do Anglii z kontynentu jako tzw. European Voluntary Workers. Pracują oni przeważnie w przemyśle tekstylnym i w rolnictwie. Do niedawna w rolnictwie i w leśnictwie pracowało około 20.000 Polaków. Obecnie wielu pracuje przy budowie lotnisk amerykańskich, gdyż stawki płacone przez Amerykanów są znacznie korzystniejsze (10 do 12 funtów tygodniowo). W chwili obecnej istnieje w Anglii 220 polskich farm 50-cio akrowych.

Interesujące są uwagi Allen Andrews’a dotyczące naturalizacji. Cyfry statystyczne wykazują, że Polacy są bardzo opornym elementem. Naturalizuje się zaledwie około 2.000 Polaków rocznie. Andrews podkreśla, że jak długo myśli Polaków skupione będą na wojnie, nie należy przewidywać zwiększenia się cyfry podań o naturalizację. Niewątpliwie gdyby Polacy w tym tempie przyjmowali obywatelstwo brytyjskie trzeba by przeszło... 70 lat by znaturalizować 145-cio tysięczną emigrację polską w Zjednoczonym Królestwie.

KOMENTARZE

P. Stefan Mękowski na łamach „Orla Białego” (nr. 35/530) poddał surowej krytyce przedmowę do pierwszego numeru krajowego „KULTURY” pt. „Ramy życia w Polsce”.

Sprawa jest ważna, albowiem p. Mękowski atakuje tezy do których Zespół „Kultury” przywiązuje duże znaczenie. Nasz krytyk stwierdza z zimną krwią, iż... „nie odpowiada prawdzie twierdzenie przedmowy, że służenie interesom Polski na emigracji polega przede wszystkim na współdziałaniu ze światem wolnych narodów w walce ze Związkiem Sowieckim i komunizmem”.

Okazuje się więc, że walka ze Związkiem Sowieckim i z komunizmem nie jest służeniem sprawie Polski. Albowiem dla londyńskich talmudystów sprawa polska to jest przede wszystkim sprawa rządu polskiego na emigracji, a więc ponowne uznanie — jako warunek wstępny. Pogląd, że walka z komunizmem i z Sowietami dopiero wówczas zostanie wyświęcona do rangi „służenia sprawie Polski” jak rząd nasz zostanie uznany i otrzyma statut sojusznika — prowadzi do emigracyjnego sekciarstwa i całkowitego pomieszczenia hierarchii naszych celów. Nie ma bowiem dwóch spraw polskich — jednej emigracyjno-londyńskiej a drugiej krajowej. Jest tylko jedna sprawa polska, której oczywistym nakazem jest walka przeciwko Sowietom i komunizmowi w każdej dostępnej nam formie. Jest naszym obowiązkiem uczynić wszystko, by odzyskać pełny statut sojusznicy i możliwie najlepsze polityczne gwarancje — niemniej nasz obowiązek walki przeciwko Sowietom i obowiązek współdziałania z tymi, którzy przeciwko nim walczą nie może z żadnych względów ulec zawieszeniu. Obowiązek ten wygaśnie dopiero wówczas, gdy ostatni sowiecki żołnierz i ostatni sowiecki agent opuszczą granice Polski. I dlatego wbrew temu co pisze p. Mękowski stwierdzamy ponownie: „służenie interesom Polski na emigracji polega przede wszystkim na współdziałaniu ze światem wolnych narodów w walce ze Związkiem Sowieckim i komunizmem”.

Drugi punkt krytyki p. Mękowskiego dotyczy naszego stosunku do Kraju i przemian jakie tam zachodzą. We wstępie do pierwszego krajowego numeru „Kultury” stwierdziliśmy co następuje: „Negatywny stosunek do wpływów, które dziś oddziałują na życie Polski, nie zawsze upoważnia do potępiania przemian w ukształtowaniu psychiki narodowej oraz życia kulturalnego, społecznego i gospodarczego, jakie są i będą rezultatem — między innymi — i tych właśnie wpływów”.

P. Mękowski sądzi, że „tego nie podobna inaczej rozumieć, jako aprobatę, lub co najmniej pogodzenie się „na zawsze” z pewnymi wpływami, które w życiu polskim utrwalił okupant rosyjski”.

Nasz krytyk załamuje ręce i woła, że... „redaktorzy przedmowy zachęcają, aby nie zawsze potępiać przemiany w ukształtowaniu psychiki narodowej (w Kraju)”.

Wbrew oburzeniu p. Mękowskiego nie tylko zachęcamy, ale nawet kategorycznie się przeciwstawiamy potępieniu w czambuł przemian w kształ-

towaniu się psychiki narodowej w Kraju. Już lata okupacji niemieckiej spowodowały przełom, a coś dopiero mówić o siedmiu latach okupacji sowieckiej. Trzeba być pozbawionym wyobraźni i zdolności wczucia się w nurt życia własnego narodu — by powątpiewać w fakt, iż pewne przemiany zachodzące w Kraju mają charakter nieodwracalny i to bez względu na to czy Emigracja piórem p. Mękarskiego, wyrazi na nie swą aprobatę czy też nie.

Nie wszystkie z tych przemian — choć wywodzą się genetycznie z akcji sowieckiego okupanta — są godne potępienia. Jest rzeczą charakterystyczną, że nie Polak, ale czeski uczony Jiri Kolaja z Cornell University (USA) pierwszy zwrócił uwagę, iż fakt przesiedlenia na Śląsk i Ziemię Odzyskaną 6 milionów Polaków wywrze — wcześniej czy później — potężny formacyjny wpływ na polski charakter narodowy. Jest rzeczą oczywistą, że przesiedlenie kilku milionów Polaków z rolniczego wschodu Kraju na uprzemysłowione ziemie zachodnie musi z czasem silnie zaważyć na przemianach w psychice narodowej i nie ulega wątpliwości, że będą to przemiany korzystne.

Tyle co do meritum sprawy. Odnosnie owego „aprobowania” to sądzimy, iż przez ubiegłe 13 lat zaszły w Polsce tak różnorodne zmiany, że nikt z nas na emigracji nie wie jakie są wyniki tej narzuconej rewolucji. Tylko w jednej sprawie możemy mieć pewność rzetelnej, autentycznej łączności z Krajem tj. w akcji zmierzającej do odzyskania niepodległości. Natomiast we wszystkich innych sprawach wskazana jest wielka ostrożność w aprobowaniu czy potępieniu i w frazesowiczowskim londyńskim wyrokowaniu, że „Kraj tak chce”, czy „Kraj tego pragnie”. Kraj pragnie wolności, ale czego będzie pragnął na drugi dzień po uwolnieniu tego ani Zespół „Kultury” ani nawet sam p. Mękarski nam nie powie.

„NIESZCZĘŚCIE DZISIEJSZEGO ŚWIATA”

Autor kryjący się pod literami J.P.H. na łamach nieocenionego „Orla Białego” (nr 526/7) pod powyższym tytułem zamieścił notatkę, w której czytamy między innymi — następujące światłe uwagi o twórczości Bertranda Russella: „Jego filozofia polega trochę na pisaniu na efekt; jest tu bliskim krewnym Shaw’a i Aldous’a Huxleya. Może się śmieje tylko z ofiar swych powiedzeń pisanych „pour epater le bourgeois”, a branych tak poważnie... nawet i przez polskich publicystów w pewnym miesięczniku wydawanym w Paryżu”.

Można nie czytać Bertranda Russella. Można nie wiedzieć, że jest laureatem nagrody Nobla — można również nie wiedzieć, że jego „History of Western Philosophy” uważana jest powszechnie za pomnikowe dzieło prozy angielskiej stulecia. Można także nie znać „The Perennial Philosophy” Aldous’a Huxley’a — mimo, że zdaniem piszącego te słowa jest to jedna z najgłębszych i najpiękniejszych książek napisanych po angielsku. Nie wątpię ani Huxley, ani Russell nie są pisarzami dla pół-inteligentów.

Jest natomiast rzeczą całkowicie niezrozumiałą popisywanie się ignorancją i nieuctwem. Jest objawem wprost zastrasającym podnoszenie ciemnoty do rangi narodowej cnoty, jak czyni to „Orzeł Biały”.

Pan J.P.H. z ignorancją pewnością siebie wypisuje bezsensowne poglądy o twórczości B. Russella, a nie umie nawet poprawnie napisać nazwiska wielkiego filozofa. W omawianej notatce nazwisko pisarza występuje trzykrotnie i za każdym razem napisane jest przez jedno „l”. Redaktor „Orla Białego” winien doradzić swemu koledze p. J.P.H. by swą... karierę literacko-krytyczną rozpoczął od przyswojenia sobie zasad poprawnej pisowni nazwisk czołowych współczesnych pisarzy.

LONDYN CZYK

Nauka idzie w las

Należy żywić nadzieję, że admirał Kirk, nowy dyrektor amerykańskiego Urzędu Strategii Psychologicznej, przyniesie z sobą świeży zapas energii. Prawdopodobnie i świeże oceny. Co prawda, chodzi nie tyle o to, aby oceny były świeże, ile o to aby były słuszne. A nie zawsze bywały. Strategia to wprawdzie amerykańska, ale jej terenem jest cały świat. A więc i my.

Jest zatem sposobność do powtórzenia kilku prawd oczywistych i znanych. Wysiłek, zdawało by się, niepotrzebny. Ale tylko pozornie. Bo doświadczenie uczy, uczy bezustannie, że prawdy oczywiste przyjmuje się czasem najmniej chętnie. Z różnych powodów, a najczęściej dla tego, że bywają one przykre lub niewygodne.

Tak up. Nieprzyjemnie jest przyznać, że propaganda antykomunistyczna, kierowana z Zachodu do krajów tzw. satelickich, trafia dosyć często jak kula w plot. Przyczyna — błąd w ocenie.

Błąd polegał na tym, że zbyt nisko się przejęto tzw. globalnością niebezpieczeństwa komunistycznej doktryny, a zapomniano o żyjących ludziach. I okazało się, że komunizm zwyciężył tylko tam, gdzie go narzuciły rosyjskie bagnety, przy walnym zresztą współudziale i oklaskach Zachodu. I to właśnie tam, gdzie komunistów było najmniej. Natomiast w krajach, których nie objął zalew rosyjski, komunizm wprawdzie nie zwyciężył, ale ma wielu szczerych wyznawców i wciąż stanowi poważne niebezpieczeństwo.

Gdy więc na Zachodzie rządy zdały sobie sprawę z powagi tego niebezpieczeństwa u siebie w domu, rozpoczęła się praca nad uświadamianiem własnych społeczeństw. Przede wszystkim trzeba było „odkręcić”. To jest — trzeba było przyznać się wobec własnych narodów, że wszystko co się przedtem, podczas wojny, mówiło o „wielkiej demokracji Wschodu”, było na przódce skleconą propagandową tandetą. Trzeba było powiedzieć całą prawdę o Rosji. Kolumbia, tym razem, pożeglował do ZSSR.

Biurokratycznie, idąc po linii najmniejszego oporu, zastosowano tę samą metodę do krajów, w których ludzie wiedzieli o tym wszystkim od dawna, co więcej, odczuli to na własnej skórze. Teraz i oni z kolei zaczęli otrzymywać doniesienia o odkryciu, że „Stalin okazał się niedobry”. Cóż mogli myśleć ci ludzie? Myśleli i mówili tak: „Wiemy, wiemy, drodzy Panowie, właśnie o tym samym próbowaliśmy Was przekonać od początku. Jeżeli chodzi o nas — to już jest trochę zbyt późno. No, ale co właściwie chcecie z nami zrobić?” Na to pytanie, rzecz jasna, nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Więc niejeden po prostu machnął ręką na te nauki: „umarłemu kadzidło”.

Proszę porozmawiać z uchodźcami z Polski. Ludzie to przeważnie młodzi, powojenni. Cóż myślą o komunizmie? To samo co o imperializmie rosyjskim. Myślą i mówią, że jest to coś obcego, coś czego nienawidzą i co zostało im przemocą narzucone. Proszę ich zapytać ilu jest w Polsce „prawdziwych” komunistów. Odpowiedzą, że tyłu, ilu ich jest „na posadach”, a i z tych większość nie jest pewna. Może ci najmłodsi, kiedyś, uwierzą. Ale to sprawa przyszłości. Dziś jeszcze nikomu by się tam nie śniło powtarzać na serio, bez przymusu, tych wierutnych bajek, jakie przez całe lata wypisywali przemądrzały mentorowie z Zachodu (służę przykładami).

Innymi słowy: walka z komunizmem, walka z imperializmem morskim, jest na Zachodzie przede wszystkim sprawą uświadamiania społeczeństwa, ale za żelazną kurtyną jest przede wszystkim sprawą siły. Prze-

de wszystkim — bo wprowadzić i tu i tam te sprawy wiązać się z sobą i warunkują się wzajemnie — ale w innych, w zupełnie innych proporcjach.

Stąd wniosek taki: jeżeli ludzie, którzy się zajmują psychologiczną strategią, pragną, aby ich tam, po drugiej stronie, słuchano bez wzruszania ramionami, to niechże mówią nie tyle o tym co myślą o Stalinie, ile o tym co zamierzają zdziałać, aby się przyczynić do usunięcia zła. Bagatela! To właśnie najtrudniejsze. Ktoś już powiedział: „A” — „B” jeszcze nie było.

Ale przypuśćmy, że kiedyś ktoś powie i „B”. Trzeba jeszcze, aby ludzie w to uwierzyli. A więc sprawa — zaufania. Ważna sprawa.

Z tym naprawdę jest źle. Zaufanie zostało w dużej mierze zniszczone, a dzieło jego odbudowy jest jeszcze przed nami. Za kilkanaście lat byłoby może łatwiej, bo ludzie by zapomnieli. Jeszcze nie zapomnieli.

Pamiętają, jeszcze jak pamiętają! — że nie tych wcale nagrodzono, co się najbardziej „wysilali”. Przeciwnie. Lepiej się dzisiaj dzieje tym właśnie, co brali sobie sprawy lekko i popłynęli z prądem, albo i nawet tym, co psuli. To nie są rekryminacje, ale „state of mind”. Czy można się dziwić, że niejednemu brak wiary, aby powtórzyć ten eksperyment jeszcze raz? Można, oczywiście, przytoczyć szereg argumentów na wytłumaczenie: geografia, koniunktura itp. Ale w położeniu, w jakim się znajdują „tamci” — na dobrą sprawę: cóż im z tego?

Niwelującemu, miazdzącemu walcowi sowieckiego terroru przeciwstawiamy z Zachodu ideę dobrowolnej, międzynarodowej współpracy. Jest to wielka i piękna idea. Ale skompromitowana jeszcze raz, a więc kulawa. Jej symbolem jest dzisiaj Organizacja Narodów Zjednoczonych z Rosją Sowiecką w Radzie... Bezpieczeństwa. Zapewne, jest z taktycznych względów rzeczą wygodną, aby Rosjanie nadal to bezpieczeństwo gwarantowali w ONZ. Ale ktoś zechce umierać dla taktyki? Zapewne, idea wolnej i zjednoczonej Europy jest wielką i piękną ideą. Ale czy naprawdę ktoś wierzy w to, że entuzjazm ogarnia ludzi, gdy dzwon wolności bije z Berlina? Zapewne, idea współpracy międzynarodowej czyni stopniowo postępy. Ale czyż nie jest również prawdą, że ci sami, co ją głoszą, prowadzą tzw. politykę ograniczonych celów państwowych?

Nie jest to zarzut, biorąc rzecz ściśle, bo kto wie czy można postępować inaczej. Przemiany międzynarodowe nie wyskakują nagle, jak Minerva z głowy Jowisza, ale przychodzą jako wynik długiego ciągu wydarzeń. Może dziś jeszcze interesy wielkich państw, które życie rozszerza stopniowo, może wspólnoty narodowe czy bliskich sobie narodów, czy wspólnoty językowe są jedynie uchwytne, może stanowią jedynie konkrety, na których można budować dzisiaj, od razu, zanim się przejdzie do następnego etapu. Ale w takim razie to samo obowiązuje i po tamtej stronie.

„Ludziom stamtąd” przedstawiamy prawdziwy, a dla nich bajeczny i wspaniały, obraz życia obywateli w zamożnych krajach Zachodu. A „ludzie stamtąd” (tak powiedział mi któryś z uchodźców) słuchają i mówią: „Cóż nam przyjdzie z tego, że w Ameryce wszyscy mają elektryczne lodówki?” Czy ktoś będzie szedł na śmierć z wizją dalekiej, elektrycznej lodówki? Co najwyżej ucieknie, aby być bliżej tych nowoczesnych urządzeń. I tak się dzieje. I na tym koniec.

Nie tak dobrze nie działa na psychikę człowieka, który powoli zagłębia się w bagno, jak to, gdy ktoś z brzegu po prostu poda mu rękę. Jest to jeszcze jedna z prawd oczywistych, tak oczywistych, że wydaje się prawie nie z tego świata. A może...

„Bo gdyby nie ta wiara” — jak mówił historyk francuski — to chyba nie warto byłoby mieć dzieci”.

BERLINCZYK

Najnowsza historia Polski

Wspomnienia z Budapesztu

Po katastrofie wrześniowej napłynęła na Węgry fala Polaków w ilości ok. 50 tysięcy osób, w tym do 40-stu tysięcy wojska i około 10-ciu tysięcy osób cywilnych. Uchodźcy ci doznali, zarówno ze strony rządu i podległych mu władz jak i ze strony społeczeństwa, wyjątkowo serdecznego przyjęcia i opieki, w granicach na jakie zezwalały możliwości finansowe i trudne położenie polityczne kraju. Granice te przekraczały jednakże miarę, którą można by stosować pomiędzy narodami pozostającymi w najlepszych nawet stosunkach sąsiedzkich.

Położenie uchodźstwa na Węgrzech w pierwszym okresie, tj. na jesieni 1939 roku i w zimie 1940 wydawało się w wielu wypadkach po prostu rozpaczliwe. Poselstwo R.P. nie otrzymało na cele pomocy żadnych środków. Dopiero w październiku nadeszła suma 8.000 dolarów z Ambasady w Paryżu. Była to kropla w morzu, zważywszy jakie kwoty wydawał delegat Rządu do spraw uchodźczych w następnym okresie, kiedy już zorganizowane były obozy, a liczba uchodźców ustawicznie malała. Stworzenie podstaw do zapewnienia bytu tej licznej rzeczy uchodźców zawdzięczaliśmy jedynie ofiarności społeczeństwa i rządu węgierskiego.

Pod wpływem opinii publicznej, zdając sobie zresztą sprawę z niebezpieczeństwa narażania się Niemcom, rząd, głównie dzięki stanowisku regenta Horthy'ego oraz premiera hr. Pawła Telekiego, wziął na siebie utrzymanie uchodźstwa w obozach wojskowych i schroniskach cywilnych, nadto postanowił wypłacać uchodźcom zapomogi pieniężne. Szeregowi i cywilni przebywający w obozach, otrzymywali po 20 filerów dziennie, tj. mniej więcej naszych przedwojennych 20 groszy dziennie. Oficerom wypłacano żold, a mianowicie: generałom 8 pengo dziennie, oficerom sztabowym 6 pengo, a pozostałym od kapitana w dół 4 pengo dziennie. Podchorążowie otrzymywali po 2 pengo dziennie. Strawa w obozach była oczywiście prosta, ale obfita i zdrowa. W tym względzie nie słyszałem nigdy żąd-

nych skarg. W swoim czasie obliczaliśmy koszty stąd wynikające na 100 tysięcy pengó dziennie.

Wzięcie tak znacznych ciężarów na siebie przez rząd węgierski nie załatwiło sprawy, gdyż potrzeba było poważnych sum na pomoc doraźną, tj. na zapewnienie uchodźcy utrzymania od chwili przejścia przez granicę aż do skierowania go do obcoz, a jeszcze większych sum na pomoc w odzieży, obuwiu i na zaspokojenie potrzeb kulturalnych, np. stworzenie i utrzymanie świetlic i bibliotek. Powstała więc myśl zorganizowania komitetu pomocy Polakom, która znalazła największe zrozumienie wśród wybitnych przedstawicieli społeczeństwa węgierskiego. Niestety, wkrótce okazało się, że stworzenie takiego komitetu jest niemożliwe z powodów politycznych.

Serdeczne przyjęcie Polaków przez społeczeństwo węgierskie wywołało od razu niezadowolenie Niemców, któremu Berlin dał wyraz przez swego posła w Budapeszcie. Zdecydowawszy się już od dawna na politykę rewizjonistyczną, czyli odbudowy wielkich Węgier przy pomocy Niemiec, rząd nie chciał zbytino drażnić ich manifestowaniem swej przyjaźni dla Polski. Dlatego też najprzejazniejszy dla nas i najszlachetniejszy premier Teleki, sprzeciwił się stworzeniu specjalnego wielkiego komitetu narodowego, natomiast proponował, by funkcje jego objęło istniejące już od dawna Towarzystwo Polsko-Węgierskie, do którego weszliby ludzie, pragnący zorganizować pomoc dla Polaków.

Przez pierwsze miesiące Towarzystwo Polsko-Węgierskie nio- sło cały ciężar pomocy doraźnej dla Polaków, zbierając na ten cel fundusze z ofiar osób prywatnych i przedsięwzięciach oraz korzystając z wydatnej pomocy finansowej rządu węgierskiego, premier Teleki bowiem udzielił Towarzystwu poważnej zapomogi z funduszy skarbowych. Akcja zbierania pieniędzy była bardzo utrudniona, gdyż dla wyżej już wspomnianych powodów, rząd węgierski nie pozwolił na otwarcie publicznych list składek. Fundusze trzeba było zbierać przez osobiste obchodzenie ofiarodawców. Równoznaczne to było z udzieleniem anonimowej pomocy, co liczny i szczodry ofiarodawcom przynosił tym większy zaszczyt.

Do najbardziej nieprzejednanej w stosunku do Hitlera warstwy społecznej na Węgrzech, należała arystokracja, która z tytułu tysiącletniego rządzenia państwem miała najsilniej rozwinięte poczucie niezależności, miała przyrodzony wstręt do porządku rzeczy wrogo etyce chrześcijańskiej i która będąc prawie całkowicie legitymistyczną, a priori była wroga Hitlerowi. Z natury rzeczy, miała też najsilniejsze tradycje związków polsko-węgierskich. Po powstaniach polskich, a szczególnie po powstaniu węgierskim w 1948 r. w którym brało udział tylu Polaków pod dowództwem generałów Bema i Dembińskiego każdy prawie dwór węgierski miał rezydenta Polaka. Regent Horthy opowiadał mi, że ojciec jego miał też "swego Polaka". Dlatego

do pracy dla uchodźstwa polskiego zgłosiły się osoby pochodzenia przeważnie arystokratycznego, jakkolwiek nie brak było między nimi przedstawicieli i innych klas społecznych. Ze względu na ustrój wewnętrzny Węgier, ludzie ci byli najpożyteczniejsi, gdyż skutecznie mogli interweniować u swych krewnych, względnie przyjaciół lub znajomych, znajdujących się na wysokich stanowiskach rządowych. Tym niemniej przez pierwszy rok, Towarzystwo Polsko-Węgierskie do którego ludzie ci zapisali się już po wybuchu wojny, by służyć sprawie polskiej, było przedmiotem ataków, gdyż rzekomo "rządziły w nim same hrabiny". Ataki szły nie od samych uchodźców, lecz ze strony przedstawiciela Ministra Opieki Społecznej. Poszedł on dalej, od przysłowicowego zagładania darowanemu koniowi w zęby. Zagładał w zęby ofiarodawcy. Sprawiedliwość każe zaznaczyć, że w końcu i ów delegat przekonał się do działaności Towarzystwa. Ale trzeba było na to roku czasu. Nieznajomość warunków połączona z "besserwisserstwem" i ciasnotą umysłową spowodowały nieuzasadnioną krytykę, a wskutek tego hamowanie pożytecznej pracy i zdzieranie się ludzi.

Stosunek rządu węgierskiego do zagadnień pomocy Polakom był wynikiem ówczesnej polityki węgierskiej i polegał na lawirowaniu pomiędzy przyjaźnią dla narodu polskiego, a obawą przed Niemcami. Nawet ci Węgrzy, którzy byli przekonani od początku o końcowym zwycięstwie aliantów, twierdzili, że Węgrzy jako mały naród, musieli mieć na ogół jeden jedyny cel na oku, a mianowicie, przetrzymanie zawieruchy. Niemcy bowiem, kierowane przez nazistów, mogły w przeciągu paru dni zniszczyć niepodległość Węgier, a w przeciągu paru miesięcy podciąć w ogóle możliwość egzystencji Węgrów jako narodu. I, zdaniem ich, mogli to być uczynić niezależnie od końcowego rezultatu wojny. Przykład Polski podział odstraszał. Węgrzy twierdzili, że naród węgierski, trzykrotnie mniej liczny od narodu polskiego, nie wytrzymałby metod okupacji niemieckiej. Stąd też wszelkimi sposobami starali się nie dopuścić do niej, by przetrwać do końca wojny w posiadaniu własnej administracji. W imię też tych zasad ułożono stosunek do uchodźców polskich. Za fasadą oficjalną, często dla nas nawet nieprzyjemną, kryły się uczucia prawdziwej przyjaźni. Kiedy na przykład na skutek masowego i bardzo zwyczajem naszym nieostrożnego, bo nieukrywanego wyjeżdżania wojskowych naszych z Węgier do armii polskiej we Francji, wydano pod naciskiem Niemców iście drakońskie zarządzenia, uniemożliwiające na papierze wyjazd Polaków z Węgier, de facto patrzano przez palce na obchodzenie tych zarządzeń, a niektóre organy administracyjne, jak np. starostwa nadgraniczne, na skutek cichych instrukcji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pomagały żołnierzom polskim przy opuszczeniu granic Węgier. Do czasu wydania tych ostrych przepisów modus procedendi naszych organów ewakuacyjnych na Węgrzech polegał głównie na tym,

że parę wagonów trzeciej klasy pociągu idącego z Budapesztu na granicę jugosłowiańską, zajętych było, czasami wyłącznie, przez sztywnie siedzących "turyistów" polskich, ubranych zupełnie jednolicie w podobne ubrania, tego samego kroju i koloru i w takież cyklistówki. Niejednemu "turyście" wyglądały spod spodni buty z cholewami. Ku wielkiemu zdziwieniu pasażerów niejednokrotnie zdarzało się, że taki "turyista" zrywał się z siedzenia, jakby rażony piorunem i trzaskając obcasami odpowiadał na pytanie zadane mu przez tak samiutko ubranego innego "turyistę". Jednolitość ubrania, spowodowana była względem na oszczędność. Nasze władze wojskowe zamówiły w fabryce gotowych ubrań odzienie z tego samego materiału i jednakiego kroju, które przy wielkiej ilości wypadło, oczywiście, bez porównania taniej, niżby kosztowały różnorodne ubrania. W owe czasy ten sposób ewakuacji wydawał mi się bardzo nieostrożny. I w rzeczy samej, na skutek interwencji niemieckiej, wydano ostre przepisy wizowe dla Polaków. Obecnie myślę, że ograniczenia i tak w końcu zostałyby wprowadzone i dlatego możliwe jest, że przez stosowanie tego łatwego, a masowego sposobu, zdążono wywieźć z Węgier do Francji więcej ludzi niż dałoby się wywieźć, nawet w przeciągu dłuższego czasu, działając bardziej ostrożnie.

Usprawiedliwiając te wyjątkowe i bardzo dla nas nieprzyjemne zarządzenia, minister Csaky mówił mi, iż Niemcy przedstawili mu dokładne listy z nazwiskami, wojskowych polskich ewakuowanych do Francji. Przypisywał to "zdradzie wśród Polaków", na co zwróciłem mu uwagę, że w armii polskiej było dużo żołnierzy z mniejszości niemieckiej, którzy informowali poselstwo niemieckie. Csaky motywował dalej obostrzenia ogłoszeniem w Paryżu szczegółów o przejeździe przez Węgry gen. Sosnkowskiego. Pobyt na Węgrzech i wyjazd gen. Sosnkowskiego do Paryża w październiku 1939 roku był dobrane zachowany w tajemnicy w Budapeszcie. Generał, tym niemniej, odwiedził Regenta i wyjechał do Paryża za fałszywym paszportem.

Po wydaniu zarządzeń, na początku listopada, że Polacy muszą uzyskać wizy wyjazdowe z Węgier dla przekroczenia granicy, chwycono się innych sposobów. Ewakuacja trwała nadal, ale już przez "zieloną granicę". Jak wspomniałem władze nadgraniczne węgierskie współdziałały w tajemnicy. Tak że osoby prywatne, najczęściej panie, posiadające samochody przewoziły w nocy żołnierzy polskich na granicę, przebycie której w sposób nielegalny nie natrafiało na większe przeszkody.

Nie jest dokładnie wiadome ile wojska i cywilnych przybyło na Węgry, gdyż obliczenia zaczęto robić dopiero po zorganizowaniu obozów. Do początku października dużo ludzi zdążyło opuścić Węgry na własną rękę. Dnia 3-go października 1939 r. nasze organizacje wojskowe i Komitet Obywatelski obliczały ilość uchodźców na około 8.000 cywilnych, 5.000 oficerów

i 30.000 żołnierzy z podoficerami. Dnia 20 września 1940 r. stan w obozach wojskowych był następujący: 1436 oficerów, 65 chorążych, 120 podchorążych, 1560 podoficerów i 2421 szeregowych. Według kompetentnej opinii, z tej liczby do służby czynnej nadawało się jeszcze około tysiąca osób.

Żołnierze nasi nie natrafiali na przeszkody nie tylko w Jugosławii, ale nawet podczas przejazdu przez Włochy, które, choć sojusznik Niemiec, nie przeszkadzały w tworzeniu się armii polskiej we Francji. Posiadam list ambasadora Włoch w Długoszewskiego, który dnia 23 listopada 1939 r. pisał mi z Rzymu: "Minister Ciano zapewnił mnie, że władze włoskie nie będą przeszkadzały emigrantom polskim w przedostaniu się do Francji". Czy była to rycerskość w stosunku do narodu, który nawiedziło wielkie nieszczęście, a dla którego byli we Włoszech od dawna zakorzenione sympatie, czy też jeszcze jedno potwierdzenie, że Ciano w gruncie rzeczy, był Niemcom nieprzychylny, nie umiem powiedzieć. W każdym razie rzecz wydaje się godna zanotowania.

Tego rodzaju polityka rządu węgierskiego w stosunku do wychodźców wydawała się zupełnie jasna. Niestety, początkowo nie była ona rozumiana nawet przez inteligentnych uchodźców cywilnych i wyższych wojskowych polskich. Z jednej strony spotykali się oni na Węgrzech z nadzwyczaj serdecznym przyjęciem społeczeństwa, a z drugiej strony z niemożnością przeprowadzenia najsluszniejszych postulatów w dziedzinie prawnoformalnej. W tych warunkach, nic dziwnego, że oskarżano Poselstwo i mnie osobiście o niechęć do interweniowania w najsluszniejszych na pozór sprawach u rządu węgierskiego. Jako przykład podam pretensje do mnie i do pułkownika Emisarskiego, Attaché Wojskowego Poselstwa w Budapeszcie o to, że Węgrzy nie stworzyli mieszanych komisji polsko-węgierskich dla zdania i odbioru mienia i uzbrojenia wojska, które przekroczyło granicę. Już około 20 września byłem w tej sprawie osobiście u Ministra Wojny i na podstawie rozmowy tej byłem pewny, że rząd węgierski na stworzenie takich komisji nie zgodzi się. Tymczasem w październiku, a nawet jeszcze w listopadzie, przychodzili do mnie wyżsi wojskowi polscy z pretensjami, że nie zająłem się stworzeniem tych komisji. Nie pomogły nasze wyjaśnienia, że odmówiono spełnienia tego postulatu. Do dnia dzisiejszego nie jestem w stanie zrzucić jak sobie tłumaczono tę naszą rzekomą niechęć do przeprowadzenia tej prostej i słusznej sprawy, w niezataśnieniu której, przy największej wyobraźni czy podejrzliwości, nie mogliśmy mieć zgoła najmniejszego interesu. Tak było i w innych wypadkach. Rekrutacje w tych tak już dzisiaj odległych i drobnych sprawach do niczego nie prowadzą i jeżeli pczwalam sobie parę z nich tutaj przypomnieć, bez podania nazwisk, gdyż nie chcę nikogo urazić, to czynię to tylko dlatego, że są one ilustracją naszej wady psychologicznej, która tyle już nas kosz-

towała: nieliczenia się z rzeczywistością i możliwościami tam gdzie interesy nasze narodowe, a w szczególności osobiste, wchodzą w grę. Polak uważa, że każda krzywda wyrządzona jemu czy też narodowi winna być naprawiona. Tak być powinno, tymczasem historia i rzeczywistość uczy, że wcale tak nie jest i zapewne nie będzie, aż do nadejścia Królestwa Bożego na ziemi.

Otóż, zdarzyło się, że jeden z generałów przyszedł do mnie z następującą propozycją. Uchodźcy przywieźli z sobą pewne, skromne, tak się wyraził, sumy pieniężne w złotych, które, w wielu wypadkach, stanowiły całe ich życiowe oszczędności. Żaden bank nie chce wymienić złotych, a rząd wymienia po bardzo krzywdzącym kursie dziesięciu złotych za penga i to tylko do sumy tysiąca złotych. Temu stanowi rzeczy można z łatwością położyć kres, jeżeli pójdę do posła angielskiego i zażadam, by rząd angielski, jako sojusznik, zagwarantował wartość złotego. Po uzyskaniu tej gwarancji można będzie znowu zamieniać złotego po przedwojennym kursie, tj. złotego za penga. Byłem zaskoczony tym, że człowiek na stanowisku, które wymagało nieprzeciętnej inteligencji, nie zdawał sobie sprawy, że uzyskanie takiej gwarancji było zgoła niemożliwe. Nie pomogły żadne argumenty i mimo ich oczywistości, generał ów krzywdził mnie, opowiadając potem po Budapeszcie, że złoty stracił na wartości, bo "panu Posłowi nie chciało się iść do posła angielskiego". W rzeczy samej byłoby to bardzo karygodne lenistwo, bo poselstwo angielskie mieściło się tuż obok, na sąsiedniej ulicy. Nie przyszło mu do głowy, że gdyby rzecz była tak prosta, to zostałaaby już niewątpliwie podjęta i załatwiona przez licznych i kompetentnych przedstawicieli Skarbu w Bukareszcie i Paryżu. Ów, rzekomo krzywdzący dla nas, kurs złotego, po jakim Bank Narodowy Węgierski wymieniał go na pengi, był jeszcze jednym dowodem życzliwości rządu dla uchodźców. W ten sposób, rząd pragnął udzielić Polakom doraźnej pomocy w nieupokarzającej formie. Nie wiem czym tłumaczyć, że krytykom tego przyjaznego i, powiedzmy sobie szczerze, dobroczynnego zarządzenia nie przyszło tak proste pytanie do głowy: dlaczego nikt inny na Węgrzech nie chciał wymienić złotego po tym "krzywdzącym" kursie i dlaczego rząd dobrowolnie ograniczył ów "wyzysk" do 1.000 złotych, tj. do 100 penga od osoby? Poza tym były jeszcze argumenty czyśto rzeczowe, ale nie każdy mógł je zrozumieć, chociaż nawet stosunki kredytowe ze sklepikiem spożywczym już powinny były pozwolić na wyciągnięcie pewnych analogii i wniosków.

Najwięcej przykrości przysporzył mi następujący incydent. W Budapeszcie przebywała niewielka, w stosunku do liczby całości uchodźców, ale bardzo widoczna w mieście grupa, przeważnie młodszych cywilów, którzy lubili bardzo przebywać w nęcących kafeletach budapeszteńskich, sławnych zresztą na świat cały. W miarę jak wyczerpywały się środki, sprzedawa-

no samochody i w dalszym ciągu odwiedzano lokale nocne. Paru mych przyjaciół węgierskich zwróciło mi uwagę na to, że przesiadywanie Polaków po nocnych lokalach robi złe wrażenie w mieście, zważywszy, że wielu Węgrów utrzymuje lub składa ofiary na uchodźców polskich. Uwagi te wydały mi się słuszne i dlatego w naiwności mojej, korzystając z jakiegoś zebrania w Poselstwie, pozwoliłem sobie na powiedzenie, że Polacy, którzy posiadają jeszcze środki, powinni nader ostrożnie się z nimi obcho-dzić, a sprzedawszy samochody, oszczędzać pieniądze i nie trwo-nić ich w nocnych lokalach, co robi złe wrażenie na Węgrzech, a nadto jest wielce lekkomyślne, gdyż wojna może jeszcze po-trwać 3-4 lata zanim Niemcy zostaną pobite. Na drugi dzień za-wrzało. Pomyślałby kto, że to owi lekkomyślni samochodowicze oburzyli się na mnie, że się mieszam do nieswoich rzeczy i w tak stosunkowo młodym wieku prawie im kazania. Ależ gdzie tam! Właśnie skromni, zacni ludzie przypuścili atak. "To defetyzm, to podrywanie wiary! Jakto, dlaczego mamy siedzieć na Wę-grzech jeszcze 4 lata, kiedy Francuzi pobiją Niemców na wios-nę (1940 r.) i w maju będziemy z powrotem w Warszawie". I pocziwcom tym wcale nie przyszło do głowy, że to właśnie oni są, jeżeli nie defetystami, to pćmniejszycielami imienia polskiego na świecie. Jakaż bowiem musiała być armia polska, która w tak krótkim czasie została pokonana przez Niemców, jeżeli Francuzi za trzy miesiące mieli przejść przez Niemcy jak przez masło? Każdy człowiek, który znał odwagę, ofiar-ność i wytrzymałość żołnierza polskiego musiał być, zdawało-by się, wyciągnąć wniosek, że uległ on jedynie niepomierne-potęniejszemu przeciwnikowi. Niemcy nie były tedy tak łat-wym orzechem do zgryzienia. Zacny Paweł Super, dyrektor warszawskiej "Imki" odwiedził mnie, by ostrzec o reakcji z ja-ką spotkało się moje przemówienie samochodowe i by mnie zapewnić, że się myślę odkładając pobicie Niemców aż na czte-ry lata. Dobry ten człowiek, który tyle zrobił dla uchodźców jako szef Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom, działają-cej zarówno w Rumunii jak i na Węgrzech, tak nasiąkł pol-ską uczuciowością, że w ogóle nie dopuszczał do siebie myśli, że może "na wiosnę" nie będziemy mogli powrócić do Polski. Tak jak i naszych uchodźców, wcale nie interesowały go ra-cje, dla których robiłem taki pronostyk. Ale widać było, że przyszedł nie dlatego, by mnie mieszać błotem, ale po to, by mnie ostrzec przed robieniem dalszych głupstw. Oto na jakie manowce prowadzi podchodzenie do tego rodzaju zagadnień z piersią wezbraną uczuciami z przymieszką łezki patriotycznej i własnego materialnego interesu. Okulary uczuciowe, któreś-my sobie nałożyli nie pozwalają nam na liczenie się z możli-wościami istniejącymi w danej chwili. Jakże inaczej można bo-wiem wytłumaczyć sobie takie np. zdarzenie?

Jeden z generałów, człowiek zacny osobiście i najlepszy Po-lak, na moją uwagę, że rząd węgierski nie zgodzi się na załat-

wienie jakieś sprawy w sposób przez niego proponowany, ze szczerym oburzeniem zawołał: "Niech pan uderzy pięścią w i powie im, że się z nimi po wojnie porachujemy". Przyznam się, że nic nie odpowiedziałem. Pochyliłem głowę, mówiąc stylem Gombrowicza. Nie rozumiał, że uderzenie pięścią w stół, nawet w przenośni, uniemożliwiło by jakiejkolwiek możliwości interwencji mojej w innych sprawach, które przy dobrej woli Węgrów w taki czyn inny sposób udawało się przeprowadzić. Premier Teleki zawiadomił mnie prywatnie, że, niestety, nie będzie mnie mógł przyjmować. Od czasu też wyklarowania się sytuacji wojskowej w Polsce nie widziałem go ani razu. Innych jednak członków gabinetu widywałem w różnych sprawach. Miałem jednak zasadę od której nie odstępowałem. Osobiście interweniowałem jedynie w sprawach, które wydawały mi się możliwe do przeprowadzenia. Sądziłem bowiem, że nie należy narazić się na pierwszą odmowę. Dalsze już nie przedstawiały by trudności psychologicznej w wypadku, kiedy osobiste stosunki były dobre, a nawet przyjacielskie. Chodzenie więc ze sprawą beznadziejną byłoby zamykaniem, w najlepszym razie utrudnianiem sobie drogi w innych sprawach. Nie wszyscy chcieli to zrozumieć.

Dużo spraw dawało się załatwić przy pomocy interwencji Węgierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie wszyscy członkowie Poselstwa mieli dobre stosunki. Minister hr. Csaky był rewizjonistą par excellence i najmocniej był też przekonany o nieuchronnym zwycięstwie Niemiec. Jako szef gabinetu Ministra Spraw Zagranicznych Kolomana Knya'i, zupełnie niespodziewanie po nim objął tekę. Będąc stosunkowo młodym człowiekiem był pełen ambicji; koniecznie pragnął przejść do historii jako odtwórca Wielkich Węgier. Nie widząc na Zachodzie żadnej przeciwwagi dla Niemiec, odznaczał się on nie tylko uległością, ale nawet uniżonością wobec Hitlera, za co był krytykowany przez licznych swych ziomków, zresztą tak samo dążących do rewizji traktatów pokojowych z 1919 i 1920 roku. Myślał, że preponderancję Hitlera osłabi przez oparcie się o Mussoliniego, któremu też schlebiał jak mógł. Jeszcze wychowany w zasadach starej szkoły, nie był pozbawiony pewnej rycerskości i posiadał tradycje dawnej przyjaźni polsko-węgierskiej. Na prośbę Poselstwa kilkakrotnie po cichu pomagał u władz w sprawach uchodźców polskich. Nie przeszkadzało mu to inspirować najbardziej nieprzyjemne dla nas artykuły i wiadomości w Pester Lloyd, który był półoficjalnym organem M.S.Z.

Przez Regenta byłem przyjmowany do samego końca mego pobytu w Budapeszcie, tj. do stycznia 1941 roku. Regent był nam najbardziej oddany i najważniejszy w stosunku do Hitlera, o którym, jeszcze na długo przed wojną krytycznie wyrażał się w rozmowach ze mną, zachowując niezbędną w jego pozycji oględność form. Dwukrotnie, na skutek mych oso-

bistych u niego interwencji, wpłynął w sposób decydujący na zachowanie się rządu węgierskiego w stosunku do nas. I on też jednak musiał być wielce ostrożny i dlatego audiencje odbyły się w zupełnej tajemnicy, a to tym bardziej, że chodziło Regentowi o to, by nie dowiedział się o nich jego własny rząd. Zasadniczo bowiem posłowie nie mieli prawa być przyjmowani przez głowę państwa inaczej niż za pośrednictwem Ministra Spraw Zagranicznych. Moim pośrednikiem w tych zakonspirowanych wypadkach był zawsze szef Koncelarii Wojskowej Regenta, gen. Keresztes-Fischer. I tak na przykład, dnia 6 października 1939 r. na skutek mej z nim rozmowy poprzedniego dnia, otrzymałem pismo, dla ostrożności odręcznie napisane, które w tłumaczeniu z niemieckiego brzmi jak następuje:

"Jego Wysokość Pan Regent prosi Pana, Ekscelencjo, o przybycie na audiencję jutro, dnia 7 października o 18 godzinie (6-tej po południu) i to znowu w taki sposób, by nie było to widoczne (mit Vermeidung jeder Aufsehen).

"Pozwolę sobie zatem oczekiwać Pana jutro o godzinie 17-ej minut 45 przy północnym wejściu do Zamku Królewskiego, naprzeciwko budynku Prezydium Rady Ministrów, by Pana potem do Jego Wysokości przeprowadzić. Proszę Waszą Ekscelencję o dbanie, by zarówno Jego droga jak też i wejście do zamku nie wzbudziły uwagi".

"Z wyrazami mego szczególnego szacunku pozostaje szczerze oddany,

Witeż Keresztes-Fischer".

Chodziłem tedy piechotą z niezbyt oddalonej siedziby Poselstwa na Orszagház utca 13 do Zamku Królewskiego, gdzie Keresztes-Fischer oczekiwał mnie w bramie, używanej przez urzędników zamkowych i służbę. Był zawsze bez palta i czapki. Te audiencje, bez wiedzy rządu zapoczątkował Regent już przed wojną. Mam podobny list gen. Keresztes-Fischera, zapraszający na audiencję, tym razem z inicjatywy Regenta, na godzinę 17-tą minut 30, dnia 30 sierpnia 1939 r., a więc około 12 godzin przed wybuchem wojny. I w tym liście szef kancelarii Wojskowej pisze: "Na polecenie Jego Wysokości, proszę uprzejmie o audiencji tej nikomu nie wspominać". Że Regentowi, w tych wypadkach, nie tak znowu chodziło o Niemców, wskazuje fakt, iż stale, do końca mego pobytu w Budapeszcie zapraszał mnie na polowanie w Gödöllő, dawnej siedzibie letniej cesarza Franciszka Józefa. Jakkolwiek w naszym położeniu nie był to czas na polowania, to jednakże po naradzie z moimi kolegami, zaproszenia te stale przyjmowałem. Była to znakomita sposobność do zobaczenia różnych wysokich dygnitarzy i przeprowadzenia nieraz ważnej sprawy. Pamiętam, że na jesiennym polowaniu na bażanty i kuropatwy stałem na stanowisku obok Regenta. Miedzy jedną naganką a drugą, podeszedłem do Regenta i korzystając z tego, że w pobliżu nikogo nie było, zapyta-

łem się go wprost kto, zdaniem jego, wygra wojnę. Przyznając się, że było to bardzo niedyskretne pytanie. Regent nie okazał jednakże ani niezadowolenia ani zaambarasowania. Popatrzył na mnie przeciągle i po chwili powiedział: "Ten, kto będzie panował nad morzami". Było to trochę kryptyczne, ale z odpowiedzi tej byłem zadowolony, bo w przeciwieństwie do Regenta liczni członkowie rządu węgierskiego przekonani byli, że Niemcy muszą wojnę wygrać. Zupełnie nie brali pod uwagę możliwości pomocy amerykańskiej. Do nich należeli Minister Wojny, gen. Bartha, szef Sztabu Generalnego gen. Werth, wszyscy prawie czynni generałowie, Minister Spraw Zagranicznych Csáky, Minister Oświaty Homann.

Już na krótko przed zamknięciem Poselstwa, bo na 4 dni przedtem, zaprosił mnie Regent na doroczne polowanie na dziki, w dniu 26 grudnia 1940 r. Na polowaniu tym był też Premier Teleki, Minister Wojny Bartha, Arcyksiążę Józef i posłowie francuski, belgijski i szwajcarski oraz kilka innych osób. Wiadomo już było, że po zamknięciu Poselstwa postanowiłem opuścić Budapeszt, jakkolwiek rząd zapraszał mnie do pozostania, a Regent przez przyjaciela mego Karola Szechenyi'ego proponował bym pozostał jako jego gość z tym, że pobierałbym stałą pensję, aż do zawarcia pokoju. Regent w bardzo miły sposób starał się odwieść mnie od tej decyzji. Premier Teleki, którego w 1940 r. zobaczyłem po raz pierwszy, sumitował się, że nie mógł mnie widzieć i zapewniał o swej niezmienniej przyjaźni dla Polski i przychylności dla uchodźców. Kiedy nikt nie mógł słyszeć Arcyksiążę bardzo się brzydko wyrażał o Hitlerze. Jedynie Minister Bartha nie wszczywał ze mną rozmowy, bo wiedział, że mogłem mieć do niego pretensje o różne sprawy.

Również najszczerzej nam życzliwy był Premier hr. Paweł Teleki. Jako szef rządu uważał za swój obowiązek być bardzo ostrożny i, zewnątrz, bardziej politycznie, a nie uczuciowo, nastawiony do Polaków. Z tego powodu rząd jego wydał cały szereg bardzo nieprzyjemnych dla nas zarządzeń, które jednak były ustawicznie obchodzone. Kilkakrotnie dochodziły mnie słuchy, że Premier skarżył się na brak zrozumienia jego polityki ze strony polskiej, a nawet na niewdzięczność.

Z polecenia Premiera opiekę nad uchodźcami sprawował Minister Spraw Wewnętrznych, Keresztes-Fischer, rodzony brat szefa Kancelarii Wojskowej Regenta, również jak tamten, dla Polaków przychylny. Tylko jego osobistemu stanowisku zawdzięczamy bardzo nam przyjazne nastawienie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w którym stworzone zostało specjalne biuro dla opieki nad uchodźcami cywilnymi. Na czele tego biura stanął dr Józef Antall. Jemu to zawdzięczali uchodźcy polscy dużą swobodę osobistą i ludzkie traktowanie. Sprzeciwiał się on od początku tworzeniu dla Polaków obozów izolacyjnych i mimo nacisku umiał stanowisko swe obronić. Poza tym p. Antall ułatwił nam w znacznej mierze ewakuację wojskową, rozmieszczając, na

naszą prośbę, obozy nad granicą jugosławiąską. Jakkolwiek obozy wojskowe nie podlegały Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, to jednakże rozmieszczenie ich wewnątrz kraju było w jego kompetencji. Dr Antall udzielił też władzom lokalnym tajnej instrukcji by z zachowaniem należytej ostrożności, zbytnio ewakuacji nie przeszkadzały. Ze strony organów policyjnych, rejestrację i kontrolę uchodźców, oczywiście cywilnych, przeprowadzał komisarz policji dr Borsiczky, władający biegle językiem polskim i znający Polskę z racji polsko-węgierskiej współpracy harcerskiej, w której brał czynny udział. Pan Borsiczky wziął sobie do pomocy, jako urzędników, paru Polaków, którym pozostawił dużą swobodę działania, dzięki czemu mieliśmy możliwość załatwienia różnych spraw, które przy rygorystycznym stosowaniu przepisów w ogóle załatwić by się nie dały. Należy też wymienić tu p. Pasztóy, szefa Urzędu Kontroli Cudzoziemców, który w sprawach wizowych i pozwoleń na pobyt wykazał dużo dobrej woli.

Stosunek węgierskich władz wojskowych do internowanych żołnierzy polskich wywoływał z naszej strony wiele zastrzeżeń i skarg. Chcąc zachować należyty obiektywizm pamiętać jednak należy, że prawo międzynarodowe w sposób zupełnie wyraźny i szczegółowy określa przepisy odnośnie do internowania wojsk jednej z wujujących stron, widoczne łamanie których byłoby aktem wrogim w stosunku do Niemiec. Słyszało się jednakowoż ustawicznie: "A co tam przepisy prawa międzynarodowego. Węgrzy nie powinni tego nam robić". Tymczasem Węgrzy musieli stwarzać przynajmniej pozory, że czynią wszystko, by przeszkodzić ewakuacji internowanych do Francji, po to by się dalej bili z Niemcami. Dzisiaj jest jasne chyba, że gdyby rząd węgierski chciał naprawdę ewakuacji przeciwdziałać, to nie byłoby zgoła możliwe wywiezienie z zamkniętych obozów wojskowych, niby to strzeżonych przez warty, przeszło 30 tysięcy ludzi. Niewątpliwie u naczelnych władz wojskowych, a więc u Ministra Honwedów (Wojny) gen. Barthy i szefa Sztabu, gen. Wertha, współpracujących ściśle z Niemcami, znaleźliśmy mało zrozumienia dla naszych dążeń. Bez wątpienia było także sporo młodych oficerów węgierskich, znajdujących się pod wpływem hitleryzmu. Niejeden komendant obozu był rygorystą i nie szedł nam na rękę, z drugiej jednak strony ogromna większość oficerów węgierskich szczerze troszczyła się o stan materialny i moralny podległego im obozu, niejednokrotnie nawet ułatwiając, w okresie pierwszych miesięcy ucieczki. Internowani żołnierze polscy podporządkowani byli bezpośrednio 21-emu Oddziałowi Ministerstwa Honwedów, na czele którego stał pułkownik Ballo; jego stosunek do Polaków był życzliwy.

Na zakończenie tej części pragnę nadmienić, że Poselstwo R.P. technicznym przeprowadzeniem ewakuacji nie zajmowało się. Była to rola specjalnego biura, Poselstwu nie podlegającego. Poselstwo interweniowało jedynie w sprawach natury zasadniczej.

Jakkolwiek stosunki polsko-węgierskie były od wieków najlepsze, to jednakowoż przyjęcie Polaków na Węgrzech przez społeczeństwo było naprawdę nadspodziewanie serdeczne. Nie sposób tu wymienić wszystkich osób, które na własną rękę i z własnej inicjatywy starały się przyjść z pomocą Polakom. Muszę się ograniczyć do wymienienia nazwisk tych osób, które w sposób zorganizowany poświęciły się temu zadaniu. Osoby te od początku skupiły się w Komitecie Pomocy Uchodźcom, który powstał przy Towarzystwie Polsko-Węgierskim w Budapeszcie. Członkami Komitetu były same panie z wyjątkiem jego Sekretarza Generalnego pana Tomasza Salomon-Racz. Na czele Towarzystwa Polsko-Węgierskiego stał, już od lat, młody człowiek, energiczny i wielce nam oddany hr. Karol Széchényi, znany w Polsce z powodu swych kilkakrotnych misji w różnych sprawach dotyczących współpracy polsko-węgierskiej. Za jego to prezesury, w pierwszym i najtrudniejszym okresie, zorganizowany został Komitet Pomocy Uchodźcom, pod przewodnictwem hr. Józefowej Karolyi. Hr. Széchényi położył duże zasługi, w szczególności przez wystarania się o fundusze na akcję dla uchodźców, zarówno od rządu węgierskiego, jak też w kołach finansowych i przemysłowych, gdzie miał duże stosunki, jako dyrektor Stowarzyszenia Cukrowni Węgierskich. W krótkim jednak czasie po wybuchu wojny ustąpił z prezesury Towarzystwa Polsko-Węgierskiego, oddając je w ręce hr. Karolyi, która, jak już wspominałem, była przewodniczącą Komitetu Pomocy Uchodźcom. Ponieważ wiadome było, że agenci niemieccy obserwowali działalność Towarzystwa i jego Komitetu, więc zapewne zdecydowano, by nie ekspozować niepotrzebnie hr. Széchényi'ego, skoro i tak cała działalność Towarzystwa Polsko-Węgierskiego podczas wojny sprowadzała się do niesienia pomocy Polakom na Węgrzech, czyli spadła na barki Komitetu, a więc hr. Karolyi. Sądzone zapewne, mimo nadchodzących wieści o okrucieństwach w Polsce, że Niemcy mieliby większe względy dla kobiet.

Wice-przewodniczącą Komitetu (nie Towarzystwa) była ks. Klara Odeschalchi-Andrassy. Po wypowiedzeniu wojny przez Węgry Aliantom, nie chciała zaryzykować pozostania w Budapeszcie i uciekła do Belgradu, gdzie została zabita przez bombę. Najbardziej czynnymi członkiniami Komitetu były następujące panie: hr. Elżbieta Szapary (matką jej była hr. Przeździecka, siostra dwu mych kolegów z M.S.Z.), pani Salamon-Racz, pani Sacellary i baronowa Zeyk. Ponadto spośród tych, które pracowały w okresie pierwszych paru miesięcy, w czasie najbardziej gorącym, należy wymienić hr. Ilonę Andrassy (matka hr. Chołojewska z Wiednia) hr. Karolową Széchényi, hr. Dessewffy, bar. E. Weiss i margrabinę Pallavicini.

W związku z działalnością Komitetu na specjalne wyróżnienie zasługuje jego Sekretarz Generalny p. Tomasz Salamon-Racz. On również od pierwszej chwili poświęcił się całkowicie pracy dla spraw polskich, porzucając swój zawód inżyniera. Oddał on

nam nieocenione usługi. Był, jak wspominałem, jedynym mężczyzną w Komitecie i prawdopodobnie dlatego został aresztowany i badany na żądanie posła niemieckiego. Zdziałał wiele przy ewakuacji wojskowej, organizując obozy, a potem punkty przerzutowe na granicy jugosławiańskiej, nadto bez końca interweniował w sprawach aresztowanych Polaków, często przy pomocy wpływów syna Regenta, Stefana Hothy'ego. Wszystkim tym osobom, a także wielu, wielu innym, których nazwisk nie pomijam lecz po prostu nie pamiętam, należy się nasza wdzięczność.

O ile tedy zachowanie się społeczeństwa węgierskiego w stosunku do Polaków nie było dwuznaczne, przeciwnie było manifestacyjnie przyjazne, o tyle w zachowaniu się rządu widoczna była dwutorowość. Poszczególni jego członkowie, jako Węgrzy, przeważnie najlepiej do nas byli usposobieni, z drugiej strony jednak wchodziły w grę interesy państwa, dobrze czy źle pojmowane, ale w ich mniemaniu nakazujące im konieczność zachowania największej ostrożności w stosunku do Niemców. W związku z tym chcę tu omówić okoliczności związane z zamknięciem Poselstwa R.P. w Budapeszcie.

Węgry były państwem rewizjonistycznym i jako takie oparły swą politykę o Niemcy, kraj przede wszystkim zainteresowany w rewizji traktatów zawartych po pierwszej wojnie światowej. Jednak jako naród, Węgrzy wcale nie byli filoniemcami, a do nazizmu czuli wprost odrazę. Udział Rosji w napadzie na Polskę, klęska Polaków i zupełna obojętność sojuszników Polski, zostały przyjęte jako cios, który wywołał najwyższe zaniepokojenie o dalsze losy Węgier. Rozumiano tam też bardzo dobrze niebezpieczeństwo rosyjskie. Nauki wynikające z wojen bałkańskich, prowadzonych przez Rosję i z wypadków roku 1848 nie poszły w las. Wciągnięcie więc Rosji, a szczególnie Rosji komunistycznej do Europy Środkowo-Wschodniej przez Hitlera, powitane było z daleko idącymi zastrzeżeniami i odrazą. Regent poczytywał za zbrodnię anty-europejską kumanie się Hitlera z komunistami i przypisywał możliwość takiej polityki "szumowinom", które doszły do władzy w Niemczech. Z rozmów wynikało, że niebezpieczeństwo rosyjskie wyraźnie widzieli też tacy politycy jak hr. Bethlen, hr. Teleki, Tibor Eckhardt, Koloman Kanya, it.d.

Alians Hitlera ze Stalinem i spisek ich przeciwko Polsce nie był jednakże całkowitą niespodzianką dla paru ludzi, trzymających w ręku losy Węgier. Mam niezbity dowód, że już w maju 1939 roku Premier Teleki wiedział o "rozmowach, idących w Moskwie w sprawie rozbioru Polski". Starał się nawet nas o tym uprzedzić, ale w sposób bardzo pośredni. Węgierscy politycy, najwyższego eszelonu, musieli dawać wyraz swym zastrzeżeniom co do Rosji w Berlinie. Na potwierdzenie tego mam następujący fakt. Już 4 października 1939 roku, ówczesny Minister Spraw Zagranicznych hr. Stefan Csáky w rozmowie ze mną w szerokich wywodach przewidywał pokłócenie się Niemiec i Rosji. Ponieważ

nie mogę go posądzać o tak daleką dalekowzroczność polityczną, więc byłem wówczas i jestem dzisiaj raczej skłonny przypuszczać, że opierał się on na informacjach ze źródeł niemieckich i na oznakach na niebie, które na Węgrzech człowiek w jego położeniu mógł obserwować. Csáky bowiem właśnie niedawno powrócił z wizyty w Głównej Kwaterze Hitlera w Polsce, gdzie parokrotnie, jak mi mówił, rozmawiał nie tylko z Ribbentropem ale też z Hitlerem. Ponieważ Csáky był człowiekiem bardzo sprytnym, więc nawet gdyby nie otrzymał wprost pewnych wskazówek co do przyszłej polityki, to z różnych odezwań się czy to Hitlera czy też prawdopodobnie swego kolegi po fachu, mógł wyciągnąć pewne wnioski. Jakkolwiek rozmowa nasza na początku miała ton nieprzyjemny, gdyż Csáky powtarzał krytyki niemieckie w stosunku do armii polskiej, między innymi nazywając dziecinstwem atak konnicy polskiej na tanki niemieckie, to jednakże, mówiąc o możliwości konfliktu niemiecko-rosyjskiego, zmienił ton i z bliskiem w oczach występował jak człowiek, który przyniósł dobrą nowinę. Wątpię by jego świadomość, że jego prognozyki opierają się wyłącznie na własnych kombinacjach politycznych, mogły go tak optymistycznie usposobić. O rozmowie tej doniosłem rządowi do Paryża i wyraziłem opinię, że jest ona zapewne odbiciem poglądów niemieckich.

W jednej z rozmów Regent powiedział mi, że różne żądania niemieckie w stosunku do sztabu węgierskiego wskazywałyby na to, że Hitler pragnie zabezpieczyć sobie prawe skrzydło, z czego wynikało by, iż stosunki niemiecko-rosyjskie już wówczas nie były tak dobre jak się to publicznie przedstawiało. Jak już dzisiaj wiemy z całą pewnością, wyprawa Hitlera na Bałkany była dalszą częścią jego zabiegów o zabezpieczenie sobie prawego skrzydła tj. od strony Rosji. Csáky i Churchill w tej sprawie byli więc jednakowego zdania. Obaj opierali się zapewne na dobrych informacjach jakie mieli w swym posiadaniu.

W mocy Hitlera leżało wówczas albo zgnieść Węgry, albo też ewentualnie zaspokoić roszczenia rewizjonistyczne Węgier. Stąd polityka rządu węgierskiego. Csáky wykonując tę politykę, posuwał się niewątpliwie zbyt daleko w swej uniżoności i w pochlebstwach. Stosował np. takiego rodzaju chwyt. Po upadku Polski sprowadził sobie egzemplarz "Mein Kampf", kazał go kosztownie oprawić i posłał go przez Ribbentropa Hitlerowi z prośbą o dedykację. Uzyskałszy autograf, jak mi mówiono, pokazywał ten egzemplarz w tych wypadkach kiedy wiedział, że wiadomość o tym może przesiąknąć do poselstwa niemieckiego, albo wprost do Ribbentropa czy Hitlera. W innych wypadkach tego rodzaju był on więcej irytujący niż zabawny. Tak np. zaraz po zajęciu Gdyni przez Niemców w Pester Lloyd, organie Ministerstwa Spraw Zagranicznych ukazała się depesza datowana z "Gdyni", lecz z "Gdingen", chociaż do tego czasu gazeta ta używała stale polskiej nazwy Gdynia. Zmieniono nazwę na podstawie instrukcji ministerstwa.

Z równą gorliwością i przy pomocy podobnych sztuczek wykonywał on też politykę rządu w stosunku do Włoch, a raczej Mussoliniego. Polegała ona na szukaniu przeciwwagi, jeżeli chodzi o Niemcy, we Włoszech. I kto wie czy polityka ta nie przyniosłaby owoców, gdyby nie wiekopomne głupstwo, które zrobił Mussolini, napadając, nieproszony, na Francję. Wmieszanie się Włoch do wojny wywołało przygębienie wśród polityków węgierskich. Po wypowiedzeniu wojny Aliantom przez Włochy, Węgry znalazły się całkowicie w orbicie Osi. Przyszła kolej na inną nieprzyjemną dla Węgrów sprawę.

Już 28 października 1939 roku Wiceminister Spraw Zagranicznych, Vernloe, który nie tylko rozumowo, ale uczuciowo był przychylny Niemcom, w czym, zdaje się był wyjątkiem w M.S.Z., bo nawet Csáky, w gruncie rzeczy odgrywał tylko swą rolę i do Niemców nie miał całkowitego zaufania, powiedział mi, że poseł niemiecki zapytywał o wyjaśnienia sytuacji poselstwa polskiego w Budapeszcie, które, zdaniem jego, nie reprezentowało już wówczas żadnego rządu. Od pytań Niemcy przeszli do żądań. Natrafili jednak na opór Regenta, który o sprawie musiał być poinformowany, jako że posłowie byli akredytowani przy jego osobie, a nie przy rządzie Królestwa. Csáky widocznie uważał, że trzeba coś dla Niemców zrobić, gdyż znowu Verloe w rozmowie ze mną wystąpił z żądaniem skasowania przy poselstwie stanowiska Attaché Wojskowego. Było to na początku maja 1940 r. Motywował to tym, że płk. Emisarski zajmował się nielegalnym wywożeniem naszych żołnierzy do odbudowywującej się armii polskiej. Dałem jakąś wykrętną odpowiedź, której już dzisiaj nie pamiętam i sprawa wlokła się prawie do końca roku. Doszło do tego, że zaczęto szykanować płk. Emisarskiego zupełnie otwarcie: podsłuchiowano jego telefon, ale tak, żeśmy o tym wiedzieli, legitymowano odwiedzających jego biuro, a nawet urządzono tam rewizję. W końcu musiał on wyjechać.

W międzyczasie jednak Niemcy ciągle nastawali na zamknięcie w ogóle konsulatów i Poselstwa. Ponieważ konsulatory, mógł zamknąć rząd bez wiedzy Regenta, więc notą z dnia 19 lipca 1940 r. Csáky zawiadomił mnie, iż "na posiedzeniu w dniu 9 lipca br. Rada Ministrów Węgierskich postanowiła zlikwidować konsulatory polskie, działające prowizorycznie na Węgrzech". W rozmowie ze mną Csáky wyjaśnił, że rząd nie miał innego wyjścia, ponieważ Niemcy przedstawili dowody kompromitujące: fałszywe paszporty, masowo wystawiane przez Konsulat w Budapeszcie, donosy, że w konsulacie mieściło się biuro zajmujące się sprzecznym z prawem międzynarodowym wywozem żołnierzy polskich itd. Udało się jedynie przeciągnąć działalność konsulatów do 8 sierpnia 1940 r. Było ich tylko dwa. Jeden w Budapeszcie, na czele którego stał w tych ciężkich czasach p. Józef Zaráński, a drugi w Ungwarze pod kierownictwem konsula M. Czudowskiego.

W nocy z żądaniem zamknięcia konsulatów zastanawiające było użycie słowa "prowizorycznie" w zdaniu "postanowiła likwidować konsulatory polskie działające prowizorycznie na Węgrzech". Konsulatory polskie na Węgrzech nie działały prowizorycznie, lecz na podstawie formalnie uzyskanych exequatur. Ponieważ redaktorzy not w ministerstwach spraw zagranicznych nie popełniają takich nieścisłości, więc jasne było, iż wyrażenie to było użyte z rozmysłem. Csáky zapewne już dawno zapewniał posła niemieckiego o zamknięciu konsulatów polskich i dlatego postanowienie Rady Ministrów z dnia 9 lipca musiał odpowiednio ubrać, przedstawiając sprawę w ten sposób, że konsulatory działały już tylko prowizorycznie, tylko w celu likwidacji agend. W ogóle przekonałem się kilkakrotnie, że Csáky, między młotem opinii publicznej, nam przychynej, a kowadłem niemieckim, w tych sprawach dużo częściej okłamywał posła niemieckiego niż mnie. Musimy mu to, mimo wszystko, zapisać na kredyt.

Sprawa zamknięcia Poselstwa jakoś przycichła, aż tu przyszła wiadomość o napadzie Żelaznej Gwardii na Ambasadę naszą w Bukareszcie i o jej zamknięciu. Jasne stało się, że dni Poselstwa w Budapeszcie były policzone. Rząd węgierski sądził bowiem, że nie może pozwolić sobie na to, by Niemcy zarzucili mu, iż Rumuni są lojalniejsi. Węgrzy mieli jeszcze różne pretensje terytorialne do Rumunii, zaspokojenia których nie mogli oczekiwać od nikogo innego jak tylko od Niemców. Już kilkakrotnie przedtem, w wypadkach kiedy Węgry chciały oprzeć się jakiemuś żądaniu niemieckiemu, dawano im do zrozumienia, że Rumuni są lojalniejsi i w sporach węgiersko-rumuńskich zasługują na poparcie Niemiec. Tę samą taktykę stosowano w Bukareszcie. Kiedy król Karol chciał zrobić jakieś niezależne posunięcie, nieodmiennie dawano mu do zrozumienia, że to Węgrzy zasługują na poparcie ich pretensji terytorialnych w Siedmiogrodzie. W ten sam sposób poprzednio Hitler rozgrywał spory terytorialne pomiędzy Czechosłowacją a Węgrami, a później pomiędzy Węgrami i Słowacją. Okazało się ponownie, że pretensje terytorialne mogą być najstraszliwszym źródłem słabości państw. Na domiar wszystkiego położenie nasze uległo dalszemu pogorszeniu przez przystąpienie Węgier w dniu 20 listopada, pod presją Niemiec, do paktu berlińskiego. Węgry zostały aliantem Hitlera. Wiem, że stało się to wbrew życzeniom rządu węgierskiego i wywołało duże przygnębienie w sferach rządowych i w opinii publicznej. Csáky był na skutek tego kroku silnie krytykowany i oskarżony o pro-nazizm. Zaraz po powrocie Telekiego i Csáky'ego z Wiednia gdzie podpisali przystąpienie do ośi, z dniem 1-go grudnia zamknięto "Więści Polskie", gazetę dla uchodźców, umiejętnie redagowaną przez Attaché Prasowego Poselstwa p. Ulatowskiego.

Pragnąc omówić wspólnie nas obchodzące sprawy, a głównie nadchodzącą wizytę Csáky'ego w Belgradzie, która miała zapoczątkować nową erę w stosunkach węgiersko-jugosłowiańskich, oraz by zasięgnąć języka o okolicznościach towarzyszących zam-

knięciu Ambasady w Bukareszcie, w piątek, dnia 29 listopada 1940 r., pojechałem na dwa dni do mego kolegi w Jugosławii, posła Romana Dębickiego. Nazajutrz sekretarz Ministra Spraw Zagranicznych zadzwonił do sekretarza Szczeniowskiego zawiadamiając, że hr. Csáky pragnie mnie zobaczyć. Otrzymałszy odpowiedź, że wracam dopiero następnego dnia, tj. w niedzielę, ustalono, że w poniedziałek rano zgłoszę się do Ministra. Tymczasem w godzinę później M.S.Z. zawiadomiło znowu telefonicznie Poselstwo, że nadejdzie od Ministra ważny list, który wymaga natychmiastowego załatwienia. Pomimo to w sobotę żadne pismo nie nadeszło, natomiast w niedzielę woźny przyniósł pismo z datą z dnia poprzedniego tj. 30 listopada, w którym hr. Csáky zawiadamił mnie, że "na podstawie decyzji Królewskiego Rządu Węgierskiego nie możemy z dniem dzisiejszym uznawać przedstawicielstwa dyplomatycznego Polskiego na terytorium węgierskim", oraz prosił, by zdjąć godła z gmachu Poselstwa i zaprzestać wszelkiej działalności urzędowej. W końcu zawiadamił, iż mogę korzystać z gościnności Węgier i pozostać w charakterze osoby prywatnej. Pismo to nie miało zewnętrznej formy noty dyplomatycznej, lecz było raczej listem prywatnym Ministra Spraw Zagranicznych do mnie. I znowu zawierało ono zdanie, na pierwszy rzut oka nie bardzo zrozumiałe, a mianowicie, że chętnie mnie przyjmie "jeżeli przyjadę do Budapesztu". Wyglądało to tak jak gdybym stale przebywał w Belgradzie. Zdanie to da się tylko tym wytłumaczyć, że Csáky znowu od dłuższego czasu tłumaczył Niemcom, iż Poselstwo R.P. w Budapeszcie w ogóle już formalnie nie istnieje, a mnie często w Budapeszcie nie ma, jakkolwiek wiedział doskonale, iż z wyjątkiem wizyty w Angers, w lutym 1940 r., z Budapesztu nie wyjeżdżałem. W poniedziałek, z powodu mającego nastąpić nazajutrz wyjazdu Csáky'ego do Belgradu, wyznaczono mi audiencję dopiero na 7 grudnia. Zostałem więc zaskoczony w bardzo ważnej sprawie bez możliwości reakcji przez następnych pięć dni.

Wobec katorycznej formy pisma z dnia 30 listopada nie mogłem czekać z wyjaśnieniem sprawy do 7 grudnia i dlatego postanowiłem zwrócić się do Regenta. Natychmiast udałem się do szefa Kancelarii Wojskowej gen. Keresztes-Fischera, któremu przedłożyłem sprawę, argumentując, iż niezależnie od merytorycznej strony kroku rządu, pismo Ministra Spraw Zagranicznych było niedopuszczalne pod względem formy w stosunku do posła polskiego, a nawet w stosunku do mnie osobiście. Generał przyrzekł przedstawić sprawę Regentowi nazajutrz, podczas ранego raportu. Następnego dnia przybył do Poselstwa by mnie zawiadomić, że Regent rozmówi się z Ministrem i postara się naprawić błąd hr. Csáky'ego, jeżeli chodzi o zachowanie odpowiednich form, że jednakże wobec presji niemieckiej rząd nie będzie mógł zmienić swej decyzji pod względem merytorycznym. Z innego źródła dowiedziałem się, że Regent był bardzo niezadowolony z powodu nietaktownego listu Csáky'ego i polecił za-

pewnie mnie o swej niezmienną przyjaźni dla Narodu Polskiego i dla mnie osobiście. Nie pozostawało nic innego jak przystąpić do zwinięcia Poselstwa, starając się jedynie uzyskać możliwie oddalony termin.

Wobec niemożności natychmiastowego zobaczenia się z Csáky, a nie mając zamiaru zdejmowania goła ani też zaprzestania wszelkiej działalności, wysłałem notę w której prosiłem o podanie powodów, skłaniających rząd węgierski do tak ważnej decyzji oraz oświadczyłem, że zwracam się o instrukcje do mego rządu w tej sprawie, czym, oczywiście, powiedziałem, bez użycia wyraźnych słów, że nie wykonam tego żądania bez zgody Rządu Polskiego.

Dnia 5-go grudnia, w myśl otrzymanych instrukcji, poseł angielski złożył notę w sprawie likwidacji naszego poselstwa, treść której została uprzednio ze mną uzgodniona. Nota była zredukowana w sposób odpowiadający naszym postulatom i mogłaby iść dalej jedynie przez groźbę zsolidaryzowania się Wielkiej Brytanii z nami i zerwania stosunków dyplomatycznych. W nocy tej poseł O'Malley stwierdzał, że zamknięcie poselstwa alianta Wielkiej Brytanii, nie pozostanie bez skutku na uformowanie się opinii angielskiej co do stosunków z Węgrami nie tylko w chwili obecnej, ale także i na przyszłość.

Dnia 7 grudnia, stosownie do umowy, przyjął mnie Csáky. Nie powtarzam mych wywodów, gdyż streściłem je później w nocy z dnia 24 grudnia, o czym będzie dalej. Csáky wyraził mi przyznać, że popełnił błąd wysyłając list z 30 listopada i że gotów jest go wycofać i napisać inny z tym jednakże, iż nie może zmienić swego stanowiska co do meritum, gdyż podczas swego i Premiera pobytu w Wiedniu dla przystąpienia Węgier do Paktu Berlińskiego, Ribbentrop nalegał na zlikwidowanie poselstwa polskiego w Budapeszcie w tak stanowczy sposób, że był zmuszony ustąpić. Nadmienię, iż Niemcy od dawna domagali się zamknięcia Poselstwa R.P. czemu rząd węgierski dotychczas skutecznie się opierał, obecnie jednak sprawy poszły tak daleko, że nie może narażać dłużej Węgier na poważne niebezpieczeństwo. Stwierdził, iż nikt na Węgrzech nie pragnie likwidacji Poselstwa i wyraził nadzieję, że zarówno ja jak i mój rząd zrozumiemy położenie rządu węgierskiego. Nadmienię też, że nie mogłem się powstrzymać od powiedzenia Csáky'emu, że sprawa ta dobitnie wykazuje, że stracił on już możliwość zachowania niezależności swej polityki. Po dłuższej rozmowie ustaliliśmy, że Poselstwo zostanie zwinięte oficjalnie z dniem 1 stycznia 1941 r., zachowując do tego czasu przywileje dyplomatyczne, po czym, w razie potrzeby, personel będzie likwidować agendy do 15 stycznia,

Po powrocie do Poselstwa zwróciłem Csáky'emu list jego z dnia 30 listopada, po czym otrzymałem od niego nowe pismo z datą 7 grudnia. W piśmie tym Minister zawiadamiał mnie o decyzji rządu węgierskiego i prosił bym "zlikwidować" Poselstwo

w Budapeszcie oraz bym zechciał omówić z nim sposób w jaki to ma nastąpić.

Widziałem wtedy Csáky'ego po raz ostatni. Podczas tej rozmowy zauważyłem, że wyglądał gorzej niż zwykle. Był zawsze słabego zdrowia i miał cerę ziemistego koloru, pogłębioną jeszcze tym, że był z natury śniady. Tym razem był koloru szaro-zielonkawego. Powiedział mi, że przyjechał chory z Jugosławii, gdzie na polowaniu czymś się struł. W parę dni potem ciężko zapadł na zdrowiu i umarł w końcu stycznia 1941 r. Jest on niedmiennie przedstawiany jako szczerzy zwolennik osi. Wcale nie jestem pewien, że tak było. Niewątpliwie dawał wszelkie pozory po temu, sądząc jednak, że raczej na uniwersytecie czytywał Macchiavellego.

Nie będąc pewnym, czy Csáky przed chorobą, poinformował we właściwy sposób o sprawie Premiera, który tymczasowo objął tekę Ministra Spraw Zagranicznych i pragnąc dać pewien wyraz formalny naszemu stanowisku, postanowiłem wysłać notę, zawiadamiającą go, że z dniem 1 stycznia 1941 r., zamykamy Poselstwo R.P. na skutek zerwania przez rząd węgierski stosunków dyplomatycznych z Polską.

Zważywszy, że Premier z wielką życzliwością odniósł się do uchodźców polskich i że w ogóle Węgrzy znaleźli się w sposób rycerski i że dalej rząd węgierski wziął na siebie koszt utrzymania Polaków, umożliwiając, pomimo oficjalnej fasady, ewakuację wojska, zważywszy wreszcie, że na Węgrzech pozostawało jeszcze około 8 tysięcy Polaków, cywilnych i żołnierzy, postanowiłem pisać w formie oględnej i kurtuazyjnej, uwypuklając postawę narodu węgierskiego. Pamiętam, że notę redagowaliśmy wspólnie z sekretarzem Szczeniowskim i attaché Zdziarskim, zastanawiając się nad każdym zdaniem. Pozwalam sobie zacytować jej tekst w tłumaczeniu z francuskiego.

"Panie Premierze,

Notą Królewskiego Ministra Spraw Zagranicznych N° 6749/pol. 1940 z dnia 7 grudnia 1940, Rząd Królewski widział się zmuszony wszcząć kroki zmierzające do powstrzymania wszelkiej działalności Poselstwa Polskiego w Budapeszcie. Po zwróceniu się do mego Rządu w tej sprawie i otrzymaniu odpowiednich instrukcji mam zaszczyt zawiadomić Waszą Ekszelencję, że Poselstwo R.P. zawiesi działalność z dniem 1 stycznia 1941 r. z tym, że członkowie Poselstwa pozostaną jeszcze potem przez pewien czas w Budapeszcie, by zlikwidować swe sprawy urzędowe i prywatne. Powyższe jest zgodne z warunkami ustalonymi z J. E. hr. Csáky, Królewskim Ministrem Spraw Zagranicznych podczas naszego spotkania, dnia 7 grudnia 1940 r.

W chwili, kiedy stosunki dyplomatyczne między naszymi krajami zostają zerwane przez unilateralną decyzję Królewskiego Rządu Węgier poczytuję sobie za obowiązek zwrócić uwagę Waszej Ekszelencji oraz Rządu pozostającego pod Jej przewodnictwem na co następuje.

Jest niezmienną zasadą prawa narodów, że kraj uczestniczący w wojnie koalicyjnej i najejchany, nawet w całości przez wroga wojska, nie przestaje z tego powodu istnieć, a to tym bardziej jeżeli jego siły

zbrojne dalej prowadzą walkę. Otóż tak w rzeczy samej jest z Polską: pokonana przez przeważające siły dwu sąsiadów, Polska nie kapitulowała, nigdy nie uznała obcego panowania, a jej siły zbrojne na ziemi, w powietrzu i na morzu walczyły u boku sprzymierzonych. Nadto, jeżeli chodzi o marynarkę i awiację, to są, one teraz liczniejsze i silniejsze niż były na początku wojny we wrześniu 1939.

Powziawszy zatem decyzję zerwania stosunków dyplomatycznych z Polską Rząd Królewski przesądza już z góry wynik wojny, ciągle jeszcze trwającej, i warunki przyszłego pokoju, co, używając najostrożniejszego wyrażenia, jest przedwczesne. Węgry są więc pierwszym państwem, nie zajętym przez obce wojska, które powzięło decyzję zerwania stosunków dyplomatycznych z Polską.

Wasza Eksceleńcja niewątpliwie przypomina sobie, gdyż w owym czasie kierowała tak szczęśliwie losami Jej kraju, że Polska była jedynym krajem sprzymierzonym, który nie ratyfikował Traktatu Pokojowego, podpisanego w Trianon 4 czerwca 1920 r., uważając go za wielką niesprawiedliwość wyrządzoną Węgrom. Stało się to nie bez wywołania dużych trudności dla Polski, która mimo nacisku swych przyjaciół, także bardzo potężnych i mimo stanu wojny oraz bardzo niepewnego położenia w jakim się znajdowała, oparła się temu silnemu naciskowi.

Oto dlaczego decyzja Rządu Królewskiego była dla Rządu Polskiego i dla mnie osobiste, bolesna i nieoczekiwana, a to tym bardziej, że Jego Eksceleńcja hr. Csáky wyznał mi podczas naszej rozmowy, wyżej wspomnianej, że "nikt na Węgrzech nie pragnie wyjazdu Poselstwa Polskiego".

Opuszczając Węgry pragnę podziękować Rządowi Królewskiemu za poparcie którego udzielał mi podczas mego długiego pobytu tutaj i za gościnność której doznałem. Tuszę, że krok skierowany przeciw Poselstwu R.P. i jego następstwa pozostaną bez skutków dla stosunków pomiędzy obu naszymi narodami i że będzie on bez wpływu na przyjaźń je łączącą.

Korzystam z tej sposobności by podziękować Waszej Eksceleńcji za Jej szlachetną i przyjazną postawę w stosunku do moich ziomków i prosić by zechciała zapewnić, tak jak dotychczas, swą wysoką opiekę tym z nich, którzy są zmuszeni pozostać na Węgrzech.

Będąc przekonany, że uczucia Narodu Węgierskiego nie uległy zmianie, jak tego dowodził tak gościnne i wspaniałomyślne przyjęcie zgotowane uchodźcom polskim, chcę zakończyć mą działalność na Węgrzech wyrażeniem najszczerzych życzeń wielkości i pomyślności dla Węgier i Jego Jaśnie Oświeconej Wysokości (Altesse Sérénissime) Regenta.

Racz przyjąć Panie Premierze zapewnienia o moim najwyższym poważaniu. Budapeszt, 24 grudnia, 1940.

Posel R.P."

Powołując się na słowa Csáky'ego, że nikt nie życzy sobie wyjazdu Poselstwa, podkreślił mi, że decyzja ta nastąpiła pod wpływem czynników obcych, czym daliśmy satysfakcję społeczeństwu, a nawet i czynnikom oficjalnym, gdyż faktem jest, że od Regenta począwszy wszyscy wyrażali mi swe ubolewanie z powodu konieczności ustąpienia pod presją Niemiec, ze względu na interesy Węgier, znajdujących się w krytycznym momencie. Intencja noty i jej ton zostały należycie zrozumiane i ocenione. Jak mi później mówiono, nota zrobiła wrażenie na Premierze i w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, tak, że pomimo obawy, że może to dojść do wiadomości poselstwa niemieckiego, podobno skłoniła ona Premiera do udzielenia odpowiedzi, którą przytaczam w tłumaczeniu:

"Panie Ministrze,

Mam zaszczyt potwierdzić odbiór pisma z dnia 24 grudnia 1940, którym Wasza Eksceleńcja zechciała zawiadomić mnie, że Poselstwo Polskie zawiązało swą działalność z dniem 1-go stycznia 1941. Jak to już hr. Csáky zakomunikował Waszej Eksceleńcji listem swym z dnia 7 grudnia 1940, interesy Państwa wyższego rządu narzuciły nam tę decyzję.

Korzystam z tej sposobności by zapewnić Waszą Eksceleńcję, że nadal będziemy udzielać obywatelom polskim, przebywającym obecnie na Węgrzech tej samej gościnności z której korzystali dotychczas, pod warunkiem, że powstrzymają się oni — w co pragnąłbym wierzyć — od wszelkiej postawy sprzecnej z prawem azylu.

Z najwyższym ubolewaniem dowiaduję się o decyzji Waszej Eksceleńcji porzucenia Węgier. Zapewniam Ją, że zachowam zawsze w pamięci nasze serdeczne i pełne przyjaźni stosunki i mam nadzieję, że Wasza Eksceleńcja wspominać będzie z podobnymi uczuciami swój pobyt w Budapeszcie. Jestem szczególnie wzruszony uczuciami sympatii, które Wasza Eksceleńcja zechciała wyrazić w stosunku do Węgier a także ocenieniem przyjęcia zgotowanego w warunkach ciężkich i bolesnych przez mój kraj ziomkom Waszej Eksceleńcji. Pragnąłbym wierzyć, że wyjazd Waszej Eksceleńcji nie naruszy uczuć wiekowej wzajemnej sympatii między naszymi narodami.

Wyrażając me najserdeczniejsze życzenia szczęścia i pomyślności dla Waszej Eksceleńcji proszę zechcieć przyjąć zapewnienia mego najwyższego poważania.

Budapeszt, 11 stycznia 1941.

Paweł Teleki".

Przed moim wyjazdem z Budapesztu, który nastąpił 25 stycznia 1941 r. Regent, wierny do końca swej przyjaźni dla nas, zaprosił mnie na śniadanie dnia 16 stycznia 1941 r. Na śniadaniu obecna była tylko najbliższa rodzina i szef Kancelarii Cywilnej baron Uray. Regent był daleko powściągliwszy w swych opiniach o Hitlerze niż przed wojną, za to małżonka jego, pani Magda Horthy, w mocnych słowach dawała wyraz swemu oburzeniu z powodu postępowania Niemców w Polsce. Przyłączył się do niej syn, Stefan Horthy, dyrektor Państwowych Kolei Węgierskich.

Zamknięcie Poselstwa R.P., na żądanie rządu węgierskiego, spotkało się z najwyższą niechęcią w społeczeństwie węgierskim i troską o przyszłość. Było to widocznym znakiem, że Węgry całkowicie poszły po stronie osi. Dali mu wyraz w rozmowach tak wybitni politycy jak hr. Bethlen, długoletni premier i jeden z najwpływowszych ludzi na Węgrzech, Tibor Eckhardt, prezes Stronnictwa Drobnych Rolników, przywódca stronnictwa Chrześcijańsko-Socjalnego, Czettler etc. Prócz tego szereg osób i organizacji wyraziło swe uczucia w pismach. Wyrobeni politycznie Węgrzy folgowali swym uczuciom przyjaźni dla Polski, ale jednocześnie uważali, iż w takich sprawach rząd najlepiej wie co robić. Jako przykład zacytuję pismo Federacji Stowarzyszeń Węgiersko-Polskich z dnia 12 stycznia 1941 r., prezesem którego był były poseł węgierski w Warszawie hr. Czekonics. Stwierdziwszy, że Federacja z konsternacją przyjęła wiadomość o zerwa-

niu stosunków dyplomatycznych z Polską, zarząd pisał dosłownie. "Nie jest rzeczą naszej Federacji wypowiadać się co do takiego kroku, niewątpliwie podyktowanego przez takiej kategorii żywotne interesy, która wymyka się z jej kompetencji, ale to nie przeszkadza jej wyrazić swe najwyższe ubolewanie, połączone z najgłębszą wdzięcznością dla osoby itd.". W końcu były wyrazy nadziei mego powrotu. Podobne było np. pismo Związku Dramaturgów Węgierskich, podpisane przez prezesa Zsolt Harsanyi, znakomitego pisarza węgierskiego, który dzisiaj już nie żyje. Pismo streszcza się do następującego zdania: "Dowiedziawszy się o ustąpieniu Pana sądzimy, że jest naszym obowiązkiem zawiadomić Go, iż gorące uczucia okazywane przez Waszą Ekszelencję dla interesów współczesnej kultury teatralnej węgierskiej i polskiej nie pozostaną bez śladu itd.". Podobne też było wystąpienie grupy monarchistów węgierskich. Widnieją pod nim podpisy przeważnie arystokratycznych rodów jak np. Sigray, Pallavicini, Palffy, Apponyi, Széchényi, Szapary, Perenyi, Zichy itd. Najbardziej wymowne i najlepiej oddające to co sfery społeczne myślały i czuły było pismo dużej grupy (podpisane przez 55 osób), które dlatego w całości przytaczam:

"Panie Ministrze,

Z konsternacją dowiedzieliśmy się o zarządzeniach przedsięwziętych przez Rząd Węgierski celem zniesienia Poselstwa w Budapeszcie.

Pragniemy zapewnić Waszą Ekszelencję, że ten krok Ministra Spraw Zagranicznych nie znajduje aprobaty opinii publicznej węgierskiej, gdyż serdeczna przyjaźń Polsko-Węgierska, trwająca od wieków oraz dalsze podtrzymanie przyjaznych stosunków z Narodem Polskim, leży na sercu wszystkich Węgrów.

Przyczynę tego kroku rządu węgierskiego upatrujemy w niedającej się uniknąć presji obcej. Dlatego też prosimy Waszą Ekszelencję o uważanie tych zarządzeń, potępionych przez opinię publiczną, jako niezgodnych z umysłowością węgierską.

Będzie naszym szczytnym obowiązkiem w dalszym ciągu zabiegać o nasze wspólne interesy i to bardziej jeszcze w przyszłości niż to miało miejsce w przeszłości. Prosimy przyjąć... itd. Budapeszt, 10 stycznia 1941".

W rozmowach wszyscy stwierdzali, że zamknięcie Poselstwa Polskiego w Budapeszcie było skutkiem przystąpienia Węgier do Paktu Berlińskiego. Zdaniem wielu można było uniknąć tego fatalnego związania się Węgier z Osią. Czy to było możliwe, nie wiem. Wydaje się, że nie. Węgry miałyby może pewne szanse przeciwstawienia się temu żądaniu Hitlera gdyby znalazły oparcie w tej sprawie u Mussoliniego. Skoro jednak ten nie mógł i zapewne wtedy już nie chciał narażać się Hitlerowi, gdyż doradzał Węgrom przystąpienie do Osi, nie bardzo widzę innej możliwości. Nikt nie może robić polityki jeżeli nie ma z kim jej robić. To jest dzisiaj, tragedią małych i średnich państw.

Leon ORŁOWSKI

Kronika kulturalna

Z notatnika

Droga do moralnego podniesienia nie tylko nie prowadzi przez Sztukę (wbrew popularnym ongiś twierdzeniom), ale najwięksi zbrodniarze miewają bardzo dużą wrażliwość na piękno. Przykładów nie trzeba szukać w renesansowej Italii: wystarczy uświadomić sobie ilu SSMan'ów musiało być wrażliwych na klasyczną muzykę.

Złudzeniem jest również przypuszczenie, że odczuwanie piękna przyrody lub miłość zwierząt ma jakikolwiek wpływ na stosunek do człowieka. Obserwowałem w Warszawie SMan'a (N.B. Mazura z Prus Wschodnich), który bardzo kochał zwierzęta i opiekował się nimi. Był niepokieszony gdy zastrzelił przypadkiem konia, który trzepnął głową w momencie, gdy on kłęcząc na platformie ciężarowej, strzelał do sylwetki w oknie ghetta.

Przeżycia ostatnich lat, i obserwacja tego do czego zdolny jest człowiek, wywarły, należy sądzić, wpływ nie tylko na nasze zapatrywania na przyszłość ale także na odczucie przeszłości. Osobiście pod wpływem oglądania tego co robią Niemcy i bolszewicy poddałem rewizji swój stosunek do historii. Jako skrajny przykład: o ile dawniej opisy o "wycięciu w pień" mieszkańców miasta lub budowaniu piramid z głów ściętych nieprzyjaciół uważałem za bajkę, lub przynajmniej grubą przesadę kronikarzy — zapewne dlatego, że zdarzenia takie przekraczały moją wyobraźnię wychowaną na pojęciach XIX wieku ... o tyle obecnie nie wątpię o autentyczności tego rodzaju faktów. Ostatecznie człowiek współczesny różni się od dawnych pokoleń tylko doskonałością techniczną środków stojących do jego dyspozycji. W wypadku ludobójstwa jest to różnica komory gazowej i miecza, a zatem rozróżnienie materialno-ilościowe a nie moralne.

Okazuje się jednak, że z tych samych doświadczeń różni ludzie wręcz odmienne potrafią wyciągnąć wnioski. U pewnych pisarzy obserwujemy bowiem, że porównując wydarzenia historyczne z ponurą rzeczywistością są oni skłonni idealizować przeszłość nawet w jej postaciach na to nie zasługujących. Czymże można wytłumaczyć kreślenie sympatycznych sylwetek nie tylko Wilhelma II ale nawet Mikołaja I-go jak mimowolnym porównywaniem ich z Hitlerem czy Stalinem? Nie wydaje mi się jednak, aby rewizja historii przez takie zbliżenia poprawiała perspektywę lub miała usprawiedliwienie moralne.

Jedną z wybitnych cech gospodarki amerykańskiej jest niesłychana elastyczność aparatu produkcji i wymiany, które reagują z wielką szybkością na zmiany zachodzące w spożyciu lub dyspozycjach ośrodków kierowniczych.

W porównaniu z przedsiębiorcą, a nawet "planistą" europejskim, businessman amerykański dysponuje bez porównania większym zasobem

bem danych statystycznych ogłaszanych z dużą szybkością, co stanowi oczywiste ułatwienie w planowaniu. Przedsiębiorca nie zadawała się dostosowywaniem do stwierdzonych cyframi tendencji, ale starała się wszystkimi siłami przewidzieć przyszłość i do niej się dostosować. To ciągle "dyskontowanie" przyszłości jest znaną cechą amerykańskiej gospodarki wolnorynkowej. Ponieważ cyfry i fakty dostępne są wszystkim, a ich interpretacja jest taka sama lub zbliżona więc dyskontowanie przyszłości następuje na tak wielką skalę, że praktycznie Ameryka żyje gospodarczo nie w teraźniejszości, ale w dniu jutrzejszym. Coś w guście filmu René Clair'a "It happened tomorrow".

Dla przykładu: Po wybuchu wojny koreańskiej gospodarka amerykańska przewidując zapotrzebowanie wywołane gospodarką wojenną, wpadła przedk w gorączkowe tempo inflacyjne choć faktycznie wpływ zamówień wojskowych był w pierwszym roku minimalny. Kiedy okazało się, że ogromna wydajność aparatu wytwórczego pozwala na równocześnie zaspakajanie zapotrzebowania cywilnego i wojskowego, i gdy zaczęto mówić o zwolnieniu tempa zbrojeń, rynek rozpoczął znowu dyskontować przyszłość z takim skutkiem, że sytuacja nabrała cech nieledwie deflacyjnych, i to w chwili, gdy produkcja na cele wojenne, choć stale rosnąca, daleka jest jeszcze od swego maksymalnego natężenia.

Krótką próbą analizy przemian w stosunku emigranta do kraju.

Na płaszczyźnie rozumowej: Pierwszy okres (1945-1946) — stanowcze odrzucenie wszelkich samobójczych pomysłów powrotu do kraju skazanego na szybką sowietyzację. Drugi okres (1947-1949) — wewnętrzne wahania. Proces sowietyzacji postępuje powoli. Propozycje z Warszawy są nęcące, a przyszłość emigracyjna — ciemna. Trzeci okres (1950-?) — mimowolna satysfakcja, że dawne przewidywania dotyczące sytuacji w kraju spełniają się, przemieszana z silnym niepokojem, że spełnią się zbyt dokładnie.

Na płaszczyźnie uczuciowej: Pierwszy okres — zawstydzenie, że nie bierze udziału w odbudowie i że żyje w warunkach materialnych znacznie lepszych od krajowych. Drugi okres — zadowolenie moralne, że odrzucił propozycje objęcia wysokich stanowisk w Warszawie, i że "chleb emigracyjny jest czarniejszy od krajowego". Trzeci okres. Poczucie, że jego warunki materialne są znowu znacznie lepsze od krajowych, i zażenowanie, że nie dzieli z krajem niebezpieczeństw.

W Europie mówi się często o Stanach Zjednoczonych jako o kraju młodym nie posiadającym tradycji politycznych. Twierdzenie to jest na pewno błędne w odniesieniu do spraw wewnętrzno-ustrojowych. W rzeczywistości Stany Zjednoczone są krajem rządzącym się starszą konstytucją niż jakiegokolwiek państwo na świecie (oczywiście pomijając konstytucję angielską). Nawiasem mówiąc ta ósmnastowieczna konstytucja konsekwentnie wcielająca w życie monteskiuszowski trójpodział władz tłumaczy wiele z amerykańskich trudności politycznych. Wbrew rozpowszechnionej opinii Stany Zjednoczone są krajem pielęgnującym nieprzerwanie bardzo stare tradycje. Pomijając fakt, że republika nie uznająca tytułów rodowych zachowała hrabstwa (counties) jako jednostkę terytorialną na jaką dzielą się poszczególne stany, ale sądy amerykańskie opierają się w swych wyrokach na precedensach sięgających niekiedy setki lat wstecz, a zatem nie tylko do czasów kolonialnych, ale wprost do wyroków sądów angielskich.

Jedną z podstawowych zasad propagandy, stanowiącej dziś wiedzę podpartą poważnymi studiami psychologii mas, jest aby hasło propagando-

we powtarzać tak długo aż utrwali się ono w pamięci dostatecznej ilości „potencjalnych konsumentów”. Hasło powinno być krótkie i łatwe do zapamiętania.

Polacy skarżą się czasami, że każdy człowiek na Zachodzie pamięta Lidice, a nie zawsze potrafi wymienić nazwy obozów, w których ginęli Polacy. Wytłumaczenie wydaje się proste: czeska propaganda powtarzała bez przerwy, krótką, i stosunkowo łatwą dla cudzoziemców, nazwę Lidice, polska propaganda operowała długim szeregiem nazw niektórych trudnych do wymówienia: Wawer, Oświęcim-Auschwitz, Majdanek, Treblinka, Zamość itd.

Nauka praktyczna: słowo Katyń (ma nb. zalety fonetyczne) powtarzać należy bez przerwy tak długo, aż na całym świecie wywoływać ono będzie automatyczne skojarzenie z metodami sowieckimi. Powtarzanie to będzie dla nas bardzo nużące, ale nie wolno dlatego rozpraszać uwagi świata podejmowaniem innych tematów jak Kołyma, Kazachstan itd.

Marzenie: Spakować wszystkie „posters” reklamujące w Ameryce przy drogach Coca Cola, opony samochodowe, benzynę itd., i wysłać do Rosji Sowieckiej, gdzie te kolorowe tablice miałyby na pewno ogromne powodzenie dzięki swemu realizmowi, który chyba trzeba nazwać „realizmem kapitalistycznym”.

Jest zastanawiające z jakim poczuciem wyższości odnoszą się Polacy do wszystkich narodów z którymi losy zetknęły ich w powojennej wędrówce. Pamiętam jeszcze w Niemczech pewien młody chłopak spod Świecian wywieziony w czasie okupacji na robotę do „Bauera” dowodził np., że Niemcy w ogóle, a jego gospodarz w szczególności, nie mają pojęcia o rdzinnictwie. Twierdzenie takie, oczywiście absurdalne, tłumaczyłem sobie tym, że widocznie trudno jest zdobyć się na obiektywizm i przyznać wyższość wrogowi, choćby w dziedzinie technicznej.

Takie tłumaczenie nie miało jednak zastosowania w 1945 czy 1946 na terenie Francji czy Anglii, gdzie modne było „spojrzenie z góry” na „Katanów” czy „Strusiów”. Dyskutowałem kiedyś przyczyny tej postawy z Józefem Ursynem, który tłumaczył ją tym, że tysiące Polaków, którzy potrafili „własnym przemysłem” przedzierać się przez granice aby walczyć, czuje że więcej niż spełniło swój obowiązek, i kłęski sprawy polskiej nie może przypisać niczemu innemu jak głupocie Zachodu. Niewątpliwie polityczna mądrość Zachodu nisko musiała upaść nawet w oczach analfabety spod Baranowicz słyszącego opinie o Rosji Sowieckiej wygłaszane publicznie przez tzw. mężów stanu Zachodniej Europy i Ameryki.

Wywód ten nie tłumaczy jednak wszystkich przyczyn megalomanii. Istnieje kategoria osób dawniej idealizujących kraje zachodnie znane z lektury, turystyki lub okresu studiów. Obecne poznanie tych krajów od najniższych szczebli drabiny społecznej, a zatem od strony najmniej pożątej, stwarza subiektywne i obiektywne warunki do bardzo radykalnej rewizji dawnych poglądów w sensie zdecydowanie ujemnym. Źródła obecnego idealizowania przedwojennej przeszłości przez te same osoby stają się bardziej jasne gdy się uwzględni, że należały one przed wojną w większości do grupy „górných dziesięciu tysięcy, która położenie warstw niższych знаła w najlepszym razie z książek Jalu Kurka. To „subiektywizowanie” obecnej i niedawnej rzeczywistości jest, nawiasem mówiąc, jedną z głównych przyczyn braku wspólnego języka pomiędzy nową emigracją wojenno-inteligencką a dawną emigracją zarobkową.

Ale czym wytłumaczyć — nawet przy największej tolerancji dla cudzych gustów i poglądów — popularność opinii w rodzaju: „kuchnia francuska jest niedobra”, „Anglicy się nie kąpią”, „W Ameryce nie ma muzeów” itd.? Chyba kompleksem imigranta czującego się słabszym w porównaniu z otoczeniem. Hipotezę tę zdaje się potwierdzać obserwacja, że negatywny stosunek do „niekulturalnej Ameryki” ulega radykalnej zmianie po kupnie pierwszego samochodu. O chodzeniu na koncerty czy do muzeów nie ma oczywiście nadal mowy.

T. S.

P. Wł. Pobóg-Malinowski za naszym pośrednictwem zawiadamia Subskrybentów na jego „Najnowszą Historię Polityczną Polski” (1904-1945), że subskrypcja w ogólnym wyniku dała fundusz, całkowicie wystarczający. „Historia” jest już w druku, ogólne jednak trudności emigracyjne powodują opóźnienie wydania o 2 — 3 miesiące. Przepraszając Subskrybentów za tę niezależną od niego zwłokę — p. Wł. Pobóg-Malinowski, nie podwyższając ceny subskrypcyjnej, da „Historię” o 48 stronich większą.

“ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO - LITERACKI
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.
169/171, Battersea Church Road, London S.W.11.
Tel. BATersea 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIESTRZYŃSKI,
31 A, Dean Road — London S.W.2.

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie Pld. Afryce, Stanach Zjednoczonych.

● CENA EGZEMPLARZA:

WE FRANCJI: 40 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● PRENUMERATA:

WE FRANCJI: miesięcznie 160 fr. fr.; kwartalnie 450 fr. fr.
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-, rocznie 45/-.

● PRENUMERATE PRZYJMUJĄ:

WE FRANCJI: Libella, 12, rue St.-Louis-en-l'Île, — Paris-IV, nr konta pocztowego: Paris CC 565.150.
W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csaky, 132, Avenue Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest; nr konta pocztowego 7315.20.
W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro N. Alem, 641, Buenos Aires.
OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = f 1)

Dwa wiersze z komentarzem

DO POLITYKA

*Kto ty jesteś człowieku — zbrodniarz czy bohater?
Ty, którego do czynu wychowała noc.
Oto starca i dziecka w ręku dzierzysz los
I twarz twoja zakryta
Jak golem nad światem.*

*Czy obrócisz w popioły miasto czy ojczyznę?
Stój. Zadrżnij w sercu swoim. Nie umywaj rąk.
Nie oddawaj wyroku niespełnionym dziejom.
Twoja jest miara i twój jest miecz.
Ty, ponad ludzką troską, gniewem i nadzieją,
Ocalasz albo gubisz Pospolitą Rzecz.*

*Ty jesteś dobry i w gronie rodziny
Pieścisz nieraz blask dzieciennych głów.
Ale jeżeli przeklnie ciebie — milion rodzin?
Biada. Co pozostanie z twoich dobrych dni?
Co pozostanie z twoich krzepkich mów?
Ciemność nadchodzi.*

*Gwarne miasta i pola, kopalnie, okręty
Na twojej dłoni, ludzkiej, jakże ludzkiej.
Patrz. Linia twego życia tędy będzie szła.
Trzykroć błogosławiony,
Po trzykroć przeklęty.
Władco dobra
Albo władco zła.*

Nie jest na ogół rzeczą przyjętą zaopatrywać wiersze komentarzem autora. Jednakże czas to jest tak zwana epoka skłania ku temu wytworząc szybko zmieniające się okoliczności. A czy poezja powinna być „okolicznościowa”? Niewątpliwie. Wbrew zwolennikom „wiecznych” tematów literatura albo zajmuje się tym co ludzi żyjących w miejscu i czasie otacza, albo staje się balem maskowym figur przebranych w stroje ubiegłych stuleci. Istotny spór może się dzisiaj toczyć wyłącznie pomiędzy tymi, którzy wobec okoliczności stosują miarę kolektywną i ortodoksyjną — i tymi którzy sądzą że w próbach indywidualnej oceny okoliczności zawiera się, narówni, możliwość błędu i sens literatury.

Wiersz „Do polityka” został napisany w Krakowie na wiosnę 1945 roku. Był to okres kiedy nieznane postacie działaczy politycznych wyłaniały się wszędzie z anonimatu lat hitlerowskiej okupacji. W Polsce — ale również w wielu innych krajach Europy — ludzie dowiadawali się nazwisk tych co mieli nimi rządzić — i nie wiedzieli o tych nazwiskach nic. Zaiste, twarze władców były tajemnicze jak twarz legendarnego Golema. Pisząc ten wiersz myślałem również o konspiracyjnych politykach z lat wojny. Ukryci za pseudonimami, byli odpowiedzialni za losy tysięcy ludzkich istnień. Decyzje jakie podejmowali były straszliwe, dziecko które ich mijalo na ulicy nie wiedziało że mija Przeznaczenie.

Polityk, kiedy musi się tłumaczyć, powołuje się albo na bezsilność, albo na niewiedzę. Ale ani jedna ani druga nie mogą przekreślić faktu że była chwila w której ważył i za i przeciw, zastanawiając się co robi. „Niech mnie sędzi historia” — nieraz powiadał. Wiersz przeciwko tłumaczeniu się bezsilnością, niewiedzą, historią jest być może przykładem donkiszoterii: pracują jak wiadomo dziejowe siły, jednostka jest tylko emanacją „dziejowej fali” itd. Jednak dzisiaj, kiedy upłynęło szereg lat, widzę że nie mam co się tak znowu tego wiersza wstydzić. Spośród polityków którzy wtedy wynurzyli się na powierzchnię, jedni są w więzieniu, na szyi innych zacisnął się powróż, innych czeka upadek, choć gotowi są na wszystko byle upadku uniknąć. I wszędzie za tym jest jakaś ludzka własna decyzja, formuła o „nieublaganych koniecznościach historycznego procesu” nie przesłoni wysiłków woli i starć charakterów. Kto przegrywa jest obwołany łotrem; jego pamięć — w intencji zwycięzców — powinna być na wieki zniesławiona. Taka jest cena przegranej w pięknym dwudziestym wieku. Jednak są jakieś przywiązania, miłości, litość, które nawet prowadząc do przegranej zadają kłam oficjalnie narzuconym miarom.

Wiersza tego nie można by było dziś w Polsce wydrukować. Bo — zapytano by — o jakim polityku mowa? Jeżeli to o wrogach, to za łagodnie. Jeżeli to o tych co rządzą Polską — to oni nie są politykami; nie, wypełniają tylko mistyczne prawo

Historii. To prawda, wiersz ukazał się w r. 1945 w „Dzienniku Polskim” w Krakowie. Dziś jednak wiedza o podejrzanym filozofii tego rodzaju utworów jest bardziej w Polsce rozwinięta.

SIEGFRIED I ERIKA

*To miasto, jak niechlujna pościel z wnętrza nocy,
Pył gruzu w ustach, goni mnie, Eryko.
Takie spotkanie... Z bram śląskiego dworu
Zdarto herbową tarczę i zdeptano.
I Frau Matylda w białej kryzie, na tle flamandzkich
[portretów,*

*Zmarła na tyfus na błotnistych drogach.
Wiem tylko jedno: że ład jest nietrwały.
Chaos intencje nasze mgłą otacza
Cierpliwie swojej czekając godziny.
Opada gorset honoru i zbroi,
Zostaje tylko lekkie spojrzenie
Usłużnych oczu z dna zarosłej twarzy,
Podarty płaszcz wojskowy, stręczycielstwo
I rada polityczna szeptana do ucha
Nowemu władcy, a więc: Los.
Albo kobiety: krok ich tak sprężysty,
Piersi niesione tak dumnie a potem
Spod węzła chustki skulone wabienie
W ogrodach pociętego żelastwa, dar
Dla Murzynów za paczkę Camel.
Tak, zabijałem. Czy to źle, Eryko?
Szosa szła do mnie z gwizdem moich sterów,
A tam był chaos, rozumiesz? Kolumny
Wozów, toboły, brud, skwar, czołganie się, strach,
[rozprężona*

*Wola niezdolna utrzymać zamiaru.
Śmiertelne iskry, które w ten tłum biegly
Spod moich skrzydeł, były takie czyste!
Trwałem nad światem, urzeczywistniony
Kształt człowieczeństwa wolnego od skarg.
Nad ciałem i maszyną miałem władzę,
Po przyszłość rodu ludzkiego sięgałem,
Kiedy się cofną granice chaosu
I będzie jedna linia niezmaczona,
Budowla jasna jak masztowa stal.
Więc oskarżają nas? Oby poznali
Jak się w niewiedzy stawia pierwszy krok.*

*Łopoce sztandar i miłość wspólnoty
Zagłusza drobną niemęską wątpliwość,
Która tykoce, przesąd liberalny.
Oby zwycięzcy poznali jak szybko
Idzie się od pierwszego przyzwolenia
Do pełnej wiary, na ostatni próg.
Jeżeli dzień nastąpi kiedy krzykną:
My? My niewinni! Myśmy nie wiedzieli!
Wtedy zrzucone będzie brzemie win
I nasz niemiecki naród sięgnie znów
Po cześć należną, wierząc, siostrzo.*

Siegfried był oficerem lotnictwa, synem junkierskiej rodziny ze Śląska. Należał do pokolenia wychowanego w entuzjazmie dla Fuehrera i marzył o „budowlę jasnej jak masztowa stal”, o nowym ładzie opartym na porządku, czystości i dyscyplinie. Po wojnie spotkał w jednym z niemieckich zniszczonych miast swoją siostrę Erykę. To co mówi do Eryki jest treścią wiersza.

Cóż za dziwny pomysł! Dlaczego poeta wciela się w podobną postać i pisze jej monolog? Czyż nie ma innych, ciekawszych tematów, niż wewnętrzne przeżycia niepoprawnego hitlerowca? Należy więc rzecz w kilku słowach wyjaśnić.

Wiersz został napisany w r. 1949. Sposobu myślenia hitlerowców dzisiaj się nie lubi. Jednak ten sam, albo podobny, sposób myślenia wydaje się godny pochwały, jeżeli jest swój własny — w imię własnego kraju albo własnej idei. „Łopoce sztandar i miłość wspólnoty zagłusza drobną niemęską wątpliwość”. I nienawiść do tych co wątpią, do tych co odważają się przeciwstawić kolektywowi swój sąd indywidualny bynajmniej nie zniknęła. Są to oczywiście nikczemnicy zasługujący na koncentracyjne obozy. Tak więc rozgoryczony Siegfried ma niejaki powód do triumfu i odgaduje że zatarcie win jego i jemu podobnych może nastąpić tylko po przez winy większe które — jak sądzi — będą, prędzej czy później, udziałem zwycięzców. Dzisiaj ma prawdopodobnie nie mniej danych do takiego przekonania niż w r. 1949. Wstąpił być może do armii Niemiec Wschodnich i tym różni się od młodych entuzjastów że ma świadomość gry i celu.

Inaczej mówiąc, jest to wiersz o znakomitych racjach w jakie zaopatrzone jest zawsze człowiek kiedy w swoim działaniu podporządkowuje się zespołowi. Autor wiersza wiedział coś o racjach jakie dostarczane są dziś mieszkańcom Polski i być może postać Siegfrieda była tylko pretekstem.

Czesław MIŁOSZ.

Raj utracony Fernanda Leger

Latem 1939 r. odwiedziłem po raz ostatni Tytusa Czyżewskiego w jego warszawskiej pracowni. Na sztaludze stał ogromnych rozmiarów obraz o tematyce, która interesowała Czyżewskiego w latach dwudziestych, ale od której odszedł, zdawało się, ostatecznie.

— Wraca pan do starej manieri!

... To przecież obojętne jak się maluje, odpowiedział.

Nigdzie tak jak w Paryżu nie czuje się czczości wszelkich dyskusji o malarstwo tematyczne czy abstrakcyjne. Nowinkarstwo jest kategorią komercyjną. Malarz, który chce wejść na rynek (a bez rynku będzie tworzył tylko, jeśli jest synem bankiera, mogącym do siedemdziesiątki czekać na uznanie, jak Cézanne), musi czymś „chwycić”. Ileż ruin pozostawia na placu zapatrzenia się w ten mechanizm rynkowy! Takie fenomeny, jak Picasso są równie rzadkie, co muzycy, wynajdujący nieustannie nowe melodie. Ale melodia nie stanowi muzyki.

Widzieliśmy ostatnio w Paryżu szereg wystaw malarzy wchodzących w wiek patriarchalny. Matisse, Dufy, Braque, Léger stają się klasykami, bo żyją długo. „Gdy dojdę do dziewięćdziesiątki, będę wreszcie umiał malować” miał powiedzieć Hokusai. Każdy z tych mistrzów pozostał wierny swojej kolekcji „trouvailles”, którym zawdzięczał nazwisko.

Wystawa retrospektywna Fernanda Légera w galerii Carrée, choć nieduża, jest pod tym względem bardzo pouczająca. Léger zaczyna jako kubista, ale przed końcem drugiego dziesięciolecia naszego wieku upraszcza swoje środki i znajduje styl, który już pozostanie związany z jego nazwiskiem. I oto między rokiem 1920 a 1930 powstaje szereg obrazów, które dziś odczuwamy jako coś więcej niż powiązanie kilku „trouvailles” w laboratoryjną formułkę. W tych monumentalnie stylizowanych scenach życia drobnomieszczańskiego, które mogły w swoim czasie uchodzić za coś perwersyjnego (i może właśnie ten posmak „skandalu” stanowił jedną z podniet Légera przy malowaniu), jest skończoność, bardzo bliska doskonałości. Egipt, szósty wiek grecki, Pompei, Piero della Francesca stanowią perspektywę, jaka się za nimi otwiera.

Nie te jednak reminiscencje i nie mitologizacja drobnomieszczaństwa, na poły ironiczna i na poły nostalgiczna, stanowią o uroku tego malarstwa. Jest w nim pełnia i równowaga, które narzucają się naszej uwadze z rosnącą siłą, gdy przechodzimy do obrazów późniejszych. Harmonia, osiągnięta w latach dwudziestych, pękła i odtąd obraz po obrazie będą dokumentami męczących poszukiwań raju utraconego.

Léger próbuje zrazu obejść się bez tematyki, z której wydobył tyle niepokojącego piękna w tym okresie udanej syntezy. Chce pozostać monumentalny, ale porzucić konkret. Rezultatem jest zimna wzniosłość. Hymn nie płynie z serca i zmysły nie znajdują wokół przedmiotu aureoli, która oku i ręce każe odkrywać najczulsze metafory w kolorze i linii.

Malarz zaczyna więc szukać ratunku w fantastyce. Na bieżącej wystawie są tylko dwa obrazy z tego okresu, i to nie najbardziej charakterystyczne. W rzeczywistości Léger sięga do legendy. Ale prehistoria i kosmologia są legendami pozytywnymi czyli profesorskimi. Osiąga je myśl pedantyczna i wyobrażenia wysilona, a nie instynkt artystyczny. Léger wraca z wyprawy z pustymi rękoma.

O dalszym ciągu wystawa w galerii Carrée nie daje nam pojęcia. Z innej wystawy (w Maison de la Pensée w roku ubiegłym) wiemy, że Léger doszedł do legendy proletariackiej. Konkretnie zamówienia społecznego nie może mu jednak zastąpić konkretnego własnego doświadczenia, i oto szereg plansz graficznych, wystawionych w galerii Carrée, a pochodzących z dwóch ostatnich lat, ukazuje nam Légera jako piewę kobiety. Są to, w bezpośredniości, prostocie środków, zwięzłości linii i wrażliwości na równowagę białych plam, dzieła o wspaniałej dojrzałości artystycznej. Pozwalają nam one przeczuć nową, może ostatnią syntezę Légera.

Cézanne wybierał sobie motyw krajobrazowy i tak długo go studiował, aż "zobaczył obraz", po czym pozostawało mu już tylko przenieść go na płótno. Coś podobnego jest ze stylem. Każdy zbiór elementów czy środków, choćby podyktowanych mechanizmem rynkowym, może stać się tworzywem arcydzieła. Rzecz w tym, by je tak długo do siebie przymierzać, aż się pogodzą i staną narzędziem wyrazu. To harmonizowanie elementów — proces długi i jak wszystkie konsekwentne wysiłki dramatyczny — odbywa się zawsze równolegle z poszukiwaniem czy ustalaniem tego, co ma być wyrażone. Wraz z artystą rozwija się człowiek. Arcydzieło jest przede wszystkim, a nawet wyłącznie dziełem sztuki (a nie dokumentem grafologicznym np.), ale wyrasta na glebie, którą jest człowiek. Ten człowiek, mimo całej konwencjonalności sztuki i jej charakteru "gry", musi być autentyczny. Arcydzieło go wchłania i konkretna, biograficzna osobowość artysty pustoszeje.

O tym typie przeżyć duchowych więcej nam mówią mistycy niż artyści, ale na utworach, następujących po syntezie (a każde arcydzieło jest syntezą), możemy je bez trudu odczytać. Artysta musi zaczynać na nowo. Jedyne, co mu pozostaje, to pewne wzbogacenie środków technicznych. Jakże jednak często malarz, wyczerpany, poprzestaje na naśladowaniu samego siebie!

W ten sposób twórczość Légera staje się dokumentem epoki i tu jest przyczyna, dla której z sympatią (w greckim tego sło-

wa znaczeniu) śledzić będziemy dalszą jego drogę. Bo raj utracony Légera jest rajem utraconym nas wszystkich. Gdzieś w pobliżu roku 1930 przechodzi przez naszą kulturę cezura, która będzie stawała się dla nas coraz wyraźniejsza, aż wreszcie znajdziemy dla niej nazwę.

Jan ULATOWSKI.

Rouault zbuntowany i odkupiony

Po śmierci swego mistrza, Gustawa Moreau, bardzo zdolny, wielokrotnie nagradzany uczeń Ecole des Beaux-Arts otrząsa się z idealistycznego załgania akademizmu (akademizmu zresztą wyjątkowo wytwornego) i sięga brutalnie po surowiec rzeczywistości, szukając go tam, gdzie rzeczywistość jest najbardziej nieznośna: w upodleniu. Najtańszy dom publiczny, cyrk i sąd. Ale w sztuce nie ma surowca rzeczywistości. Jest ona uchwytna tylko przez konwenanse. Forma Foraina, Toulouse-Lautreca i Daumiera, oto narzędzia, którymi Rouault chwyta tę rzeczywistość, oto środki, którymi równocześnie wyraża swój gniew i zaspakaja swoje pragnienie prawdy. Oczywiście, jak w pastich'ach Moreau Rouault nie mógł nie być sobą, tak i teraz. Nieśmiałość szybko robi miejsce jakimś rozpoczłiwie zwycięskiemu samostanowieniu.

Od utonienia w nowych pastiche'ach ratuje go trouvaille czysto malarska: modelowanie kontrastem czerwono-niebieskim i czarny kontur (o którym krytyk Lionello Venturi mówi, że jest to c i e ń konturu; rzeczywiście, kontur ten nie opisuje kształtu, ale go dubluje).

W ten sposób młody człowiek wypłynął na ocean. Jest cały wzburzony, rozedrgany, zaskoczony własną odwagą i pełen lęku o przyszłość. Skandalizuje wszystkich, którzy mu byli życzliwi po pastiche'ach Moreau. Ale obok człowieka jest artysta, tj. ściślej: obok artysty — malarz paryski pierwszych lat XX wieku. Niebezpieczeństwa swoją drogą, ale nie mógł nie czuć, że stworzył sobie „pozycję”; tym bardziej schlebującą miłości własnej, że obłożoną ze wszech stron. Jest niepokojący; bo oto nie można mu zarzucić złego smaku — dał zbyt wyraźne dowody dobrego smaku; nie można mu zarzucić fanfaronady, bo nie tylko jest skromny i pracowity, ale wyraźnie przerażony awanturą, w jaką się wdał. Leon Bloy, którego „Biedna Kobieta” stała się natchnieniem Rouaulta — sam werdyk i brutal w typie proroków Starego Testamentu — nie może zrozumieć, że jego przyjaciel znosi takie „okropności” i zarzuca mu, że poddaje

się „vertige de la hideur”. „L'infamie bourgeoise — pisze — opère en lui une si violente répercussion d'horreur que son art paraît en être blessé à mort” *).

W tym sukcesie à rebours są aż dwie kłeski. Artysta może uchwycić rzeczywistość tylko przez konwenanse (dobry smak i zwykłe poczucie formy będzie zawsze uniemożliwiało odtwarzanie i n d y w i d u a l n o ś c i przedmiotu, owego „hic et nunc”, które każdej wrażliwej naturze przetwarza rzeczywistość w piekło czy więzienie). Jeżeli konwenans daumierowski, to dla czego nie rembrandtowski? To odbiera buntowi przeciw idealizmowi połowę racji. A po drugie, — formy są obce: „Rouault” jest tylko a k c e n t e m formy Lautreca i Daumiera.

Suarès — chwalać Rouaulta w ćwierć wieku później — powie, że Lautrec nie jest „odkupiony”. Na wystawie nie znałem jeszcze tego powiedzenia. Laury „katolickie”, jakimi pompacyjnie obwiesił Rouaulta Mauriac, wydały mi się podejrzane. Nie tylko nie doceniałem i d e n t y f i k a c j i malarza z jego postaciami (z „commedii dell'Arte” zdaniem Venturiego, może raczej z moralitetu średniowiecznego), ale wszędzie widziałem bolesną ironię o s k a r ż y c i e l a. Caritas? Chrystus, Odkupiciel, patrzy na Dzieło Stworzenia z przerażeniem. Pod ołowianym niebem tego świata przechodzi złamany, skruszony, jakby przygnieciony winą. Nie ma na wystawie innej, bardzo wczesnej głowy Chrystusa, która jest głową zbrodniarza*) i która wprawia historyka Bernarda Dorival w takie zakłopotanie, że musi ratować się cytata z Izajasza: „Wielu było zdrętwiałych widząc go, taki był zniekształcony. Był wzgardzony i opuszczony przez ludzi. Człowiek boleści, oswojony z cierpieniem”.

Błazny? Te szeregi błaznów, pajaców, pitrów? Jest wymowny autoportret Rouaulta w czapce błazeńskiej, z ironicznym uśmiechem zawstydzenia na twarzy. Sens? My, gloryfikatorzy życia, my, piewcy Człowieka i Piękną — błazny, zbrodnicze błazny! Ile zmarnowanego wysiłku w dobrowolnych złudzeniach! Salomon, „Stary Król”, oto rzecznik Rouaulta. Marność nad marnościami i wszystko marność. Jest w tym obrazie powaga monumentalna.

Nie, sam Rouault nie przeczy tej interpretacji. „Śmiech tych błaznów jest mi bliski — powie w r. 1927 — tyleż własnych szlochów powstrzymanych”.

Ale czas iść dalej. Czy można buntować się wiecznie? Zwolna przychodzi uznanie, z uznaniem dobrobyt. „Agresywna rzeczywistość” pozostaje za progiem domu. W samotności

*) „Nikczemność burżuazyjna wywołuje w nim tak gwałtowny odruch odrazy, że zadaje tym swej sztuce jakby śmiertelną ranę.

*) Mam wrażenie, którego literatura o Rouaultie mi nie potwierdziła, że Chrystus Rouaulta, a może cały w ogóle Rouault — ma swoje źródło w turyńskiej Chustce św. Weroniki. Głowa, o której wspominam, jest w każdym razie bliższa głowie z Chusty, niż klasycznej tradycji, której trzyma się Rouault np. w „Saint Suaire” z Musée d'Art Moderne.

artysty trwa już tylko jako zbiór symboli, które z w y r a z u stają się m o t y w e m. Rouault nie zmieni ich. Tragizm zastąpił w temat coraz to nowych obrazów, litografii, miedziorytów. Żyje forma, żyje kolor, żyje ręka z pędzlem wodzonym po płótnie, żyje farba, wyciskana z tub na obraz, na ramę, zaborecza, fascynująca. Starzejący się człowiek potrzebuje pociechy. Syn biednego stolarza spod muru Père Lachaise stał się burżujem. Jest samotny, ale zawsze był samotny. Samotność z wyboru. Jedyny przyjaciel, Moreau, umarł pół wieku temu. Forma, kolor, obrazy, obrazy...

Czy kopiuje samego siebie, czy się powtarza? Nie, tylko nie zmienia syntezę. Ale kolor się wyjaśnia, twarze postaci się wyjaśniają, tragiczne pejzaże lśnią i fosforyzują. Lament przechodzi w hymn. Miejsce rozpaczcy zajęła „sérénité”. Sérénité. Zostawmy uśmiechniętego staruszka — *ce pauvre pitre* — i odejźmy. Cóż nam po sztuce, gdy nie jesteśmy artystami?

Matisse, rówieśnik i kolega Rouaulta z Beaux-Arts, także zresztą uczeń Modreau (był to zły malarz, który zostawił mnóstwo świetnych uczniów; „z czterdziestu uczniów Raffaela — pisze Malraux — nie pozostało nic”) siedzi w przyćmionym salonie swojej willi w Nicei, ogromny brzuch mu przeszkadza, ale spod ręki wychodzi jeden rysunek po drugim. Sekretarka natychmiast je segreguje, klasyfikuje i kataloguje. Dziennikarza, który przyszedł po wywiad, przyjmuje opryskliwie. Po odpowiedzi na każde z pytań rzuca niecierpliwie: „To wszystko?” Gdy mija wyznaczony kwadrans, Matisse gluchnie i macza pędzel w tuszu.

Uccello na starość mieszkał w pustym pokoju, w którym stała tylko czarna tablica. Sypiał na barłogu. Usługiwała mu mała dziewczynka, która sypiała na drugim barłogu. Gdy umarł, przyjaciele znaleźli na tablicy niezmiennie skomplikowany rysunek geometryczny. Ostatni. Nie zależało mu już nawet na tym, żeby z tych jego spekulacji coś pozostało.

Kiedy Rouault był wielkim artystą — gdy się buntował, czy gdy się zamknął ze zdobyczą burzliwego życia?

Jan ULATOWSKI

Der MONAT

MIĘDZYKRAJOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKY'EGO

Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.

Cena egzemplarza — 1 DM.

Książki

Poszerzenie polskości

(O książce „Nadberezyńcy”)

Książkę Czarnyszewicza „Nadberezyńcy” poznałem zaraz po wojnie.

Autor przysłał mi ją do Londynu. Pochodzę z jego najbliższych okolic. Utraciliśmy te ziemie po Traktacie Ryskim. Mój starszy brat zdołał wrosnąć w tę ziemię wiekiem męskim. Poległ dopiero w powstaniu i aż do ostatniego dnia, przez wszystkie lata Polski Niepodległej, kiedy wszyscy szli spać, przyszywał oczy i przenosił się marzeniem... tam. Chodził po puszczy szabynskiej, po świeżo zasadzonym lesie w Kolużu, po wykrotach Słobódki.

Byłem młodszy. Bronilem życia od tych wspomnień. Dzieci moje, zaczepiane pytaniami o to „z jakich są Wankowiczów”, odpowiadały „z tych z Żoliborza”. Aprobowałem. Głęboko w niepamięć wciskałem wspomnienie.

I nagle kiedy zaważyła się i ta ogólniejsza ojczyzna, Czarnyszewicz, który już był nie ze Smolarni, tylko z Argentyny Wankowiczowi, który już nie był nie tylko z Kolużyc, ale nawet i nie z Żoliborza, tylko z szesnastu krajów, w których był w czasie wojny — zwałił gorycz i słodycz wspomnień.

Czytałem do białego rana. Tak latarnik czytał: „a teraz przenoś moją duszę utęsknioną”. Czarnyszewicz prosił. „Napisz o książce”. Pisałem o wszystkim, o żołnierzach, o górnikach, o politykach, o miastach, o krajach... Cóż szkodziło napisać? Wkręca się papier w maszynę, ręce szybkim ścięciem biegają po klawiszach i już jest napisane. W jednej chwili. Ale nie mogłem.

Nie mogę, właściwie i teraz pisać o tej książce. Ale argentyński Czarnyszewicz prosi o to amerykańskiego (na odmianę) Wankowicza. Jakże mam pisać, skoro nawet, kiedy kto przychodzi pożyczać jaką książkę do czytania, zawsze się cofam

od dania mu książki Czarnyszewicza. A może jest nie wiele warta? A może — to tylko dla mnie jest tak droga?

Ale czy może być rzecz droga — bez wartości? Bez ogólnoludzkiej wartości? Podejrzewam, że nie. Podejrzewam, że książka Czarnyszewicza jest jak struna o najsłabszym dźwięku, naciągnięta w ostatniej chwili naszego niepodległego bytu, struna, która dźwięknęła najczystszy tonem i pękła. Że gdybyśmy istnieli w pełni wolnej niepodległej kultury, w pełni wolnej prasy i wolnego życia, książka ta objawiłaby nam nowe polskie, dotąd ukryte prawdy. Książka by była jednym z tych potężnych lemieszów jak pamiętniki chłopów, pamiętniki bezrobotnych, pamiętniki lekarzy wiejskich, lemieszów odwalających zaśnieżone zaskorupłe calizny. Lemieszem tym potężniejszym, że nie przeciąganym mozolnie, tylko partym motorem niesłychanie żywotnego talentu.

Książka jest poświęcona życiu szlachty zagrodowej nad Berezyną. Główna akcja — to zalew rewolucji rosyjskiej, postawa wobec niej, korpus Dowbora, jego rozbrojenie, ponowny zalew rosyjski i cios traktatu ryskiego i trwanie „contra spem”. Dramat wiernych, oddanych i oddartych, odrzuconych, zapomnianych serc. Dramat miliona Polaków poza linią traktatu ryskiego.

Dla mnie jednak to nie ten dramat przyczynia największego bólu przy czytaniu tej książki. To — wola dziejów, walenie się Czarnego Losu, pisanego przez geopolitykę. Losu stojącego ponad pojemność ludzką. Ból dla mnie — to że książka do mnie, syna tej ziemi każdym fibrem duszy, dla którego im dłużej żyje, im więcej krajów widzi, tym bardziej jedynym szczęściem się zdaje żyć na ziemi sapowatej, biednej, pokrytej brzoźwiskami, gdzie rzadkich brzoźek czepiają się mgły a szerokie piaszczyste trakty w tęsknym miganiu brzoź dążą na wschód — że książka do mnie, syna tej ziemi mówi, czy znałeś duszę swego własnego kraju?

Więc jakże pisać dla Was, Polaków bez przymiotnika, jakże Wam coś robić zrozumiałe, jakże Was uczyć, kiedy ja sam...

Szlachta zagrodowa... Skarykaturowany, skrócony ku wygodzie codzienności obraz ciemnoty i fumów, poczciwości i jurności, przywiązania do tradycji i zacofania, wdzięczne pole anegdot, przedmiot nieszkodliwy i muzealny, lekką ręką dorzucony do zamierającego ziemiaństwa, do wielkiego lamusa pełnego historycznych rupieci.

„W rence panskie perswaduje”, „Strzelam do waćpanny”, „W ta pora”...

I nagle okazuje się, że ja sam, ja sam, Ihumeńczuk, Borysowianin, Kowieńczuk, znający tę szlachtę zagrodową na

przestrzeni całego b. W. Księstwa Litewskiego, bywający u niej — nie znałem, nie wiedziałem nic...

Kontakty moje i kontakty nasze, ziemiańskie, to była najmniejsza warstwa tej szlachty, pracująca fizycznie w polu, mieszkająca nieraz w chałupach słomą krytych, ale mówiąca, choć z białoruska, ale po polsku, mająca papiery, często wywiedziona heraldii, w większości wypadków już nie wywiedziona ale mająca wspomnienie o „pieczętce” (o herbie). Szlachta Laudy, wychowana na „Trylogii”, szlachta z dawnych Tatarów osiedlona przez WKs. Witolda na stróżowaniu brodów rzecznych, szlachta z byłych chorągwi komputowych Rzeczypospolitej, szlachta jeszcze w XVIII wieku nosząca kordy na sznurkowych rapciach.

Tę szlachtę, jej pozostałości znaleźmy, o niej opowiadaliśmy dobrotliwe anegdoty.

O tę szlachtę usiłował oprzeć się przy budowaniu Polski ludowej na kresach Witos. Usiłował oprzeć się — na próżno.

Pamiętam, kiedy jako premier przyjechał do nas pod Kleck. Do nas — bo pewno, że i tam miałem pociotków. Ta ziemia to był jeden wspólny dom i wszyscy swoi.

Witos pytał, kto tu pod Kleckiem ma znaczenie wśród malarolnych. Wskazano — pana Rymaszewskiego, seniora szlachty zagrodowej. Pan Rymaszewski mieszkał w chałupie krytej słomą, pracował w polu, Bogu wiadomo, jak w tej chałupie krytej słomą przez wieki wojen, pożarów i spustoszeń przechował naderżania królewskie, które nawet w większości dworów poginęły. Trzymał je w żelaznej szkatułce i ile razy przyjeżdżałem, szkatułka wyjeżdżała na stół. Królowie Najjaśniejszej mówili z ludnością językiem, którym szlachta drobna mówiła między sobą, a którym pękaty pan starosta nasłany z Galicji, pouczał mnie, że nie powinienem się posiłkować.

I ot, kiedy stał się cud i ta Najjaśniejsza, ta wyteśkniona, ta wymarzona w legendach powstała i kiedy uprzedzono Pana Rymaszewskiego, że jej premier, to znaczy jakiś kanclerz, jakiś Zamoyski, na Boga, zjedzie „in personam” do „pana brata”, pan Rymaszewski nałożył czarne ubranie, w którym chodził do kościoła, sztywną maniszkę (krochmalony gors), czarny krawat i czekał. Ze swoimi papierami... Chronionymi tak wiernie...

Zajechał najprzód rozbity fordziak z agentami, potem Chevrolet z panem starostą, do którego na ludzki sposób dostać się nie było sposobu, a który teraz był jednym uśmiechem i jedną słodyczą, potem Buick z wojewodą, aże wreszcie Packardami nie Packardami, zważyło się dygnitarzy a dygnitarzy.

Pan Rymaszewski czekał u bramy obejścia. Staruszka żona trzymała na tacy chleb i sól, ale pan Rymaszewski trzymał skrzynkę metalową. Pożółkłe papiery miały zajaśnieć blaskiem podnoszonej monstrancji. Papiery chronione, bronione, przechowywane...

Kanclerz Rzeczypospolitej, który wysiadał z Packarda nie miał nie tylko delii na sobie, ale nawet odświętnego krawata pana Rymaszewskiego. Spodnie, chłopską modą, wpuścił w cholewy butów, przyjeżdżał tworzyć stronnictwo ludowe i nierad był, że mu te pożółkłe przywileje zabiegają drogę.

— Po cóż to wam, panie Rymaszewski te papierki? — zapytał, mazurząc po swojemu. Mądry chłop, budowniczy nowej Polski.

Panu Rymaszewskiemu krew uderzyła do głowy. Także to wita ten jakiś samozwaniec za Kroże, za powstania, za Niedźwiedzie, za Sybir, za trwanie, za kibitki, zsyłki, etapy, schłapianie, za lata wierności?

Odstąpił krok, wparł oczy w chłopskiego leadera.

— A za to — bodnął go palcem w pierś — że jak chamuków w dupa bili, to nas nie mogli (prawo rosyjskie zabraniało karać cielesnie szlachcica, który się mógł wylegitymować).



Otóż — taką szlachtę zagrodową znaleźmy. Leżącą kamieniem na drodze dziejów, przeznaczoną na zgubienie a na przetrwanie — w życzliwej anegdocie jedynie.

Aż z nagła Czarnyszewicz bierze nas za rękę i prowadzi w głąb.

Nam się wydawało, że to jedna warstwa, jak laikowi się wydaje, że skóra na organizmie jest po prostu skórą. Dopiero człek znający wykaże różne warstwy, unerwienia, naczynia, płaty kolejne. Nam się wydaje ziemia — ziemią. A lemiesz, a kopanie pokazuje jej różne warstwy i kolory i ukryte zawarte źródła gotowe wybuchnąć, przestoje najwyższe, najczulsze między dziejowymi wybrzuszeniami i skostnieniami.

Idziemy za Czarnyszewiczem w dół, w dół, w dół, aż do niepiśmiennych, do nie mówiących po polsku, do tej szlachty z Białynicz i innych zbiałoruszczonych zaścianków.

To nie książka umownej anegdoty, polukrowanej konwencjonalnym lakierem sentymentalizmu, przeplatanej konwencjonalnym uśmiechem. Sam język zmienia się, schodząc coraz bardziej w głąb, nieraz w trzech czwartych staje się białoruskim. Język „pełen rusycyzmów” jakby powiedział mój pękaty galicyjski starosta, — żyje w książce Czarnyszewicza nieoczekiwanym pięknem neologizmów, prastarych rdzennych źródłosłów i nie to nie przeszkadza, że jest obrosły pleśnią rusycyzmów, skoro się powstał w niewoli rosyjskiej jak stare tegie wino. Muzyka tego języka jest rozkoszą, jest nieoczekiwanym odkryciem dla tych, którzy mu nie chcą panować, tylko mu służyć, którzy nie chcą go trzymać w obórcie prawideł, tylko go naczekują wciąż wychylającego się z puszczy, drapieżnego, cuchnącego cuchem dzikiego nieposkromionego zwierza, wyzerającego zniemacka wymiona naszym językoznawcom, jak rysie wyzerwały wymiona krowom pasącym się na podżarach Smolarni.

Spuszczają się w głąb tego szybu językowego ku coraz niższym pokładom, mamy drugą jeszcze linę, która nam służy do zstępowania, linę obyczajów. Ta lina, jak i lina językowa, zaczepiona w górze w blasku dwornej szlacheckiej polszczyzny, kolejno nawązła się supłami archaicznymi, chłopskimi, białoruskimi, zgoła wielkoruskimi, prastowiańskimi.

Lina językowa, lina obyczajowa poszły w głąb, w głąb niewymierzoną.

A teraz — uwaga — z góry, z szybu otwartego przez dzieło Czarnyszewicza idzie w głąb tego szybu — blask.

Wspaniały blask. Ze Śródziemnego morza. Z rzymskiego prawa. Z bazyliki Świętego Piotra. Z *n e m i n e m c a p t i v a b i m u s*. Ze złota swobód, ze złotogłowiu przywilejów. Jest tego złotego blasku, a blasku od piastowskich miódów po słuckie pasy.

Spracowane palce ludzi roli, ludzi lasu, czarne palce ludzi zostawionych sobie błazną po tym blasku, przebijają dla niego drogi w głąb. W głąb... Ten mozół ludzi do polskości przywarty, mozół nieuczony, a trwały, to jest — po języku, po obyczaju — trzeci głęboki ton tej książki o najwyższym, bo ani jednym słowem zakłamania nie skażonym patosie. To znaczy usta tych ludzi są niezdarne. To znaczy — mówią często naiwnym patosem „oklepane” prawdy. Ale czytelniku, bądź czujny... Oklepane prawdy, wielkie słowa „wyświechtane” o Polsce słyszałem na polach bitew z ust umierających ludzi. I niesłychanie pomysłowe skojarzenia, skróty, symbole serwowano mi w kawiarniach. Czytelniku, którego wzruszały świątki przy rowach, rzępolenia po pastwiskach, nuty czepiające się ściernisk — zdejm czapkę przed patosem bohaterów Czarnyszewicza, którzy umierali za Polskę.

Teraz, kiedy ta Polska zanurzyła się na dno, jak miasto w balladzie zanurzone w Switezi, z którego cichą porą dochodzi dźwięk dzwonów, nagle, dzięki tej książce, w tym dźwięku który słyszymy po nocach, rozróżnimy jeszcze jeden ton, którego, niebaczni, nie znaleźliśmy, kiedy wszystko było realnością wynurzona na powierzchnię w pełnym blasku.

Za to, że nam ta Polska dźwięczyć będzie pełniej i bogaciej — dziękujemy Czarnyszewiczowi.

Melchior WAŃKOWICZ

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH

Bezpłatna wysyłka
Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

Nadesłane nowości wydawnicze

HISTORIA

HERSEY (J.). *La muraille*. Pp. 601. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, — 800 fr.).

KIRIMAL (E.). *Der nationale Kampf der Krimtürken*. Str. 374 z fotografiami i mapą. (Wyd. Verlag Lechte — Emsdetten (Westf.), 1952).

KORIAKOW (M.). *Oswobożdenje duszi*. Str. 363. (Wyd. im. Czechowa, New York, 1952, cena dol. 2,75).

KNIZ (Z.). *Istoria Ukrainkoj Politycznoj Dumki do końca XVIII stolitia*. Str. 205. (Wyd. Paryż, 1952).

Mémoires de Vitrolles, (Ed. GALLIMARD, Paris, V.I. — Pp. 551, 1951, fr. 750 ; V. II — Pp. 521, 1952, fr. 975).

HANISCH (E.). *Geschichte Sowjetrusslands 1917 — 1941*. Str. 306. (Wyd. Ferlag Herder, Freiburg).

KRIEGE Vom. *Hinterlassenes Werk des Generals Carl von Clausewitz*. Wyd. 16-e, opracował Dr. Werner Hahlweg. Str. 1165. (Wyd. Ferd. Dümmlers Verlag, Bonn, 1952).

SCHUPPE (E.). *Der Burschenschaftler Wolfgang Menzel-Eine Quelle zum Verständnis des Nazional-socialismus*. Str. 123. (Wyd. Verlag G. Schulte-Bulmke, Frankfurt am Main, 1952).

LITERATURA

KOLENDO (J.). *Szukając drogi*. Str. 231. (Wyd. Instytut Wydawniczy « Pax », Warszawa, 1952).

GOBERT (C.). *Bois-Trudan*. Pp. 439. Ed. Plon, Paris, 1952, — 750 fr.).

BROOKE (J.). *Feux d'artifice*. Pp. 251. Traduit de l'anglais par J. N. Mathieu. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1952, — 510 fr.).

COCCIOLI (C.). *Fabrizio Lupo*. Pp. 380. Traduit de l'italien par Louis Bonalumi. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1952, — 690 fr.).

TUCHOLSKY (K.). *Na und-?*. Str. 366. (Ed. Rowohlt Verlag, Hamburg, 1952).

TEFFI (N.-A.). *Ziemnaja raduga*. Str. 280. (Wyd. im. Czechowa, New York, 1952, cena dol. 2,00).

JURASOW (S.). « *Wrag Naroda* ». Str. 197. (Wyd. im. Czechowa, New York, 1952, cena dol. 2,00).

NAROKOW (N.). *Mnimyje wieliczyny*. Str. 411. (Wyd. im. Czechowa, New York, 1952, cena dol. 3,00).

NABOKOW (W.). *Dar*. Str. 416. (Wyd. im. Czechowa, New York, 1952, cena dol. 3,00).

JUENGER (E.). *Voyage Atlantique*. Pp. 252 « *La Table Ronde* », Paris, 1952).

DALI (S.). *La vie secrète de Salvador Dali*. Pp. 310. (Ed. « La Table Ronde », Paris, 1952).

TROYAT (H.). *L'étrange destin de Lermontov*. Pp. 281. (Ed. PLON, Paris, 1952, fr. 495).

AIME (M.). *La tête des autres*. Pièce en 4 actes. Pp. 244. (Ed. GRASSET, Paris, 1952, fr. 390).

KIRST (H.-H.). *Le lieutenant est devenu fou*. Pp. 387. (Ed. Robert LAFFONT, Paris, 1952, fr. 780).

SPERBER (M.). « *qu'une larme dans l'océan* ». Pp. 183. (Ed. CALMANN-LEVY, Paris, 1952).

KESTEN (H.). *Ferdinand et Isabelle*. Pp. 424. (Ed. CALMANN-LEVY, Paris, 1952).

NEUMANN (R.). *Sur les pas de Morell*. Pp. 296. (Ed. CALMANN-LEVY, Paris, 1952, fr. 690).

MELVILLE (H.). *Omoo ou le Vagabond du Pacifique*. Pp. 326. (Ed. GALLIMARD, Paris, 1952, fr. 590).

ŁEPKOWSKI (A.). *Ludzie znad zatoki*. Str. 199. (Wyd. Instytut Wydawniczy « Pax », Warszawa, 1952).

BUNIN (I. A.). *Zyzn Arseniewa. Junost'*. Str. 388. (Wyd. im. Czechowa, New York, 1952, cena dol. 2,75).

PASCAL (B.). *Mysli*. Str. 333. Przekład Tadeusza Zelenieckiego (Boya) (Wyd. Instytut Wydawniczy « Pax », Warszawa, 1952).

LEDZIANSKI (S.). *Brat twój Kain*. Str. 151. (Wyd. « America », Filadelfia, 1951).

POŁTAWA (L.). *U wiszniewij kraini*. Noweli. Str. 40. (Wyd. « Suczasna Ukraina », Monachium 1952).

CHARPENTIER (M.). *L'ours en pantoufles*. Une Parisienne à Moscou. Pp. 208. (Ed. René JUILLIARD, Paris, 1952, fr. 420)

POEZJE

GAJCY (T.-M.). *Utwory zebrane*. Poezje i dramat « Homer i Orchidea ». Str. 241. (Wyd. Instytut Wydawniczy « Pax », Warszawa 1952).

Liryka szwedzka. Antologia, przełożył Łukasz Winiarski. Str. 98. Okładkę projektował art. grafik Stefan Baran. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy na emigracji, Londyn, 1952).

LORCA (F.-G.). *Wiersze*. Str. 69. Przekład Jana Winczakiewicza. Okładkę projektował Tadeusz Piotrowski. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy na emigracji, Londyn, 1952).

JANIW (W.). *Szlaki*. Poezje. Str. 158. (Wyd. « Molode Zytia », Monachium, 1951, Cena DM 5).

OLENKO (Ł.). *Zieleni dni*. Str. 129. (Wyd. « Kyiv », Filadelfia, 1952, cena dol. 1,20).

ACHMATOWA (A.). *Izbrannije stichotworenja*. (Wyd. im. Czechowa, New York, 1952, cena dol. 2,25)

WIERETENCZENKO (O.). *Dim wicznosti*. Poezje. Str. 60. (Wyd. « Prometheus », Detroit, USA, 1951).

TERLECKI (T.). *Paryż*. Str. 77. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy na emigracji, Londyn, 1952).

FONTAINE (A.). *Par-dessus la haie*. Pp. 84. (Ed. GRASSET, Paris, 1952, fr. 675).

TARNAWSKI (O.). *Zytia*. Winok Soneti. Poezje. (Wyd. « Kyiv », Filadelfia, 1952).

HISTORIA LITERATURY

BACKVIS (C.). *Le dramaturge Stanislas Wyspiański*. Pp. 387. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1952, 1200 fr.).

FABRE (J. prof.). *Stanislas-Auguste Poniowski et l'Europe des Lumières*. Pp. 746. (Ed. Les Belles Lettres, Paris, 1952).

RELIGIA

ROGALSKI (A.). *Katolicyzm w Niemczech po II wojnie światowej*. Str. 269. (Wyd. Instytut Wydawniczy « Pax », Warszawa, 1952).

SW. HIERONIM. *Listy*. Przekład ks. dr. J. Czuja. Str. 429. (Wyd. Instytut Wydawniczy « Pax », Warszawa, 1952).

DĄBROWSKI (Prof. ks.) *Prolegomena do Nowego Testamentu*. Str. 275. (Wyd. Instytut Wydawniczy « Pax », Warszawa, 1952).

BONTEANO (A.). *Les douleurs de la deuxième naissance*. Pp. 242. (Ed. PLON, Paris, 1952, fr. 480).

ROPS (D.). *Od Abrahama do Chrystusa*. Str. 472. (Wyd. Instytut Wydawniczy « Pax », Warszawa, 1952).

ZAGADNIENIA CHWILI

DEMBITZER (S.). *Visas for America*. Str. 267. (Wyd. Villon Press, Sydney, 1952, cena 18 sh. 6 d.).

ANDREU (P.). *Drieu témoin et visionnaire*. Pp. 220. (Ed. GRASSET, Paris, 1952, fr. 360).

MERLIN (L.). *Christophe Colomb redécouvre l'Amérique*. Pp. 256. (Ed. René JUILLIARD, Paris, 1952, fr. 390).

HEALEY (D.). *Le rideau tombe*. Histoire des socialistes en Europe Orientale. Pp. 121. (Ed. Domini-que Wapler, Paris, 1952).

PEGUY (Ch.). *Par ce demi-clair matin*. Pp. 293. (Ed. Gallimard, Paris 1952).

MANN (H.). *Deutscher Osten. Deutsche Heimat. Eine kleine Heimat und Landeskunde*. (Wyd. Ferd. Dämmlers Verlag, Bonn, 1952).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Poświęcona mnie nota biograficzna w numerze czerwcowym "Kultury" zawiera parę nieścisłości, wynikających zresztą z mojej winy, gdyż posłałem Panu kopię zbyt obszernego angielskiego życiorysu, napisanego dla wydziału personalnego FAO.

W Wiedniu i w Lozannie rozpocząłem średnie studia. Kontynuowałem je w gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie i później w liceum humanistycznym im. Sułkowskich w Rydzynie, gdzie zdałem egzamin maturalny. Redaktorem "Dziennika Żołnierza i Dywizji Pancernej" zostałem dopiero w r. 1946, jako następcą p. Rolanda Węcowskiego. Od r. 1951 pracuję w Wydziale Ekonomicznym FAO w Rzymie.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego poważania.

Piazza Giuditta Tavani Arquati 121, Rzym.

K.A. JELEŃSKI.
Rzym.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 9/35 z 1950 r. znajduje się wymowny i rzeczowy list do Redakcji, napisany przez "Sprzedawcę" i poruszający sprawę naszego stosunku, tzn. emigracji w W. Brytanii, do egzystencji i zwiększania nakładu "Kultury".

Słuszne uwagi "Sprzedawcy" i wyciągnięte stąd wnioski wskazują, że jedną z najgłówniejszych przyczyn sprzedawania stosunkowo małej ilości "Kultury" w W. Brytanii jest nagminny zwyczaj "przyjacielskiego" pożyczania sobie numerów miesięcznika oraz ruchliwość Polaków w terenie.

Niedawno wracałem autobusem z wycieczki. Jeden z moich znajomych, siedzący obok i czytający "Kulturę", zapytany został przez pewną panią, czy numer jest ciekawy i czy może go przeczytać.

— Oczywiście, proszę pani — brzmiała odpowiedź — numer bardzo ciekawy i bardzo tani; widziałem wczoraj jeszcze w kiosku SPK 3 egzemplarze niesprzedane...

To jest jeden mały obrazek, a oto drugi.

Mieszkam w ośrodku, skupiającym około tysiąca Polaków, położonym z dala od miasta i w którym ruch ludności prawie nie istnieje. Praca jest stała i ludzie pozostają tutaj latami. Kiosk SPK posiada wszystkie wydawnictwa polskie na czele z "Kulturą".

Sprzedaje się tutaj:

"Kultura" — 8 egz.
"Wiadomości" — 14 egz.
"Orla Białego" — 15 egz.
"Głosu" — 15 egz.

Jest rzeczą również ciekawą, że wśród mieszkańców ośrodka znajduje się około 30 osób, których uposażenie roczne wynosi od 500 do 1500 funtów rocznie.

Z tej grupy kupuje:

"Kulturę" — 1 osoba.
 "Wiadomości" — 2 osoby.
 "Orla Białego" — 3 osoby.
 "Głos" — 1 osoba.

Wydaje mi się, że jeżeli pierwszy obrazek jest ujmujący w swej prostocie, to tyle drugi nie tylko jest zastanawiający, ale i bardzo, bardzo smutny.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy szczerzego uznania od "Czytelnika", który za "Kulturę" płaci.

Szanowny Panie Redaktorze,

"Problem II-go Pokolenia" (Nr 6/56 „Kultury”) przeczytałam z tym większym zainteresowaniem, iż sama należę do pokolenia o którym p. Mieroszewski pisze i nie obce są mi sprawy poruszane przez autora. Jestem typowym przykładem emigranta żyjącego na dwóch „piętrach”: polskim i angielskim. Czasopisma brytyjskie czytam ze znacznie większym zainteresowaniem z tej prostej przyczyny, że jest ich znacznie więcej, a zatem łatwiejszy wybór tego co mnie interesuje, jak również dlatego, iż poza jedną „Kulturą”, nie ma takiego polskiego czasopisma, które poruszałoby sprawy poświęcone zagadnieniom współczesnym. Mam dużo szacunku dla powagi wieku starszego, lecz nie potrafię napawać się czytaniem wspomnień ludzi, którzy grzebią się stale w przeszłości. Oczywiście jest wiele interesujących wspomnień i ciekawych pamiętników, ale o ileż więcej fascynująca dla nas, „drugiego” pokolenia, jest lektura z zakresu dążeń i planów na przyszłość tak w dziedzinie np. sztuki jak i polityki. Jeśli zaś chodzi o politykę, to muszę się otwarcie przyznać, że więcej interesuje mnie kto zostanie następnym Prezydentem Stanów Zjednoczonych, jak będzie się kształtował konflikt między socjalistami brytyjskimi, jak się będzie spisywał młody rząd gen. Nguiba w Egipcie, niż np. który odłam jednego z licznych polskich stronnictw na Emigracji ma rację w swych waśniach z innym odłamek i czy p. X. jest bardziej odpowiedni na ministra od p. Y-ka. I nie dlatego tak jest, że sprawy polskie mnie nie interesują i że wolę życie na „piętrze” angielskim. Wydaje mi się jednak, iż o losach sprawy polskiej decydować będą wyniki rozgrywek politycznych na znacznie szerszej arenie, niż tylko w „ghettie” polskiego światka, jak również to jak się kształtować będą nowe prądy i myśli w różnych dziedzinach życia na całym świecie, a nie jedynie te poruszane na łamach czasopism polskich. Jest rzeczą zrozumiałą, że nie będąc u siebie w Kraju, nie mamy takich możliwości wydawniczych, jak np. nasi gospodarze. Tym większą więc troską polskich czasopism powinna być sprawa co się drukuje i dla kogo.

Z wielką przyjemnością czytuję „Wiadomości”, ale z zainteresowaniem, tylko „Kulturę”. Również z przyjemnością chodzę na sztuki grane w polskich teatrach, ale z zainteresowaniem przyglądam się sztukom wystawianym w londyńskich teatrach „Arts”, „Old Vic” i innym. Oprócz sentymentu każdy z nas żywi szczerze zainteresowanie tym co grają w naszych teatrach jak również tym co piszą w naszej prasie. Dlatego jest pewno nie tylko moim pragnieniem, abyśmy mieli możliwość oglądania innych programów i czytania innych artykułów, niż te, które są obecnie dostępne na „piętrze” polskim. Pomogło by to i ułatwiło czytelnikom naszego pokolenia, wyrobienie obiektywnego sądu w sprawach na razie tylko jednostronnie, bo przez obcych autorów, poruszanych. Niestety wielu z naszych

pisarzy stronnictwo podchodzi do spraw zachodnich demokracji. Ich subiektywny obraz jest niejednokrotnie fałszywy i wprowadza powierzchownego czytelnika w błąd.

W pełni podzielam pogląd p. Mieroszewskiego, iż należało by zreformować nasze czasopisma pod kątem widzenia zdobycia sobie jak największej ilości czytelników „drugiego” pokolenia.

Łączę wyrazy wysokiego poważania i szacunku.

Maria KROGH
 Londyn

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 4/54 z bieżącego roku, w sprawozdaniu o emigracji polskiej w Kanadzie, uderzyła mnie poważna nieścisłość, jaką autor tego artykułu podał odnośnie Kościoła Narodowego.

Otóż w rozdziale 6. „Rola Kościoła”, p. Benedykt Heydenkorn wypowiada kategorię sąd, że „wśród nowej emigracji nie ma wyznawców kościoła narodowego”.

Wiadomość uderzyła mnie jako niezgodna z prawdą, lecz dopiero w tych dniach miałem sposobność rozmawiania na ten temat z ks. Józefem Niemińskim, proboszczem parafii narodowej w Toronto.

Otóż ks. prob. J. Niemiński powiedział mi, że w jego parafii znajduje się duży procent nowo przybyłych emigrantów polskich. Stanowią oni bardzo aktywny element w parafii, zajmując wiele stanowisk w Komitecie Parafialnym, w tym prezesa i zastępcy prezesa.

Spośród nowej emigracji polskiej w Kanadzie zgłosiło się 2 kandydatów do Seminarium Duchownego im. Ks. Savonaroli Polskiego Nar. Kat. Kościoła w Scranton i jeśli trudności wizowe nie staną na przeszkodzie, przybędą do Scranton, aby tu w kolebce P. N. K. Kościoła kształcić się na księży narodowych.

Nie mam konkretnych danych z innych parafii narodowych odnośnie udziału w życiu tych parafii nowej emigracji polskiej, lecz jestem przekonany, że podobnie jak w Toronto biorą oni udział w życiu P.N.K. Kościoła.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Redaktor Tygodnika „Straż”
 Józef MASTALSKI
 Scranton, Pa.

PREUVES

Cahiers Mensuels du Congrès
 pour la Liberté de la Culture

défend l'indépendance spirituelle de l'homme
 partout où elle est menacée.

Le numéro de 64 pages, illustré 70 fr.
 Abonnement annuel : France 700 fr.
 Etranger 1.000 fr.

PREUVES : 41, Avenue Montaigne — PARIS (8^e)
 Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE

Le Comte Jean SZEMBEK

Ancien sous-secrétaire d'Etat aux Affaires étrangères de Pologne

JOURNAL

1933-1939

Traduit du polonais

par M^{me} J. RZEWUSKA et T. ZALESKI

Préface de LEON NOEL

Ambassadeur de France

Le « Journal » du comte Szembek qui s'arrête à la date fatidique du 31 Août 1939 est le témoignage capital apporté par un patriote ardent, mort en exil en 1945.

L'édition française est la seule actuellement publiée.

Un volume in-8° carré. Prix 1.200 frs. 504 pages.

PLON

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 4^e trimestre 1952.

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)

Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest, Nr konta pocztowego 7315-20
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo; Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-IV^e
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290, Av. Marcił, Notre Dame de Grâce, Montreal/Que., tel. HU 8-5224; Stan. L. Lemański, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; Stan. L. Opolski, 880, Barton St. E. Hamilton/Ont.; Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel. HY-0829; Stanisław Zybała, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; St. Mikiciuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lau-sanne, Genève, Tel. 2-23-58.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 808 Wager St., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyprowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11 ..
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.

Egz. poj.	Prenumerata	
	½-roczna	Roczna
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
10 peso	60 peso	120 peso
5 sh. (a.)	£.A.17.6.	£.A.212.6.
30 frb.	145 frb.	260 frb.
15 cruz.	90 cruz.	150 cruz.
150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
75 cent.	4 dol.	6 dol.
75 cent.	4 dol.	6 dol.
2,50 DM	13,50 DM	25 DM
2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
3 kr.	15 kr.	28 kr.
75 cent.	4 dol.	6 dol.
75 cent.	4 dol.	6 dol.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

WYDAWNICTWA
OFICYNY POETÓW I MALARZY

Bronisław Przytuński. — A K O R D . Poezje.
Z ilustracjami Aleksandra Wernera.

□

Federico García Lorca. — W I E R S Z E
Tłumaczył Jan Winczakiewicz.

□

Tymon Terlecki. — P A R Y Ż
Z rysunkami Mariana Bohusza-Szyski.

□

W I E R S Z E I P I E Ś N I P O W S T A N I A W A R S Z A W S K I E G O
Opracował Andrzej Pomian.

□

Wszystkie tomiki w pięknym wydaniu bibliofilskim, na specjalnym
papierze, tłoczone na ręcznej prasie oraz numerowane.

Cena tomiku fr. 450.—

Dostarcza na zamówienie:

“ LIBELLA ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île — PARIS-IV^e

POLSKIE SŁOWO NA OBCYZYŃNIE

Największa na emigracji

**KSIEGARNIA
POLSKA**

ORBIS

**38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gt. Britain**

**WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE
W JĘZYKU POLSKIM**

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIĄŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE
własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.